

Jiri Brdecka

LEMONIADOWY JOE

WARSZAWA 2011

Spis treści

[Idź na zachód, młody człowieku!](#)

[Pan Greenwood się myli](#)

[Czarna owca albo pewne curriculum vitae](#)

[Spotkanie starych przyjaciół](#)

[Idź na zachód, młody człowieku!](#)

[Horacy nie może się skarżyć](#)

[Fortuna traci umiar](#)

[Opowieść o sławnej postaci](#)

[Sławna postać we własnej osobie](#)

[Róża z Chicago](#)

[Nader niemiła osobistość](#)

Pojawia się nieprzewidziana komplikacja

Chrapiąca duma prerii

Boski hak versus szatański prosty

Ktoś zamawia lemoniadę

Zły człowiek powraca

Pan Bushman w pozycji horyzontalnej

Zwycięstwo imaginacyjnych pluskiew

Pan Brooks żartuje

Znów miłość od pierwszego wejrzenia

Przyjemny rozdział z nieprzyjemnym końcem

Rozkosz i męka miłości

Pułkownik Hickok wciąż się dziwi

Czerwonoskóry wkracza do akcji

Dym wystrzałów, garść wspomnień

Rewolwerowcy wymieniają wizytówki

Oczekiwany happy end

Spotniały księżyc oświetla zimne nosy

Pić czy nie pić?

Sytuacja się wyjaśnia

Wkracza magik

Magik puszcza farbę

Drapieżne i puste figle morderczego smarkacza

Suplement wizjonerski

Opowieści Tombstońskie

Jak Ed Schieffelin nie znalazł swego nagrobka i co z tego  
wynikło

Na coś się zanosz

Już się zaczyna

Joe dyskretnie czeka

Szklanka lemoniady – ocean namiętności

Spada zasłona tajemnicy oraz Tornado Lou

Gdy „Car i cieśla” brzmi cicho

Pan Hardin nie lubi carów ani cieśli

Kilka suchych faktów o panu Hardinie

Stryj Bud nie zapomniał

Dzieje pewnego miasta

Co może dać Cowtown miłośnikowi silnych wzruszeń

Truskawkowe plantacje pana O’Meary i co na nich wyrosło

Szatan robi świetny interes

Trzeba kuć żelazo, póki gorące

Wykład o grzechotnikach

Uwaga na grzechotniki!

Mowa, między innymi, także o grzechotnikach

W okieneczko puk, puk, puk

Wstrząsające zakończenie (drastyczne szczegóły!)

[Knucie w chacie](#)

[Tygrysie pijawki wychodzą na swoje](#)

[Wszystko zmierza w dobrą stronę](#)

[Happy end zdobyty szturmem](#)

[Posłowie](#)

[Uwaga autora](#)

[Metryczka książki](#)

Drogiemu Szwagrowi  
Vladimírowi Slezákowi  
ofiarowuję z przyjaźnią  
IDŹ NA ZACHÓD, MŁODY CZŁOWIEKU!  
PAN GREENWOOD SIĘ MYLI

Gdy Horacy zastanawiał się później nad tym wydarzeniem, stwierdził, że wszystko szło jak po maśle aż do chwili, kiedy jeden z graczy uznał za stosowne wstać od stolika, chociaż utopił w tej grze ogromną sumę. Człowiek ten powiedział sobie: pecha nie przełamie ani złoto, ani wytrwałość. Toteż zwołał miejsce – może ktoś inny będzie miał więcej szczęścia.

Była to całkiem rozsądna decyzja – każdy, kto grywa w karty,

na pewno jej przykłaśnie. Tylko że człowiek ten mylił się, przypisując utratę pieniędzy pechowi; nic podobnego, opróżnienie jego portfela było dziełem dziesięciu smukłych palców pana Horacego Jouetta Greenwooda, dziesięciu cudownych kuglarzy, przemycających karty z cylindra na stół i z nieprawdopodobną zręcznością wyczyniających najróżniejsze pokerowe kombinacje; miało się niemal wrażenie, że z kart syją się iskry, a w powietrzu unosi się zapach siarki. Oczywiście, to tylko metafora – w rzeczywistości partnerzy Horacego nie czuli ostrzegawczego zapachu, który by zwrócił ich uwagę, że dzieją się jakieś nieczyste sprawy. Zresztą Horacy, dzięki bogatemu doświadczeniu, posiadał nieomylną znajomość fizjonomii nałogowych karciarzy i wiedział, kiedy może sobie pozwolić na swoje łądackie sztuczki. Dziś na przykład od razu na początku gry ocenił partnerów jako odpowiedni materiał i zgodnie z tą oceną postępował.

Tak, wszystko szło znakomicie, dopóki na opróżnionym miejscu nie siadł ten cichy młodzik. Tak uprzejmie spytał, czy może się przyłączyć do gry, że nikt nie mógł odmówić. Horacemu jednak bardzo się nie podobały jego zimne, szaroniebieskie oczy. Przypominały mu kilku ludzi z Pogranicza, których najintymniejszym przyjacielem był sześciostrzałowiec, zawieszony podejrzenie nisko. Zachód przeżywał wtedy swe najślawniejsze lata; panowie Hickok, Billy Kid i John Wesley Hardin codziennie ćwiczyli się w strzelaniu do żywego celu. Wprawdzie Saint Louis nie obfitowało aż tak w zabijaków, żeby

każdego niebieskookiego człowieka uważać za rewolwerowca, niemniej w fachu Horacego ostrożność nigdy nie zawadziła. Toteż pan Greenwood nie ujawniał przez pewien czas swoich cudownych zdolności i grał niezwykle uczciwie. Ale po chwili doszedł do przekonania, że wszelka ostrożność jest zbyteczna. Nieznajomy wcale nie zwracał uwagi na jego palce. Również z jasniebieskich oczu zniknęły typowe dla rewolwerowców błyski.

Horacy znowu więc zaczął grać na wszystkich rejestrach swej brudnej sztuki, odnowił kontakt z magazynem w cylindrze i tasował karty, jak mu było wygodnie. Nic dziwnego, że słupki żetonów przed nim urosły do imponującej wysokości. Doprawdy, przyjemnie było na nie spojrzeć.

Dobry nastrój opuścił go, gdy podniósł głowę i uświadomił sobie, że spogląda w czarny otwór wycelowanej przez cichego młodzieńca czterdziestki piątki.

– Pozwolę sobie coś panu zaproponować – odezwał się młodzieniec uprzejmie. – Czy nie zechciałby pan zwrócić nam swojej wygranej? Albo, jeśli się panu ta propozycja nie podoba, może obejrzymy sobie pański kapelusz? Z pewnością to pierwsze rozwiązanie jest dla pana dogodniejsze. To tak pewne, jak to, że ja zwę się Bat Masterson...

CZARNA OWCA ALBO PEWNE CURRICULUM VITAE

W cylindrze cokolwiek zsuniętym na tył głowy Horacy wałęsał się ulicami Saint Louis. Tak szybko kręcił młynka hebanową laską, że chwilami tworzył się wokół niej błyszczący krąg.

Z tą pozą lekkoducha wcale nie harmonizowały przygniatające go w tej chwili pełne troski myśli. Nie miał zwyczaju zaprzętać sobie głowy przeszłością, toteż nie miał wyrzutów, że nie posłuchał instynktu, który go ostrzegał przed spokojnym młodzieńcem. Pewnie, że to dość humorystyczne – wziąć słynnego zabijakę za nieopierzonego żółtodzioba, ale co się stało, już się nie odstanie. Myśli Horacego zawsze miały związek z teraźniejszością. W tej chwili na przykład rozważał, jaka to głupia sytuacja znaleźć się ni z tego, ni z owego w nędzy. A ponieważ niekiedy zastanawiał się także nad przyszłością, obecny stan finansowy wydał mu się tym bardziej kłopotliwy, że dopiero przed półgodziną planował dalszą przyjemną podróż na Południowy Zachód, w zupełnie dziewicze rejony, gdzie bywalcy salonów gry nie znali jeszcze właściwości jego czarodziejskiego cylindra ani szybkości strzałów dwóch przemyłych derringerów, ukrytych w rękawach nienagannie skrojonego surduta.

Nadszedł więc moment, abyśmy dokładniej zapoznali się z panem Horacym Greenwoodem, ten wytworny dżentelmen bowiem odegra w naszej historii wcale nie najpośledniejszą rolę.

Jego smukłą postać otulała ponura, lecz dostojna czerń.



Elegancki surdut z klapami lamowanymi grubym jedwabiem, szykownie skrojone spodnie, modne trzewiki o wąskich noskach i wysokim obcasie, cylinder – wszystko było czarne jak węgiel; tego samego koloru była jego laska, rękawiczki i sumienie. Czytelnik, choćby trochę znający literaturę Dzikiego Zachodu, wie dobrze, że odzienie barwy nocy jest nieoficjalnym uniformem zawodowych graczy.

Zresztą jego zawód zdradziliśmy już na wstępie: pan Horacy Jouett Greenwood z Tennessee należał do licznego sztabu rycerzy przypadku, którzy powiewając połami swych cesarskich surdutów, krążyli niczym czarne kruki po Pograniczu i przysiadali tylko tam, gdzie ich wrażliwe nosy zwietryły złoto.

Trzeba jednak stwierdzić, że w tych czasach profesja ich wcale nie cieszyła się tak złą sławą, jakbyśmy to byli skłonni przypuszczać. Nawet ludzie poważni i wspaniałego charakteru poświęcali się temu intratnemu, aczkolwiek trochę ryzykanckiemu zawodowi. W miastach nierzadko zdobywali pozycję wybitnych osobistości, a współobywatele kłaniali im się z takim samym szacunkiem jak burmistrzowi czy właścicielowi dobrze prosperującego domu publicznego. Często zajmowali wysokie stanowiska, a bankier faraona niejednokrotnie miał też pod swoją opieką bank komunalny, pełniąc ku ogólnemu zadowoleniu funkcję kasjera miejskiego. Szacunek, jakim byli otaczani, przenosił się także na ich małżonki, które w rozmaitych kółkach kościelnych grały zazwyczaj pierwsze skrzypce.

Oczywiście Horacy nie zaliczał się do tej czcigodnej kategorii członków owej niezbyt czcigodnej profesji; zanadto kochał przygodę i zbyt pogardzał ograniczonymi mieszcuchami. Nigdy bowiem nie zapominał o swoim pochodzeniu.

Greenwoodowie z Tennessee bezspornie należeli do śmietanki feudalów Południa. Szeroko rozgałęziona korona ich drzewa genealogicznego ucieleśniała w swych pędach wiele z tego, co nadawało staremu Południu taki wdzięk. I oto Horacy Jouett, jedna z najmłodszych latorośli Greenwoodów, doszedł do przekonania, że tak rozległej i czcigodnej rodzinie brakuje członka, którego charakter i postęпки uczyniłyby jej nazwisko jeszcze słynniejszym; brak jej po prostu jakiejś czarnej owcy, od której czerni tym wyraźniej by się odbijała jaśniejąca nieskalaną bielą tarcza rodzinnego honoru. Snując dalej te oryginalne rozważania, ofiarnie zdecydował się poświęcić i wziąć ów niewdzięczny los na swoje barki, tym bardziej że już dawno odkrył w sobie zdumiewające predyspozycje do tego rodzaju zadań. Takimi przynajmniej pobudkami Horacy w chwilach zwierzeń uzasadniał niektóre swe postęпки.

Kiedy rozgorzała bratobójcza walka między konfederatami a unionistami, a synowie Południa z entuzjazmem oblekli szare mundury, Horacy osądził, iż nadeszła odpowiednia chwila do urzeczywistnienia swego zamiaru. Wzgardziwszy ceremoniałem oficjalnego pożegnania, opuścił (z kieszenią cięższą o garść rodzinnych klejnotów) bez hałasu Tennessee,

a w kilka dni później i Stany. Ojcu jego przy wymawianiu nazwiska „Abraham Lincoln” groził zawsze atak paraliżu; skoro więc Horacy nie spełnił tak arcyważnego obowiązku patriotycznego, znaczyło to samo przez się, że jest wydziedziczony. W ten sposób pierwszy punkt programu został zrealizowany stosunkowo łatwo i z dobrym skutkiem. Horacy przy kawiarnianym stoliku w Mexico City czytał z napięciem komunikaty wojenne, pełne sympatii dla dzielnej armii generała Lee. Potem odkładał gazetę z westchnieniem żalu, że los nie pozwolił mu wziąć aktywnego udziału w tym wielkim wydarzeniu. „Niekiedy lepiej jest żyć dla ojczyzny, niż za nią umrzeć” – jedynie ta sentencja potrafiła ukoić jego patriotyczne serce. I jeśli nawet jego palce osiągnęły już wtedy doskonałość w zetknięciu z kartami, i jeśli umiał już także gruntownie to wykorzystać – nie potrafił jednak jeszcze dobywać derringera z rękawa tak prędko, jak niekiedy wymagały tego okoliczności. Temu właśnie zawdzięczał rozstanie z płatkim lewego ucha, amputowanym za sprawą pistoletu karciarza, któremu nie przypadł do gustu sposób tasowania przez Horacego kart.

Souvenir á Mexico! – mawiał zatem Horacy z aluzyjnym uśmiechem, demonstrując tę nieznaczną usterkę swej skądinąd nieskazitelnej powierzchowności.

Po wojnie zęcila go budowa linii kolejowej Union Pacific. To były czasy! Tysiące durniów, którzy ochoczo dawali się oskubywać w każdej z tysięcy czterystu czterdziestu minut dnia

astronomicznego! Pojedyneków na tuziny! Kiedy Horacy wspominał te burzliwe dni, zasnuwane dymem wystrzałów, jeszcze teraz łechtał mu nozdrza szczypiący zapach prochu. Złoto, przeciekające mu między palcami, często splamione było krwią, którą sam przelał. Wyciągał pistolet z byle powodu. Niebawem we wszystkich szulerniach wzdłuż budującej się linii kolejowej zdobył sławę niebezpiecznego zabijaki. Wszyscy milkli, gdy wchodził do sali. Ta popularność nie cieszyła go zbytnio, zwróciła nań bowiem uwagę kilku znanych z surowości szeryfów, a Horacy z policją nie chciał mieć nic wspólnego, aczkolwiek strzelała gorzej niż on. Toteż jeszcze przed połączeniem obu odcinków linii w Utah strzepnął ze swego obuwia pył owej krainy i rozbił namioty na pokładach białych parowców kursujących po Missisipi. Ukochał to nowe środowisko, chociażby z tej przyczyny, że było tak bliskie jego stronom rodzinnym, z którymi stale jeszcze łączyły go więzy sentymentalnych wspomnień. Wytworni mężczyźni, piękne kobiety, ciepły zmierzch otulający rzekę, gdy nad leniwo płynącą wodą unosi się tkliwa pieśń Negrów, a szum rozbijającego fale koła miesza się z dźwiękami bandzo – cóż to za cudowny lek dla nerwów szarpanych wciąż suchym trzaskiem koltów, strzelb na bizony i jękami Indian. Podczas tych wędrówek po Missisipi znalazł się kiedyś w pobliżu stron rodzinnych. Czas i wąs, który zapuścił, zmieniły go nie do poznania. Idylla trwała tak długo, dopóki w Memphis nie spotkał gracza zbytnio interesującego się jego palcami. Kulka, która utkwiała w owej nazbyt wścibskiej głowie, ściśle odpowiadała kalibrowi pistoletu Horacego. Był to

pożałowania godny wypadek, tym bardziej że arystokratyczny duch Greenwoodów z Tennessee nie pozwalał Horacemu zniżyć się do składania jakichkolwiek wyjaśnień przed szeryfem. Ziemia Porzecza zaczęła mu się palić pod stopami. Zniknął jak duch. Ukazał się dopiero po kilku latach w Nowym Jorku, w westybulu hotelu Astoria, eskortowany przez objuczonych tragarzy; zachowywał się jak udzielny książę i nie skąpił napiwków. Nie zaprzeczał pogłoskom, że natrafił w Kalifornii na bogatą żyłę złota. Co prawda każdy, kto spojrzał na jego ręce, uważał opowieści, jakoby Horacy był poszukiwaczem złota, za dobry żart.

Dotychczas utrzymywał się z gry; teraz jednak chciał grać dla zabawy. Karty mu spowszedniały, grał więc na giełdzie, spekulując akcjami kolei żelaznych. Wprawdzie pan Jay Gould trzymał się już wtedy trochę z daleka od areny giełdowej, ale jeszcze od czasu do czasu za pośrednictwem swoich ludzi wyprowadzał Wall Street w pole. Właśnie dzięki niemu Horacy pewnego dnia stwierdził, że znalazłby się w poważnym kłopotcie, gdyby dyrekcja hotelu zażądała uregulowania rachunku, chociażby tylko za ciepłą wodę. Nie stracił jednak głowy. Dzięki wystawnemu trybowi życia zdobył sporo przyjaciół nawet wśród Nietykalnych, którzy otworzyli mu drzwi najbardziej ekskluzywnych klubów, gdzie aż kłuło w oczy od białych kamizelek. W tydzień później Horacy miał w kieszeni sumę dwukrotnie wyższą od tej, jaką stracił na giełdzie. Zdobył ją na panu Gould w młej partii pokera. Znowu był człowiekiem

bogatym i zaabonował łożę w Metropolitan House. Ale pewnego wieczoru dał się skusić rulecie, choć czuł do niej instynktowny wstręt, jako że uniemożliwiała wykorzystanie cudownych zdolności jego palców. Wszystkiemu winna była kobieta, której obnażone ramiona zmały mu zmysły. Gdy opuszczał klub, musiał pożyczyć na napiwek. Następnego dnia podrobił podpis na czeku – ale podrobił go nad podziw nieudolnie. W chwili gdy detektywi zastukali do drzwi, uciekł schodami pożarowymi.

Tak wrócił na stary, dobry Zachód, gdzie nie było giełd ani mundurowej policji i gdzie wśród nieokrzesanych mieszkańców Pogranicza wyglądał w swym czarnym surducie o wiele dostojniej niż w klubach przy Piątej Avenue. Znowu wiódł przyjemne, burzliwe życie, jak za czasów budowy linii kolejowej U. P Wędrował od miasta do miasta, wygrywał albo – jeśli trafił na zadziornego rewolwerowca – przegrywał, strzelał sam i krył się przed strzałami. Kiedy jego popularność na Środkowym Zachodzie oraz liczba ludzi marzących o tym, aby wziąć go na muszkę – chociażby nawet z tyłu – zbytnio wzrosły, postanowił przenieść się na Południowy Zachód, gdzie nie miano jeszcze zaszczytu oglądać jego arystokratycznej twarzy. Ponieważ jednak chciał podróżować w komfortowych warunkach, wstąpił najpierw do rajy szulerów – Saint Louis. Przyjeżdżali tutaj bajecznie bogaci handlarze bydła i świetnie zarabiający łowcy bizonów, by w luksusie miejskiej cywilizacji zapomnieć o pylistej prerii, ryku bydła i grzmiącym tupocie stad.

Przy odświeżającej partii pokera czy faraona łatwo z nich było wypompować złoto. Oczywiście, każdy medal ma dwie strony; w Saint Louis ramię prawa było krzepkie, a policja nie pozwalała czarno odzianym dżentelmenom bawić w mieście zbyt długo.

To dziwne, że Horacy w ciągu tylu lat spędzonych na Pograniczu nigdy się nie zetknął z młodym Mastersonem. Słyszał tylko o nim fantastyczne historie. I oto teraz, kiedy już nie wątpił, że na parę najbliższych tygodni zabezpieczył sobie przyzwoitą egzystencję, za przyczyną tego słynnego bohatera Prerii on, Horacy Jouett Greenwood, znowu znalazł się z kilkoma tylko dolarami w kieszeni, wystarczającymi zaledwie na zapłacenie rachunku hotelowego.

Ten pobieżny szkic dziejów Horacego wyjaśnił nam powody, które zmusiły jego ogólnie szanowaną rodzinę do wykreślenia go ze swych rozmów. Tym wdzięczniejszego tematu dostarczała osoba Horacego śmietance Tennessee, która z prawdziwą rozkoszą zapisywała na jego konto wszystkie najokropniejsze morderstwa i napady rabunkowe. Ktoś twierdził nawet, że zna w Cairo człowieka, którego przyjaciel z Liberty w stawnym bandycie Jessem Jamesie poznał Horacego – tyle tylko, że ufarbowanego na blond. Chociaż Horacy kroczył mroczną drogą przestępstwa, pod jednym względem pozostał dżentelmenem: do płci słabej odnosił się zawsze z niezwykłą galanterią. W ogóle, co się tyczy jego wyglądu zewnętrznego

i manier, nawet najwytworniejszy światowiec nie mógłby mu nie zarzucić. Nigdy też nie zapominał, że pochodzi z Południa, i dlatego przebywał bardzo krótko w Dodge City, bo kiedy w tancbudzie Shermana wybuchła awantura między graczami a załogą tamtejszego fortu, z rozkoszą zastrzelił jankeskiego żołnierza.

Horacy miał także małego, trochę dziecinnego konika. Otóż triki karciane nie były jego jedyną umiejętnością, chociaż w praktyce nimi popisywał się najczęściej, oczywiście nie wtajemniczając w to publiczności. Potrafił także rozweselić nawet najbardziej znudzone towarzystwo doskonale zestawionym programem salonowych sztuczek czarodziejskich. Rekwizyty „Małego Bosko” zawsze woził ze sobą, a podczas pobytu w Nowym Jorku niemal się z nimi nie rozstawał. Prędzej już odkładał derringery niż czarodziejskie jajeczko czy wybuchające cygaro.

Horacy rozważał właśnie z gorzką ironią, że nawet najsprytniejszy trik nie wyczarowałby mu z kieszeni utraconych przed chwilą pieniędzy, kiedy nagle u wejścia do jakiegoś lokalu rozrywkowego zobaczył wielką fotografię dziewczyny, której wdzięki toczyły zwycięski bój ze stanikiem bardzo obcisłej toalety. Trochę niżej litery bezwstydnego wielkości głosiły, że ulubienica Paryża, mlle Melitta Rosé (nazywana też Słowikiem Pól Elizejskich), zaszczyliła swoimi występami teatr Wurlitzera, gdzie co wieczór śpiewa kilka piosenek, które – tak jak i ona – stały się sensacją Saint Louis. Przy fortepianie faworyt



publiczności, popularny Eddie Koń... Horacy gwizdnął ze zdumienia. – Francuska Lola – mruknął do siebie. – Ta dziewczyna zawsze mówiła, że zrobi karierę.

Chwilę jeszcze w zamyśleniu przyglądał się obfitym wdziękom Melitty, jakby snuł przyjemne wspomnienia, gdy nagle ołsnął go pewien pomysł.

W kilka minut później zmierzał energicznym krokiem do jakiegoś celu. Na twarzy miał wyraz satysfakcji, a w notesie adres mademoiselle Rosé.

## SPOTKANIE STARYCH PRZYJACIÓŁ

Nie trzeba chyba dowodzić, że panna Melitta Rosé tyleż miała wspólnego z Paryżem, ile sznycel wiedeński, smażony w Nowej Fundlandii przez chińskiego kucharza – z Wiedniem. W rzeczywistości nazywała się Nelly Wheeler i mając piętnaście lat, uciekła od rodziców, czystej krwi Jankesów, z aktorem jakiejś wędrowniej trupy, którego matka była Francuzką. Kiedy kochanek wkrótce ją porzucił, znała już kilka francuskich słów, a swej ojczystej mowie przyswoiła coś, co nazywała francuskim akcentem. Horacy poznał ją w Medicine Bow i uwolnił od natręctwa jakiegoś pijanego Irlandczyka. Nie po to cukiernik wystawia tort, żeby się sam nim zajadać. Woli go sprzedać. Znieczulony przez Horacego Irlandczyk również zażądał od Nelly za darmo tego, co wołałaby ona sprzedać za przystołą sumę. Szarmantnemu obrońcy odudziacza się

za przyzwolną suknię. Szamankiemu ubiorowi odwdzięczyła się szczerze, aczkolwiek nie pieniędzmi. Nosiła już wtedy miano „Francuska Lola” i w chwilach wolnych od zajęć zawodowych śpiewała w jakimś strasznym lokalu sentymentalne piosenki. Ponieważ dekolt jej kostiumu był tak prowokująco odważny, że można go było nazwać agresywnym, atrakcyjność tych występów była raczej natury wizualnej niż słuchowej. Kiedy brała wysokie tony, publiczność, o dziwo, nie strzelała jej pod nogi, co w Loli wzbudziło przekonanie, że ma wielki talent wokalny. Zdecydowała się więc obrać pełną sukcesów karierę artystki. Horacy nie widział Loli od chwili opuszczenia budowy kolei U.P, ale afisz „teatru” Wurlitzera zorientował go, w jakiej mierze jej pragnienia się spełniły. Za pomocą zręcznie stawianych pytań dowiedział się od portiera owego pokątnego przybytku muz, że jego dawnej przyjaciółce udało się złować pewnego wpływowego jegomościa z Południowo-Zachodniego Towarzystwa Kolei Żelaznej, który ponoć nie szczędzi grosza, aby utrzymać jej względy. Horacy postanowił jak najrychlej ją odwiedzić i bardzo delikatnie poprosić o małą pożyczkę. Być może, iż wspominając stare czasy, spędzi z nią przyjemną godzinkę, nie zatrzymując zwróconego w przeszłość spojrzenia na swym cesarskim surducie, kamizelce i spodniach przerzuconych przez oparcie fotela.

Z zadowoleniem stwierdził, że Nelly-Lola-Melitta mieszka w pensjonacie pierwszej kategorii. Chciał właśnie zapukać, gdy wewnątrz rozkrzyczał się przenikliwy alt, przechodzący chwilami w histeryczny dyabłot. Dwa otworki się wyłokowały i niby

w misteryczny dyszkant. Drzwi otwarty się gwałtownie i, niby wystrzelona z armaty, wypadła z nich murzyńska dziewczyna w stroju pokojówki; jednocześnie powietrze przeciął ozdobiony łąbedzim puchem ranny pantofelek, zrzucając Horacemu z głowy cylinder. „Wybornie, Lola jest w domu” – pomyślał, czyszcząc nakrycie głowy rękawem. Potem chwycił pantofelek, ale nie będąc pewny, czy on także nie wywołał złości Loli, znowu go odłożył; minął kilkoma krokami przedpokój i zapukawszy lekko, wszedł. Ofiarą pierwszego ciosu, który powaliłby nawet słonia, stał się jego nos. Było to uderzenie straszliwej mieszaniny zapachu perfum z wonią smażonej słoniny i zwiędzłego piwa.

Horacy Jouett Greenwood strawił lata w podejrzanym środowisku i w podejrzanym pomieszczeniach. Toteż już nawet nie dostrzegał prostactwa burdelowego przepychu, jakim ociekały wszystkie te szulernie, salony i tancbudy. Jeżeli teraz skamieniał na widok powodzi gracików i łaszków, to dlatego, że nigdy jeszcze nie widział tak potwornej orgii złego gustu. W pokoju nie było miejsca, gdzie by coś nie leżało albo nie stało. Poduszki, gipsowe figurki, parawaniki, fotografie, haftowane makatki, taborety, kapy i kolekcja najrozmaitszych przedmiotów, których przeznaczenia nie sposób było odgadnąć. Na klawiaturze fortepianu, z ręcznie zamaskowanego narzutkami, stosami nut, fotografiami i gipsowymi biustami stał talerz z resztkami jedzenia i leżały sztuce; trochę dalej olbrzymi puszek sypał na czarne klawisze różowy puder.

Kiedy Horacy otrząsnął się wreszcie z wrażenia, jakie zrobił

Kiedy Horacy odzyskał się wieszając z wiązania, jakie zionę na nim ten widok, dostrzegł pośrodku pokoju górę czerwonego pluszu, która najwyraźniej pretendowała do miana sofy. Na oparciu tej purpurowej bestii piętrzył się stos brokatowych poduszek, a na nim królowała pulchna brunetka, otulająca się – dość zresztą bezskutecznie – pajęczyną koronkowego peniuaru. W jednym ręku trzymała z dystynkcją niedopity kufel piwa, drugą natomiast zanurzała w głębie ogromnej bombonierzy. Horacy nie spodziewał się, by go poznała. Przecież od spotkania spłynęło do morza wieczności jedenaście kropel jedenastu długich lat. Toteż skłonił się szarmancko i jął przeproszać, że pozwolił sobie przyjść bez uprzedzenia. Jakież było jego zdziwienie, kiedy dziewczyna, postawiwszy kufel na podłodze i przełknąwszy cukierek, z impetem rzuciła się go witać. Ze szczerym uczuciem lekkiego rozrzewnienia padli sobie w objęcia; od ostatniego spotkania upłynęło zbyt wiele lat, aby wspomnienie minionych czasów nie poruszyło ich stwardniałych serc. Kufel od piwa zniknął pod fortepianem, kopnięty niepostrzeżenie nóżką w różowym pantofelku, którego bliźniaczy brat bombardował przed chwilą cylinder szulera, po czym Lola, przybierając malowniczą pozę, zajęła miejsce na sofie, Horacy zaś uplasował się jak najbliżej, zanurzony w miękkim taborecie. Kiedy po chwili pokojówka, uprzątnąwszy taktownie z klawiatury nieapetyczny talerz, przydreptała, niosąc coś niecoś na orzeźwienie, gwiazda teatru Wurlitzera nie wytrzymała dłużej i niemal jednym tchem załapała Greenwooda historią swej kariery. Z jej opowieści mogliście wynieść niezbite przekonanie,

że najslawniejsze wedety Metropolitan House bladły z zawiści, słysząc nazwisko Melitta Rosé. Swój olśniewający życiorys zakończyła tchnącą optymizmem wzmianką o obiecującej przyszłości, jaka ją czeka dzięki umowie podpisanej z renomowanym nowoorleańskim music-hallem. Wtedy dopiero uznała za właściwe spytać Horacego o jego losy i obecne zajęcie. Co się tyczy drugiego pytania, to wszelkie wątpliwości rozwiąła chusteczka do nosa, którą szuler akurat wyciągnął z kieszeni, aby otrzeć wargi; wypadł z niej as pikowy – usta nie mogłyby dać jaśniejszej odpowiedzi. Oboje się z tego serdecznie uśmieli. Następnie Lola koniecznie chciała wiedzieć, jak się Horacemu podoba urządzenie pokoju. Odpowiedział dyplomatycznie, że z pewnością kosztowało mnóstwo pieniędzy. Zresztą i tak nie dała mu dojść do słowa. Mówiła, że wszystko wybierała sama, od fortepianu aż po najmniejszy gwoździak w ścianie. Zapewnił skwapliwie, że wcale w to nie wątpi.

– Ale, ale, ty jeszcze nie znasz Grata? Oczywiście, za wszystko płacił Grat! – Uśmiechnęła się szelmowsko. Zeskoczyła z sofy i przyniosła fotografię w okazałej ramce. – Grattan Maurice Bennett! – przedstawiła z żartobliwą ceremonialnością postać z portretu. Horacy ujrział poważnego pana z mnóstwem masonskich odznak w klapie surduta. Miał minę właściciela plantacji, który w pełnym sezonie zbioru bawełny złapałby czarnucha pogrążonego w lekturze Trzech muszkietierów. Z jego energicznej twarzy w okolicach szczęk sterczał jakiś czarny futerał; dopiero po bliższym przyjrzeniu się można było

rozpoznać, iż jest to w istocie wspaniała, starannie przystrzyżona à la Ramzes II broda.

– Wygląda nieźle – mruknął Horacy, nie mogąc się zmusić do powiedzenia czegoś pochlebniejszego.

– Kocha mnie do szaleństwa – zapewniała go Lola. – I zasypuje prezentami! Nawet ta ramka jest z czternastokaratowego złota.

To sobie dobrze zapamiętał.

– A jaki zazdrosny! Gdyby cię tu zastał, rozwaliliby wszystko na kawałki!

Horacy pomyślał, że do tego obeszloby się bez ataku zazdrości, na wszelki wypadek jednak zapytał, czy rzeczywiście jest pewna, że pan Bennett się teraz nie zjawi. Słownik Paryża uspokoił go. Tymczasem pokojówka oddaliła się dyskretnie, a Horacy zaproponował mademoiselle Melicie, że się przesiądzie na sofę, by im się lepiej rozmawiało. Nie zaprotestowała, lecz zręcznym ruchem uczyniła jeszcze ponętniejszym rowek między ściśniętymi sznurówką piersiami. Potem szepnęła tkliwie: – Mon cher – i pogładziła go po włosach. Lecz Horacy całkiem prozaicznie zwrócił jej uwagę, „żeby się nie wysilała z tymi francuskimi słowami”. Przecież on dobrze wie, że taka z niej Francuzka, jak z niego Arab. Było to powiedziane tak uroczo, że wcale się nie obraziła. Poczęli wspominać stare czasy.

– Jeszcze teraz serce się we mnie tłucze jak przestraszony ptaszek, kiedy sobie przypomnę tego ohydneho pijaka, coś mu tak nakładł po gębie! – szepnęła marząco.

Horacy zajął się właśnie gorsetem Loli, aby się przekonać, czy serce jej rzeczywiście tłucze się niby przestraszony ptaszek, kiedy w hallu zadźwięczał dzwonek, a zaraz potem rozległ się głęboki bas, jakby trochę zirytowany odpowiedziami murzyńskiej pokojówki. Lola skoczyła z sofy jak pchnięta sprężyną.

– To Grat – syknęła. – Jeżeli cię tu zobaczy, nie wyduszę już z niego ani centa!

Ten argument trafił Horacemu do przekonania. Z pośpiechem chwycił laskę, cylinder i rękawiczki i popędził w skok za Lolą, która go ciągnęła ku wielkiej szafie. Znalazł się w jej ciemnym wnętrzu przesyconym zapachem lawendy, muskany delikatnie przez jakieś szeleszczące materie. „Jak we francuskiej farsie – pomyślał. – Byle tylko nie trwało to zbyt długo”. Klucz od szafy zachrobotał akurat w chwili, gdy finansista Loli otwierał drzwi buduaru. Horacy wyobrażał sobie, jak – z rozbudzoną na skutek zmieszania pokojówki czujnością – rzuca wokoło podejrzliwe spojrzenia, czy przypadkiem czego nie odkryje. Stwierdził także, że ten wór pieniędzy nie przyszedł sam, do jego uszu bowiem dobiegł jeszcze jakiś nosowy męski głos.

W stosunku pana Bennetta do Loli stanowczo nie było nic niewolniczego. Ton, jakim mówił do śpiewaczki, zdradzał raczej, że wie doskonale, ile wpackował w nią pieniędzy; traktował ją poniekąd jak swoją własność, luksusowy przedmiot, z którym można robić, co się chce.

Sprężyny fotela jęknęły pod jego ciężarem. Najprzód oznajmił Loli, że Mazanowitch otrzymał nową dostawę francuskich perfum; jego zdaniem akurat teraz jest najdogodniejsza pora, aby je poszła obejrzeć. (Zaszeleściły banknoty i rozległ się odgłos dziękczynnego pocałunku). Ostatecznie, czemu by nie miał powiedzieć jej tego wprost: chce być z panem Harrisonem (z pewnością miał na myśli mówiącego przez nos jegomościa) zupełnie sam. Musi omówić bardzo poufny interes i uważa, że do załatwiania tak absolutnie prywatnych spraw buduar Loli nadaje się najlepiej. Nie wątpi, że taka sucha, czysto handlowa rozmowa tylko by ją nudziła. Zresztą te bajeczne kapelusiki z czarnymi strusimi piórami na Long Street są także godne uwagi. (Znowu szelest banknotów, zakończony młasnieniem). Krótko mówiąc, niech nie wraca wcześniej niż za godzinę. Pokojówkę może wziąć ze sobą, oni już obsłużą się sami.

Wszystkie te życzenia wygłoszone zostały niezwykle kategorycznym tonem, a Lola nie zaprotestowała ani słowem. Horacy przypomniał sobie jej negliż i zląkł się, że będzie musiała otworzyć szafę, aby wyjąć nieodzowną na ten przymusowy spacer suknie. Lola jednak dała sobie radę – włożyła to



spacera sukni. Lola jednak sama sobie nigdy nie wzięła w, co znalazła poza niebezpieczną strefą szafy. W słowa Bennetta od czasu do czasu wdzieriała się dudniąca glucho fanfara: to pan Harrison czyścił nos. Kiedy finansista zakończył swe imperatywne propozycje, dał się słyszeć jego nosowy głos, mówiący, że „padda Lola wspaniade urządziła sobie bokój, to trzeba brzyznać”. Pan Bennett okazał żywe zainteresowanie, gdzie teraz, w środku lata, można złapać taki katar, na co pan Harrison odparł, że „nawed nie wie”.

Po kilku chwilach, niezbędnych na damską toaletę, to jest mniej więcej po trzech kwadransach, Lola oddaliła się z szumem sukni, serdecznie ucałowawszy swego protektora w łysinę. Cały czas przedtem zasypywała go słowami, a prawdopodobnie i pieścizotami. Horacy musiał skłonić głowę przed tak mistrzowską sztuką hipokryzji, tracił jednak humor – zanosilo się, że będzie sterczał w tej szafie parę godzin. Było mu straszliwie gorąco, a od zapachu ciężkich perfum rozboleła go głowa. Ale pan Bennett zaczął opowiadać takie rzeczy, że Horacemu uszy wyciągnęły się z miejsca o kilka centymetrów, a senność odeszła go całkiem.

## IDŹ NA ZACHÓD, MŁODY CZŁOWIEKU!

Finansista oznajmił najprzód Harrisonowi, że wybrał właśnie jego jako najbardziej doświadczonego, najrzęczniejszego, a przede wszystkim najbardziej godnego zaufania spośród swych agentów. Pracują przecież ze sobą już wiele lat i można

powiedzieć – ku obopólnemu zadowoleniu. Jedna strona znakomicie wypełnia wszystkie polecenia, druga udziela świetnych prowizji. Tym razem jednak idzie o największy interes, jaki trafił im się kiedykolwiek. A więc do rzeczy.

Dotychczas ostatnią stacją na trasie kolejowej, należącej do Południowo-Zachodniego Towarzystwa Kolei Żelaznej, jest Powderville. To ruchliwe miasto przeżywa okres prosperity, który zawdzięcza przede wszystkim temu, że leży na krańcu największego szlaku handlu bydłem. W Powderville kończy się jego pylista wstęga. Do Powderville kowboje pędzą i sprzedają tam setki tysięcy sztuk bydła, które następnie wędruje koleją na wschód. Oczywiście, znaczną część uzyskanych ze sprzedaży pieniędzy zostawiają w kieszeniach obywateli Powderville. Na południowy zachód od Powderville, a mniej więcej w tej samej odległości od bydłowego szlaku, leżą dwa niepozorne miasteczka: Yellow Creek i Cowntown. Z miesiąc temu Towarzystwo postanowiło przedłużyć linię kolejową aż do Yellow Creek. Wszystkie miejscowe gazety puchną od czezej gadaniny na temat niespodzianego rozwoju tej dziury. Tylko że sytuacja tymczasem się zmieniła: kolej zostanie przeprowadzona nie do Yellow Creek, ale do Cowntown. Pana Harrisona absolutnie nie powinno obchodzić, kto tak zdecydował. Najważniejsze, że o zmianie pierwotnego planu wie dotychczas tylko dwóch lub trzech ludzi z Towarzystwa; nikt poza tym nie ma pojęcia o jutrzejszym obliczu Cowntown, które w ciągu pół roku wyrośnie na najruchliwsze miasto

Południowego Zachodu. Przeniesie się tam cały handel bydłem, któż by bowiem gnał stado aż do Powderville, skoro może je sprzedać już w Cowntown. Oczywiście, Towarzystwo przedłuży potem linię kolejową, ale będzie ona skręcała raptownie na północ, aby ominąć trudne do przebycia odnogi Gór Purpurowych. Naturalnie, na skutek tego kolej znacznie się oddali od kowbojskiego szlaku, Cowntown więc pozostanie najbardziej wysuniętym na południowy zachód punktem sprzedaży bydła. Oprócz tego Towarzystwo umieści tam swoje warsztaty kolejowe. Krótko mówiąc, ta nędzna wioska zmieni się w istny Babilon, przez który przepływać będzie rzeka złota. Ale dotychczas nikt nic nie wie, a najmniej mieszkańcy Cowntown.

Ludzie tam mają kupę ziemi, która dziś jeszcze nie przedstawia żadnej wartości. Nawet nie przeczuwają, że są właścicielami niezwykle rentownych parcel. Jednym słowem: pan Harrison pojedzie do Cowntown i poskupuje, ile się da. Za akr zapłaci dwa, trzy, najwyżej cztery dolary; nie wolno mu oferować zbyt wysokiej ceny, aby nie wzbudzić podejrzenia. Kupować może pod jakimkolwiek bzdurnym pretekstem – że zamierzą założyć tam plantację melonów lub coś w tym rodzaju. Oto plan miasta. (Horacy usłyszał znów szelest papieru). Tu będzie dworzec, tu warsztaty kolejowe. Ta ulica tutaj, która oczywiście jeszcze nie istnieje, stanie się główną arterią miasta. Dlatego tereny po obu jej stronach mają wartość żył złota. Właśnie o te parcele chodzi nrzede wszvstkim. Co iednak jest bardzo ważne – to to. że on.

Grattan Maurice Bennett, jako wysoki urzędnik Towarzystwa, nic o tej spekulacji nie wie. Pan Harrison kupuje wszystko dla siebie. Teraz sprawa pieniędzy. Pan Harrison będzie płacił gotówką, musi bowiem zdobyć całkowite zaufanie mieszkańców. Ze względu na pewne okoliczności, których G.M. Bennett nie zamierza teraz wyjaśniać, pan Harrison nie może od niego otrzymać potrzebnej kwoty już w tej chwili. Natomiast jeszcze dziś, wieczornym pociągiem wyjedzie do Kansas City, gdzie jutro w barze hotelu Sandersa będzie go oczekiwał człowiek, który da mu dokładny plan parcel oraz sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Na razie to musi starczyć. Ten jegomość w Kansas City jest ogniście rudy i brakuje mu małego palca u lewej ręki. Harrison znać jednak musi hasło, którym się wylegitymuje jako agent Bennetta. Hasło to brzmi: Idź na Zachód, młody człowieku!

Pan Bennett jeszcze z pół godziny omawiał z Harrisonem kilka szczegółów, dotyczących przede wszystkim szyfrowania telegramów o przebiegu kupna. Jego wywody co chwila przerywało grzmiące kichnięcie pana Harrisona, które wstrząsało meblami i wprawiało w drżenie struny fortepianu. Wreszcie obaj w różowych humorach opuścili mieszkanie Loli, nie przeczuwając, że pozostał w nim jeszcze ktoś trzeci, w równie optymistycznym nastroju. Już na długo bowiem przed odejściem obu panów w głowie Horacego dojrzał plan, który wszystkie owoce zabiegów finansisty miał strząsnąć jemu w podolek. W chwili kiedy pan Bennett objaśniał Harrisonowi przebieg

W chwili, kiedy pan Benket ogłosił Harrisonowi przegraną całej akcji, karciarz powiedział sobie, że nie byłoby źle zdmuchnąć mu sprzed nosa kilka najlepszych parcel – byle tylko mieć trochę pieniędzy. Ale skąd je wziąć?

Nagle, niby ognie bengalskie podczas iluminacji, eksplodowała w jego mózgu olśniewająca myśl. Idź na Zachód, młody człowieku! Przecież zna hasło! A więc ma klucz do żywego skarbcza, wypchanego stu pięćdziesięcioma tysiącami! Wyprzedzić tylko Harrisona o kilka minut, a te sto pięćdziesiąt tysięcy znajdzie się w jego kieszeni. Oczywiście, że potem ściągnie sobie na głowę ludzi Bennetta. Nie pozostaje więc nic innego, jak zmusić Harrisona i rudzielca od Sandersa do milczenia. Tak, zmusić za wszelką cenę, choćby to miała być cena krwi. Mój Boże, przecież gra warta jest świeczki. Życie daje mu szansę, która może się już nigdy nie zdarzyć. Tylko odrobina odwagi, a stanie się panem miasta, rosnącego z godziny na godzinę w tempie, jakie zna jedynie ukochany Zachód. Doprowadzało go do wściekłości, że musi tkwić tu w szafie, podczas gdy uciekały szybko drogocenne minuty. Tylko lodowato zimna krew, jaką wyrobił w nim jego niebezpieczny zawód, tłumiała gwałtowne bicie wzruszonego serca. Ledwie kroki obu mężczyzn ucichły na schodach, Horacy mocnym uderzeniem ramienia rozwarł drzwi szafy.

Nagle przypomniał sobie, że nie ma ani grosza. Rozejrzał się po pokoju, nie marnując czasu na zbyt drobiazgową analizę etnicznej strony swych zamierzeń. Jego wzrok zatrzymał się

na czternastokaratowej ramce fotografii Bennetta. Kiedy jednak poddał ją bardziej szczegółowym oględzinom, stwierdził, że albo pan Bennett Lolę nabrał, albo też Lola puściła wodze fantazji. Rzucił się więc ku toaletce. Różane drzewo leciało w drzazgi, zameczki pękały. Wyłamał trzy szufladki, zanim osądził, że jedynie srebrna, wysadzana turkusami bransoleta może mu zapewnić wygodną drogę do przyszłego Eldorado. Potem usiadł na taboreciku fortepianu i nabazgrał pośpiesznie kilka linijek, aby usprawiedliwić przed Lolą swoje panoszenie się w jej pokoju.

Droga Lolu!

Niespodziewane okoliczności zmusiły mnie do rozstania się z Tobą bez pożegnania. Przypuszczam, że dostrzeżesz brak pewnej drobnostki; skryłem ją na sercu jako miłą pamiątkę, która zawsze będzie mi przypominała Twą słodką twarzyczkę, jestem zresztą przekonany, że wkrótce spotkamy się znowu, a wówczas wynagrodzę Ci cały ten nieporządek, którego przyczyną stała się moja obecność tutaj.

Zawsze o Tobie pamiętający

Horacy

Wkładając cylinder – jego cylinder zawsze siedział na głowie z nieporównanym szykiem – uświadomił sobie, że właściwie nie ma pojęcia, jak pan Harrison wygląda. To jednak nie zdołało

wytrącić go z dobrego nastroju. Ale kiedy w dwie godziny później przedzierał się na dworcu przez różnobarwny tłum, zaczynał tracić wiarę w szczęśliwy przypadek, który by postawił na jego drodze zakatarzonego agenta Bennetta. Humor zwarzył mu do reszty jakiś dobrodusznie wyglądający wieśniak.

Sam los kierował obcasem tego człowieka i z impetem umieścił go razem z całym ciężarem rozłożystego ciała na lśniącem nosku trzewika Horacego. Horacy spurpurowiał z wściekłości i już otworzył usta, by wysyczyć jakiś pogardliwy epitet, gdy chłopek obrócił się i powiedział przeprasającym tonem:

– Najmodniej przepraszam, dobrawdy jezd mi barco przykro!

## HORACY NIE MOŻE SIĘ SKARŻYĆ FORTUNA TRACI UMIAR

W chwili gdy zachodzące słońce skapało peron saintlouiskiego dworca w świetle barwy sosu pomidorowego, ścianami wagonów wstrząsnęły suche trzaski. Nie, nie – nie była to strzelanina! To tylko trzaskały drzwi wagonów, nadszedł bowiem czas odjazdu pociągu.

Horacy, z jedną nogą na stopniu, wciągnął do płuc kłęb dymu z drogiego cygara, delektował się chwilę smakiem nikotyny, po czym wydmuchnął nozdrzami szarą smugę. Pełen zadowolenia uśmiech gościł na jego szczupłej twarzy. Powód tego dobrego humoru siedział w wagonie w postaci

dobrodusznego wieśniaka, a zwał się Harrison. Kiedy konduktor dał znak do odjazdu, szuler nonszalanckim gestem odrzucił niedopałek, którego długość świadczyła o wypchanym portfelu, pozwalającym na tak marnotrawne szastanie luksusowymi cygarami. Bez pośpiechu zdjął cylinder, otarł czoło jedwabną chusteczką, włożył cylinder z powrotem i przycisnąwszy wytwornym gestem denko, wskoczył na platformę akurat w chwili, gdy pociąg z wolna ruszał wśród licznych efektów dźwiękowych i wstrząsów.

Zamierzał już wejść do wagonu, aby pilnować swego wieśniaka, gdy za jego plecami rozległy się błagalne okrzyki zagłuszające sapanie lokomotywy. Obejrząwszy się, zobaczył chudego człowieczka, kłusującego obok stopnia. Człowieczek, ledwie chwytając dech, włókł za sobą olbrzymią walizę, która oczywiście nie ułatwiała mu wytrwałego wyścigu. Greenwood początkowo przyglądał się beczynnemu tym wysiłkom, udając złośliwie, że z powodu huku pociągu nie rozumie próśb nieszczęśnika, ale w końcu zrozpaczony wyraz jego wybałuszonych oczu wzbudził w nim litość. Wyciągnął pomocną dłoń i jegomość, zebrawszy resztki sił, wrzucił swój bagaż na platformę. Dzięki interwencji Horacego waliza nie poleciała za daleko, ale zamki nie wytrzymały brutalnego zetknięcia z podłogą platformy, wieko odskoczyło, a zawartość wyleciała na zewnątrz. Horacemu oczy wyszły na wierzch ze zdumienia, z walizy bowiem wycoczyła się kryształowa kula, a za nią pośliznęła ludzka czaszka, radośnie kłapiąca przymocowanymi



drutem szczękami. Tę dość niezwykłą zawartość walizy uzupełniał trochę przybrudzony turban z białego jedwabiu, krótki mieczyk i kilka innych przedmiotów, w których Horacy natychmiast rozpoznał używane przez iluzjonistów akcesoria. Tymczasem człowieczek, pozbawiony obciążenia, wskoczył na platformę. Zgięty wpół, zgarniał rozrzucone rupiecie do walizy, wtem wyskoczył nagle w górę niby diablik z pudełeczka i złożywszy szulerowi głęboki ukłon, przedstawił się jako profesor Dara Shikoh, badacz okultystyczny i adept szkoły joginów; zamierza właśnie odbyć tournée po Dzikim Zachodzie, aby ukazać jego przesiąkniętym materializmem mieszkańcom, jak wiele jest rzeczy między niebem a ziemią. Rozpływając się z wdzięczności, potrząsał prawicą Horacego i dziękował mu za pomoc. Jego podobieństwo do nieszkodliwego kukielkowego Lucyfera zwiększała jeszcze przystrzyżona w szpic hebanowa bródka, napomadowane wąsy i grzywa kruczych włosów. Jednakże gdy począł przed Greenwoodem roztaczać panoramę swych sukcesów na polu czarnej i białej magii, których świadkami byli przeważnie książęta krwi, gubernatorzy i premierzy rządów, gracz przerwał mu niezbyt uprzejmie i wszedł do wagonu, aby zobaczyć, czy z panem Harrisonem coś się tymczasem nie stało. Stanowczo nie wolno mu ani na sekundę spuścić go z oczu, dopóki nie znajdzie jakiegoś skutecznego sposobu, aby uniemożliwić mu spotkanie z rzyżym agentem z hotelu Sandersa. Jednakże ku swemu zadowoleniu znalazł Harrisona w znakomitej formie, chociaż trochę znużonego ciągłym wcieraniem wielkiego nosa.

Horacy wyszukał miejsce, z którego mógł obserwować każdy ruch naganiacza Bennetta; dopiero wtedy rozejrzał się po pozostałych towarzyszach podróży. Nagle unióś lekko brwi. U przeciwległego okna siedzieli kilku mężczyzn, z napięciem wpatrzonych w wachlarzyki pięciu kart.

„No nie – pomyślał Horacy. – Fortuna całkiem dziś straciła umiar!”. Tak, stanowczo nadszedł moment, kiedy mógł zdobyć więcej pieniędzy niż kiedykolwiek dotychczas. Dwóch z graczy Horacy znał i w ciągu sekundy potrafił odgadnąć sumę, jaką bez trudu da się z nich wypompuwać. Ten szpakowaty pan osiadłany łękiem olbrzymiego cwikiera zbytnio przypominał wyglądem wielebnego pastora, aby nim być naprawdę. I rzeczywiście, pod jagnięcą skórą krył się jeden z najprzebieglejszych wilków grasujących w Kansas, „król podkładów kolejowych”, pan Randolph Lowry Thunsdall. Ale Horacego bardziej interesował drugi z graczy, ponieważ uważał go za ucieśnienie idealnego typu durnia.

W istocie Ike Schiffkarten, który dorobił się magnackiej fortuny na handlu bydłem, był zapalonym pokerzystą, aczkolwiek nieszczęsna ta namiętność chronicznie przewietrzała mu sakiewkę, zresztą istny worek bez dna. Horacy, który miał duszę estety, postanowił oskubać go bezlitośnie, wygląd tego człowieka bowiem sprawiał oku miłującemu piękno prawdziwe męki. Już sama twarz Schiffkartena zdradzała jego zajęcie: było

to oblicze koloru krwawego befsztyka, o wyrazie zapóźnionego w rozwoju aligatora. A do tego jeszcze ten niemożliwy kostium! Ten masywny łańcuch, niewiele cieńszy od kotwicznego, dźwięczący na brzuchu wbitym w pstre kamizelki o kwiecistym wzorze, ten rzucający się w oczy kremowy stetson! Wzrok odwraca się z obrzydzeniem od tak klasycznego okazu nieokrzesania i braku inteligencji.

Ale ów wygląd zewnętrzny, aczkolwiek napawał wstrętem, przykuwał uwagę pewnym niezwykłym szczegółem. Mianowicie pan Schiffkarten nie miał jednego oka, które zastąpił – jak zazwyczaj w takich wypadkach się czyni – o wiele bardziej trwałym okiem sztucznym. Jednakże tak pospolity materiał jak szkło źle reprezentowałby potencjał finansowy jednego z najmajętniejszych ludzi w Kansas. Toteż Ike kazał osadzić w szklanej żrenicy wspaniałą szafir, który swym złowieszczym blaskiem miał przypominać zwykłym śmiertelnikom jego krezusowe bogactwo. Właśnie dzięki temu klejnotowi handlarz bydlęm zyskał u mieszkańców Zachodu przezwisko Szafirowy Ike.

Pozostali gracze nie wydawali się już tak interesujący, chociaż Greenwood, po dzisiejszej kłęsce, jaką zgotował mu Masterson, zlustrował ich starannie. Szczegóły ubioru wskazywały, że są to ludzie zamożni. Na łańcuszku od zegarka jednego z nich kołysała się złota łyżeczka do uszu, a palców drugiego niemal nie było widać spod kolekcji migoczących pierścieni.

Horacy chwilę zerkał na karty w ich rękach. Potem zdjął z siatki sakwojaż, otworzył i zgarmał warstwę białizny z wierzchu. Pod nią, starannie poukładane, leżały talie kart najróżniejszego rodzaju i wieku. W każdej znajdowała się figura, która w pewnych okolicznościach mogła pozbawić go na jakiś czas przyziemnych trosk o zapewnienie sobie egzystencji. Wybrał jedną talię, wsunął ją do kieszeni w rękawie, tuż obok derringera, i czekał na sprzyjający moment. Nie musiał czekać zbyt długo. Mężczyzna z kolekcją pierścieni, nie bez satysfakcji, poniechał gry. Wtedy Horacy wstał, podszedł do grających i z wyszukaną uprzejmością spytał, czy mógłby przyłączyć się do tak interesującej partii. Nikt nie zaprotestował, ale nikt także nie zachłystywał się entuzjazmem; to oczywiście Horacemu nie wadziło. Gdy Schiffkarten łypał na niego nieuprzejmie swym krokodylim okiem, wodniste źrenice pana Lowry'ego Thunsdalla mierzyły bacznie spod przymkniętych powiek jego czarno odzianą postać. „Czyżby mnie już skądś znał? – zląkł się Greenwood. – No, w takim razie nic z nich nie wyduszę!”.

– Często grywa pan w karty, co? – spytał król podkładów swym łagodnym, księżym głosem.

„Już zwąchał!” – osądził w duchu Horacy, mimo to jednak przybrał maskę imponującej godności i odparł:

– Gram często, dobrze i uczciwie!

– To od razu widać – zarechotał Szafirowy Ike, wykrzywiając się diabelsko.

Ta ordynarna uwaga sprawiła, że Horacy o mało nie poczerwieniał z wściekłości; ograniczył się jednak do solennego postanowienia, że nie spocznie, póki nie ogra handlarza bydlęm do suchej nitki. Co się tyczy pana Thunsdalla, to ów na szczęście nie pisał już ani słowa.

Zaczęli pierwszą partię. Greenwood działał taktycznie, według z góry obmyślonego planu. Najpierw wygrał małą sumę; potem, jakby mu sukces uderzył do głowy, zaczął powiększać stawki i tak, blefując, najwyraźniej pakował się w zgubę. Krótko mówiąc, z rozkoszą udawał żółtodzioba, który myśli, że wygra, jeżeli będzie grał w pokera tak jak w zwykłą hazardową grę. Przyszedł konduktor i usiłował protestować przeciwko hazardowi; solidny napiwek nie tylko zatkał mu usta, lecz także zrobił z niego rozentuzjasmowanego kibica. Również profesor Dara Shikoh obserwował grę, w szczególnie podniecających momentach kręcąc wściekle swój smolście czarny magiczny wąs. Wkrótce rozpętało się w wagonie jeszcze kilka partii, ale w żadnej nie grano tak wysoko, żadna też nie wzbudziła takiego zainteresowania.

Przy jednym z dotkliwszych niepowodzeń Greenwooda Schiffkarten zaczął złośliwie dowcipkować. Okazuje się, że pan Hudson (tak się Horacy przedstawił) rzeczywiście gra w pokera

uczciwie; stanowczo jednak nie gra dobrze. Jeśli zaś istotnie grywa często, to z wielką szkodą dla siebie, mógłby bowiem spędzać tak drogo zabijany czas w dużo użyteczniejszy sposób, na przykład majstrując teatrzyk kukiełkowy z kartofli. Głupi świniarz nie przeczuwał, że drażni bosą stopą grzechotnika. Jego słowa istotnie skłoniły Horacego, by zaczął pracować zarobkowo. Przypadkiem spojrzął na pana Lowry'ego Thunsdalla i stwierdził, że w szklach jego grubych okularów odbija się, wprawdzie zmniejszony, ale wyraźny obraz dwóch z pięciu kart, które ów dżentelmen trzymał w dłoni. A gdyby tak to lustro odbijało wszystkie diabelskie obrazki? Zwrócił Thunsdallowi uwagę, aby trzymał karty bliżej siebie, bo widać wszystko, co ma w ręku, gra staje się nieuczciwa, a on, Horacy, jako człowiek honoru nie może tego znieść. O dziwo, chytry przedsiębiorca dał się nabrać. Nie tylko że natychmiast pokazał Horacemu w zdradliwych okularach cały komplet kart, ale jeszcze zarzucił go komplementami.

– Zawsze chętnie gram z dżentelmenami – mówił serdecznie – toteż jest mi w dwójnasób przykro, że tym razem szczęście panu nie dopisuje.

Horacy skłonił się i odpowiedział, że słowa uznania z tak czcigodnych ust zrównoważyłyby nawet dziesięciokrotnie większą przegraną. Byliby sobie prawili komplementy aż do znudzenia, ale Schiffkarten grubiańsko przerwał ich dworne tyrazy, oznajmiając, że podwyższa stawkę o sto

procent.

## OPOWIEŚĆ O SŁAWNEJ POSTACI

Już się ściemniało, gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś małej, nieznaczącej stacji. Jej nazwa jednak wzbudziła żywe zainteresowanie pasażerów, bo mniej więcej przed miesiącem miasteczko to zaszczycił wizytą sam Jesse James i podjął z Pierwszego Banku Narodowego, oczywiście wbrew woli kasjera, ponad dwadzieścia tysięcy dolarów. Bandyci dokonali rabunku z taką szaleńczą odwagą, że mówiono o tym w całych Stanach, nic też dziwnego, że większość podróżnych zaczęła teraz wspominać tę historię. Wszyscy tłoczyli się do okien, aby w gęstniejącym mroku zobaczyć budynek banku, przedziwne skrzyżowanie składu towarów z gotycką kaplicą. Horacy wykorzystał powstałe w związku z tym zamieszanie, aby sobie przygotować na podorędziu czwartego asa, który miał go uzbroić do pierwszej ofensywnej akcji przeciw handlarzowi bydła. Uwaga wszystkich była zajęta niemal bez reszty miejscem niedawnego wypadku i osobą legendarnego bandyty, który już ponad dziesięć lat terroryzował cały Środkowy Zachód od Kentucky aż po Kansas. Jasnowłosy desperado stał się ośrodkiem niezwykle żywej konwersacji w całym wagonie. Entuzjastyczni bardowie sagi o Jamesie prześcigali się w opiewaniu przykładów odwagi bandyty i jego zimnej krwi. Imię Jamesa było na ustach wszystkich. Popularność tego mordującego baptysty zaćmiewała wówczas sławę

najsilniejszych pięściarzy i najwymowniejszych polityków. Odnosiło się wrażenie, jakby w wagonie zebrało się kółko najbliższych przyjaciół Jamesa, wszyscy bowiem nazywali go wyłącznie chrzestnym imieniem, wymawiając je przy tym niesłychanie familiarnym tonem.

Karciarze tymczasem nasycili się widokiem historycznego miejsca i postanowili wrócić do gry. Wtedy właśnie zdarzył się drobny epizod, którego doniosłość została oceniona dopiero później. Profesor Dara Shikoh, z taką namiętnością kibicujący graczom, znajdował się najwidoczniej w położeniu równowagi chwiejnej, bo kiedy pociąg z przenikliwym gwizdem ruszył, magik zamachał ramionami, przez kilka sekund szukał niepewnie oparcia na brzuchu gracza ze złotą łyżeczką, po czym zderzywszy się z nim, runął na podłogę. Ostatecznie upadek skończył się dosyć szczęśliwie, głowa profesora bowiem wbiła się w materac ze słoniny na żołądku pana Schiffkartena. Szafirowy Ike stęknął przejmująco. Karty wyleciały mu z ręki i z lekkim plaśnięciem upadły na ziemię, zwracając ku sufitowi zdruzzone twarze trzech królów i dwóch dam. Kiedy Ike na nie spojrział, posiniał z wściekłości. Królewski full! Nic dziwnego, że obrzucił nieszczęsnego czarodzieja ordynarnymi wyzwiskami, i tylko Thunsdall, który pomagał Shikohowi wstać, obronił go przed zetknięciem z pięścią Schiffkartena.

– No, to przechodzi gra – burknął Ike, pogodziwszy się z losem.

Horacy mało nie nekł ze złości. Jego czwórka asów psu na bucie



się zdała! Ale w bladej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, kiedy zrzucił tak piękną, a przecież niepotrzebną figurę, drugą ręką chowając do cylindra rezerwowego asa.

Pociąg tymczasem pędził przez gęstniejący coraz bardziej mrok, a w wagonie w dalszym ciągu z lubością rozprawiano na temat Jamesa; opowieści o jego czynach w ustach licznych narratorów przybierały formę niemal baśniową.

Uwagę przykuły zwłaszcza słowa człowieka, który przeżył sławną northfieldzką masakrę, jaka w roku siedemdziesiątym szóstym zdziętkowała Jamesowską bandę. Bracia Jamesowie, Jesse i Frank, pracowali wówczas z nader przedsiębiorczą, aczkolwiek mniej popularną firmą braci Youngerów. Wielcy bandyci znużyli się już wówczas wiecznie jednakowym, monotonnym przebiegiem napadów. Przy tym w ostatnim czasie pojawiło się paru rabusiów, mogących się wykazać robotą nie mniej czystą jak firma James&Younger. Postanowili więc wzbogacić swój program o sensacyjny majstersztyk, gwóźdź bandyckiej kariery – jednym słowem, przedsięwziąć coś niebywałego. Tak powstała idea złupienia dwu kas w jednym mieście naraz, Northfield w Minnesocie stał się widownią napadu, zakończonego bezwzględny fiaskiem. Czemu tak kiepsko skończyła się rzecz, rozpoczęta tak dobrze – o tym mogli bracia Youngerowie dyskutować co nieco później w słodkiej ciszy więziennych szarych godzin. Jamesom zaś na te dżwaskie brakło z nownością czasu. dentała im bowiem

po piętach zgraja nader gorliwych tropicieli. Bądź co bądź – wielce ambitne postawili sobie zadanie. Mniej więcej dwadzieścia lat później bracia Daltonowie w kansaskim Coffeyville spróbowali tegoż samego – z równie krwawym efektem. Bez wątpienia jednak nie sposób stwierdzić, by northfieldzka katastrofa choćby trochę zmniejszyła popularność Jessego.

Pan Harrison miał nieszczęście wyrwać się z twierdzeniem, że jeżeli chodzi o celność strzału, to Jesse nie dorósł do swego brata Franka. Pasażerowie potraktowali oszczercę z zasłużoną wzdrgadą i nikt już się do niego nie odezwał ani słowem. Tylko jakiś fotograf z Topeki odważył się powiedzieć, że przed kilku miesiącami spotkał w Abilene człowieka, który strzelał równie wybornie jak Jesse James. Nazywali go Lemoniadowy Joe czy jakoś tak. Ten facet jedną ręką, jednym sześciostrzałowcem, załatwił ośmiu rewolwerowców. Cała historia nie trwała nawet minuty. Stało się to w barze Pod Uciechą Prowodyra.

Lemoniadowy Joe opierał się o szynkwias i popijał lemoniadę Kolakoka. Taki już ma zwyczaj. Nagle z trzaskiem otwały się drzwi i stanęło w nich ośmiu zabijaków z koltami w garści. Goście natychmiast zniknęli pod stołami, bo wiedzieli, co się święci. Ta ósemka miała z Joem jakieś porachunki. Nie zamienili ze sobą ani słowa, tylko od razu wprowadzili do akcji artylerię. Kiedy strzelanina ucichła i ludzie wyprostowali grzbiety, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Lemoniadowy Joe stał przy

szynkwasię, popijając lemoniadę, a przed drzwiami leżało w ślicznej zgodzie ośmiu napastników z przestrzelonymi czołami. Joe prawą ręką wsunął pistolet do kabury, w lewej ze zmieszaniem obracając szklanę, której górna połowa była odstrzelona. Potem odwrócił się do półżywego ze strachu barmana i powiedział: „Proszę jeszcze jedną szklanę lemoniady Kolakoka. W tej pewnie jest szkło. Gdybym to wypił, mogłoby mi się co stać”. Gapili się na niego jak na ducha, ale osłupieli dopiero, kiedy się okazało, że zabił tych ośmiu facetów sześcioma strzałami. „Nie chciałem marnować kul – powiedział Joe. – Matka wyrobiła we mnie zmysł oszczędności, toteż wykorzystałem momenty, kiedy dwaj stali za sobą, i dostałem ich naraz”.

– Słowo daję – kończył fotograf z Topeki – że to zakrawało na cud i gdybym nie widział wszystkiego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył.

Ponieważ jednak nikt z pasażerów tego cudownego zdarzenia na własne oczy nie widział, historii fotografa nie wzięto poważnie i potraktowano jako bajeczkę. Wprawdzie słyszeli już coś niecoś o tym rewolwerowcu, ale były to zawsze tak fantastyczne banialuki, że uwierzyć w nie mogło tylko dziecko. W ogóle tajemniczy Lemoniadowy Joe zdawał się raczej mglistym fantomem, utkanym z przedziwa łatwowiej wyobraźni. Poważny obywatel zawsze chętnie chyli czoła przed takim Jessem, który coraz to przekonuje jakiegoś kasjera, że jest

istotą z krwi i kości.

– Doprawdy – rzekł z rozmarzeniem tłusty mężczyzna, na którego wystarczyło spojrzeć, aby wiedzieć, że nie może być nikim innym, tylko barmanem – dla nas, restauratorów, Jesse jest prawdziwym szczęściem. Jego wizyty wydatnie zwiększają dzienny obrót, o tym mógłbym coś powiedzieć. Kiedy ograbił u nas bank, zapomniał na ulicy jednego ze swych ludzi, podziurawionego jak rzeszoto. Kazałem nieboszczyka na swój koszt uczesać, ogolić i zabalsamować, a potem wystawiłem go w wielkim oknie akurat obok drzwi do szynku. W nogach miał tabliczkę:

**CZEGO NIE ZNAJDZIECIE NA WYSTAWIE, SZUKAJCIE WEWNĄTRZ!**

Ludzie nawet z daleka przyjeżdżali to oglądać. Obejrżeli sobie młodzieńca, zobaczyli to żartobliwe zaproszenie i wstępowali na kieliszek. Krótko mówiąc, miałem ruch w interesie, ale potem przyszły straszliwe upały i musiałem chłopysia galopem pochować. Powiadam wam: Jesse to żyła złota.

Profesor Dara Shikoh, który przezornie zszedł rozwścieczonemu handlarzowi bydła z oczu, uważnie słuchał tych bandyckich historyjek. W końcu zdecydował się dorzucić swoje trzy grosze.

– Jeżeli chodzi o nas, magików – rzekł tonem wyższości – to takie ptaszki jak starzy dobru Jesse nic nam nie mogą zrobić

nie przeszedł jak zwykły, dobry sessie nie miał nic innego zrobić.  
Miałem okazję przekonać się o tym.

Wielki mag zrobił efektowną pauzę, aby podniecić zainteresowanie słuchaczy. Wyjął z kieszeni cygaro, z ostentacją, która stanowczo nie miała pokrycia w jego marce, odgryzł czubek, wypluł go aż na drugi koniec wagonu, po czym, zakończywszy obrzęd zapalania kilkoma pyknięciami, ciągnął:

– Kiedy na zaproszenie dworu austriackiego jechałem do Wiednia, pod przełęczą Świętego Gotharda napadł na mój dylizans słynny rozbójnik. Okrucieństwo tych korsykańskich brygantów jest wam z pewnością dobrze znane, nie będę się więc nad tym rozwodził. Tylko że uzbrojony po zęby bandyta, który wziął na muszkę naszą arkę, miał tego pecha, że siedziałem w niej właśnie ja, profesor Dara Shikoh, najzdolniejszy uczeń doktora Upaniszady, rektora katedry wiedzy okultystycznej na uniwersytecie kalkuckim. Woźnica i reszta podróżnych skamienieli, słysząc rozkaz zbója i widząc dwie lufy, groźnie patrzące czarnymi otworami wprost w ich brzuchy. Wystarczyło oczywiście, że utkwilem w zloczyńcy lekkie magiczne oko pierwszego stopnia, a od razu przewrócił się niby bezduszny kloc. Aby ułatwić transport, zamroziłem łotra w piękny lodowy sześcian i tak go przekazałem eskorcie popularnych psów bernardynów. Nawiasem mówiąc, spędziłem z nimi kilka miłych chwil, popijając z baryłek, które mają zawieszane na szyjach. Rzecz jasna, taka pacyfikacja krwiożerczego rozbójnika to zabawka niegodna wzwolonego adenta magii. Usprawiedliwia

mnie jednak to, że użyłem, a raczej nadużyłem swych cudownych zdolności w obronie bliźnich...

To powiedziawszy, otoczył się tajemniczo obłokiem smrodliwego dymu, w którym po chwili całkiem zniknęła jego diaboliczna twarz.

## SŁAWNA POSTAĆ WE WŁASNEJ OSOBIE

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Zapłonęły lampy, rzucając na głowy sennych pasażerów posępne światło, weselsze jednak od oblicza pana Schiffkartena. Palce Horacego bowiem już od dłuższego czasu wykonywały swą niszczycielską pracę, bez pośpiechu, lecz dokładnie wentylując sakiewkę Ike'a. Laikowi mogło się wydawać, że karta się odwróciła i na handlarza była przyszła zła passa, ale my już wiemy swoje. Kuty na cztery nogi szuler pozwolił wprawdzie zabrać Schiffkartenowi pulę, kiedy było w niej jakieś sześćdziesiąt dolarów, ale po chwili oskubał go z trzykroć wyżej. Od czasu do czasu rzucał okiem na Harrisona, aby się przekonać, że duch tego poczciwego męża odleciał do krainy snów, gdzie może już zawiera ze zjawami wieśniaków nierzeczywiste transakcje. Handlarzowi była dawno przeszedł dobry humor; w każdym razie nie proponował już Horacemu produkcji kukielek z kartofli. Nie przeczuwał jednak, co go jeszcze czeka.

Greenwood osądził wreszcie, że już najwyższy czas skończyć tę

komedię; chciał się zresztą trochę zdrzemnąć, aby ciężki dzień jutrzejszy zastał go w dobrej formie. Najpierw więc wprowadził Ike'a w dobry humor, pozwolewszy mu zagarnąć dość wysoką pulę, finansowaną raczej przez partnerów niż przez niego samego. Następnie wymienił talię kart. Partia zaczęła się od osiemdziesięciodolarowego wkładu. Horacy przede wszystkim usiłował wyłączyć z gry Thunsdalla i tego drugiego, bo fałszywa karta była przygotowana tylko dla dwóch graczy. Niespodziewanie pomógł mu w tym Schiffkarten, podniósłszy stawkę do tak niechrześcijańskiej wysokości, że kto nie miał mocnej karty, bał się ryzykować. A Randolph Lowry Thunsdall i gracz ze złotą łyżeczką mieli tak beznadziejne błotki, że istotnie nie zaryzykowali. Horacy westchnął głęboko i oblókł twarz w maskę uparcie blefującego straceńca.

– Ile kart pan sobie życzy, panie Schiffkarten?

– Nie potrzebuję żadnej.

– No, ja biorę dwie. Jak pan widzi, mogę mieć dobrą kartę.

W rękę trzymał pikowego króla, damę i waleta. Dobra! dziewiątkę i dziesiątkę tego samego koloru. Oczywiście, że równie dobrze wiedział, co kupi, jak i to, że handlarz ma cztery asy.

Pula wkrótce osiągnęła zawrotną wysokość. Kiedy doszła do tysiąca dolarów, koło widzów zgęstniało i zwarto się ciasno

wokół grających, a twarz Schiffkartena przybrała barwę kardynalskiego kapelusza. Ku jego zadowoleniu Greenwood zwiększył stawkę o pięćset dolarów. Wtedy Ike począł się zastanawiać. „Ten przek... Hudson kupował dwie karty. To znaczy, że albo udaje, że ma trójkę, albo też najwyżej dobiera do streeta”. Tak oceniał sytuację Szafirowy Ike; inne rozwiązanie nie wpadło mu do tępej, handlarskiej głowy. Dodał więc do stawki Horacego i przebił o tysiąc. Szuler przebił o kolejny. Wówczas Schiffkartenowi wydało się, że ręka przeciwnika zdrząła nerwowo. Zdecydował się. Jego palce zawędrowały do kieszeni na piersiach i wyciągnęły stamtąd gruby zwitek banknotów. Najpierw odliczył dziesięć studolarówek i położył na ławce. Potem spojrzał Horacemu wyzywająco w twarz.

– Panie Hudson, chcę panu dowieść, że lwie serce niekiedy diablo mało popłaca – powiedział i dodał do szeleszczącej gromadki papierków jeszcze osiem pięćsetdolarowych banknotów. – I cztery tysiące na wierzch, panie Hudson.

Przez krąg widzów przebiegła iskra podniecenia. Toż to była partia, jaka w domu gry opróżnia zazwyczaj wszystkie stoły z wyjątkiem jednego. Zapanowała głęboka cisza, przerywana tylko regularnym chrapaniem Harrisona – cisza pełna oczekiwania, nikt bowiem nie widział kart Horacego i nikt nie wiedział, co on teraz robi.



Horacy jednak, nie zastanawiając się, sięgnął po pieniądze, ale z bólem stwierdził, że nie ma już ani grosza, bo całą wygraną zainwestował w tę partię. Złość go ogarnęła. Musiałby pewnie przerwać grę, gdyby na scenę nie wkroczył pan Thunsdall, który dotychczas w milczeniu przypatrywał się temu podniecającemu widowisku.

– Nie znam pańskiej karty, panie Hudson – rzekł cicho król podkładów kolejowych – ale nie mogę dopuścić, aby wielka gra nie została skończona z powodu braku pieniędzy. A panu, Ike, oświadczam, że za pana Hudsona ręczę nazwiskiem i majątkiem.

Obaj gracze spojrzeli na niego ze zdumieniem. Zimny wzrok Horacego rozjaśniał pod wpływem szczerzej wdzięczności, natomiast pan Schiffkarten miał taką minę, jakby chciał dusić, strzelać, palić, ćwiartować – jednym słowem, z rozkoszą dopuściłby się jakiegoś gwałtownego czynu; łypał przy tym wściekle spod zjezonych brwi na pana Thunsdalla, ale przeklęty okularnik nic sobie nie robił z gniewu szacownego męża. Przeciwnie, spojrzął zza szkieł wprost w jego sypiące skrami oczy i zapytał swym księżowskim tonem, czy ma może jakie zastrzeżenia co do jego poręki. Pan Schiffkarten odburknął, że nie ma żadnych. Co się tyczy Horacego, to najpierw gorąco panu Thunsdallowi podziękował, po czym nabazgrał na kawałku papieru cyfrę i niedbale rzucił kartkę do puli. Szafirowy Ike pochylił się skwapliwie, aby zobaczyć cyfrę. Przekonał się, że Horacy wziął propozycję Thunsdalla do serca,

bo wyrównawszy sumę, przebił jeszcze o pięć tysięcy dolarów.

Twarz handlarza, i tak już szkarłatna, jęła się mienić wszystkimi odcieniami apoplektycznej purpury, grdyka zaś skoczyła nerwowo pod warstwą sadła. Dopiero teraz wpadło mu do głowy, że coś tu może jest nie w porządku. Szale jego opinii ważyły się niezdecydowanie: czy za pewnością siebie Horacego kryje się mocna karta, czy też to tylko bezczelny blef?

Dla Greenwooda oczywiście rozgrywka ta nie kryła żadnych tajemnic. Jeżeli coś go zaskoczyło – to tylko postępek Thunsdalla, ale było to zaskoczenie przyjemne. Ponieważ był spokojny, nie uszło jego uwagi, że pociąg zatrzymał się nagle w szczerym polu i skądś odezwał się krótki okrzyk. Natomiast roztrzęsiony Ike nie widział i nie słyszał nic zgoła. Cztery asy w jego dłoni rozrosły się do gigantycznych rozmiarów, zakrywając wszystko, co się wokół działo. Dlatego też nie zauważył, że w wagonie zapanowała naraz śmiertelna cisza. Ze wzrokiem wbitym w górę pieniędzy wspominał akurat poprzednie blefy Horacego, utwierdzając się w przekonaniu, że i teraz to nic innego jak bezczelne kłamstwo, kiedy za jego plecami ktoś powiedział:

– Ale wysoka gra, prawda?

– Ten świętoszek Thunsdall drogo mi zapłaci za wtykanie nosa w cudze sprawy... – mruknął do siebie Ike, wyrównując sumę Horacego i dokładając jeszcze siedem tysięcy. W głuchoj ciszy

znowu się odezwał głos nad jego głową:

– To bardzo ładnie z pana strony. Przynajmniej oszczędzi mi pan rewidowania kieszeni.

Dopiero teraz Schiffkarten ocknął się z pokerowego upojenia. Spojrzał na Horacego. Karciarz siedział z podniesionymi rękami, utkwivszy nieruchomy wzrok gdzieś nad jego, Ike'a, głową. Handlarz odwrócił się gwałtownie i zobaczył za swymi plecami smukłego mężczyznę w czarnej masce na twarzy, z wymierzonymi koltami w obu rękach. W drzwiach stał drugi bandyta, również zamaskowany i uzbrojony; trzymał w szachu cały wagon. Jego głos zerwał nagle zasłonę dławiącej ciszy:

– Siedźcie tylko spokojnie, to wszystko będzie w porządku.

Desperado stojący za plecami Schiffkartena najwidoczniej obdarzony był poczuciem humoru, bo poprosił obu graczy, aby odkryli karty – ciekaw jest, komu ucieknie sprzed nosa tak gruba wygrana. Cmoknął ze zdumienia, kiedy zobaczył pokera do króla i cztery asy. Potem zaczął się Horacemu tłumaczyć: zmuszony jest skonfiskować pulę na rzecz funduszu wdów i sierot po bandytach kolejowych, którzy zginęli podczas pełnienia swych obowiązków. Na co Horacy odparł, że w takim razie wszystko jest całkiem w porządku: dobroczynność – był to zawsze jego konik. Na tak szlachetny cel nie omieszka ofiarować podobnej drobnostki. A przy tym pomyślał, że cała

sytuacja mogłaby posłużyć za nadzwyczaj trafną ilustrację przysłowia: „Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”.

Bandyta rzucił jeszcze kilka szubienicznych żartów i rozejrzał się po pasażerach, jakby kogoś między nimi szukał. W końcu skinął na pozieleniałego ze strachu okultystę, aby podszedł bliżej, wetknął jednego kolta do kabury, rzucił na ławkę skórzany woreczek i kazał profesorowi zgarnąć do niego pulę. Horacy zrezygnowanym wzrokiem śledził znikające w woreczku pieniądze. Myśl, że ktoś pakuje do kabzy bandyty jego kapitał, zdobyty uczciwą szulerką, napełniła go lekkim żalem. Ponieważ jednak niebezpieczna profesja, jaką od lat uprawiał, nauczyła go doskonałego panowania nad sobą, z wyrazem niezmaconego spokoju spojrzął w lodowate źrenice, zimno połyskujące zza czarnej maski.

Ale wówczas zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Shikohowi tak się trzęsły z przerażenia ręce, że woreczek wysliznęła mu się z palców; kiedy się po niego schylił, przeprowadzony czujną lufą kolta, wypadł mu z kieszeni masywny złoty zegarek, który jeszcze niedawno dodawał blasku czcigodnemu brzuszysku Schiffkartena. Ogarnięty strasznym przeczuciem handlarz dotknął ręką swej drogocennej źrenicy. O nieba! Wcale jej nie było! Jak zresztą mogła tkwić w jego oczodole, skoro – idąc w ślady zegarka – zadzwoniła o podłogę, razem ze złotą łyżeczką i pierścieniem, pamiątką rodzinną Horacego, który zdobił palec gracza do chwili, w której mag potrząsnął serdecznie jego

prawicą. Okradzeni ze znużeniem gapili się na kiejnoty, których zostali pozbawieni z tak cudowną perfekcją. Bandyta także popatrzył z zainteresowaniem na strapionego magika i zaśmiał się skrzypliwie jak zardzewiała pompa. Chciał znowu rzucić jakiś dowcip, gdy nagle straszliwy huk wstrząsnął wagonem.

Aż dotąd pan Harrison spoczywał w objęciach Morfeusza, nie biorąc udziału w dramatycznych wydarzeniach, które się wokół niego rozgrywały. Teraz jednak natrętny katar połaskotał go w nozdrza tak, że się obudził z gromkim kichnięciem; tylko bardzo wyćwiczone ucho zdołałoby odróżnić je od wystrzału osiemnastokalibrowej „45°120°550” systemu Sharpa. Lecz nasz desperado, którego nerwy były nieustannie napięte niby struny, nie zadał sobie trudu, aby sprawdzić przyczynę detonacji. Odwrócił się błyskawicznie i wpakował w pierś Harrisona magazynek jednego kolta. Następnie, nie tracąc przytomności umysłu, złapał napełniony woreczek i tyłem wycofywał się do wyjścia z rewolwerem ostrzegawczo wymierzonym z biodra, podczas gdy jego kamrat strzelał w powietrze jak oszalały.

Ledwie bandyci znikli za drzwiami, Horacy, z derringerem w każdej ręce, rzucił się ku oknu. W tej chwili zadźwięczała szyba, roztrzaskana kulką, która utkwiała w drewnianym suficie. Wszyscy pasażerowie jak na komendę przycisnęli nosy do podłogi. Na dworze rozlegał się grzechot wystrzałów, a w ślad za tym łobuzerski gwizd zbłąkanych kul. W końcu załomotał oddalający się tętent koni i strzelanina ucichła, zakończona grzmiącym wykrzyknikiem ze starego springfilda

zakochana gładziącym wykiwnikiem ze starego spiżniczka. Ludzie powoli zaczęli wstawać z podłogi. Nie ruszył się jedynie pan Harrison, ale jego mógłby podnieść tylko głos trąb archanielskich. Nagle wbiegł do wagonu promieniejący konduktor.

– Ludziska – zarżał radośnie – to był Jesse! Poznali go!

Mężczyzna, który przed półgodziną wychwalał Jamesa jako dobroczyńcę restauratorów, spojrzał z niechęcią na trupa.

– Też miał pomysł! – burknął. – Tak naszego Jessego przestraszyć. Od czasu, jak pinkertonowcy okaleczyli jego matkę, jest strasznie nerwowy. Starczy, że mucha zabrzęczy mu nad uchem, a już trach! trach! – rozstrzela ją na placek. A tu taka eksplozja! I kolek by się wściekł!

Poruszony głęboko, spoglądał Horacy na pana Harrisona, śniącego na podłodze swój wieczny sen. Obie połowy szulerskiej natury, zła i dobra, reagowały na zgon pana Bennetta inaczej. „No i dobrze, tego mamy już z głowy!” – rechotał zwyrodniały Greenwood-Hyde, gdy tymczasem Greenwood-Jekyll współczująco szeptał: „Biedak! Na pewno już się rozkoszował myślą, że ma prowizję w kieszeni. No cóż, przynajmniej oszczędzone mu zostało okrutne rozczarowanie, kiedy bym mu sprzątnął ten interesik sprzed nosa. Co robić, wszyscy musimy umrzeć!”

Nie rozplynął się jeszcze dym wystrzałów, gdy rozwścieczony Schiffkarten skoczył na Darę Shikoha. Chwyciwszy go za gardło, wymachiwał jak chorągwią i obrzucał stekiem najordynarniejszych wymysłów: ....! ....! ....!

Jego rykom towarzyszyło klaskanie siarczystych policzków, które wykręcały magikowi głowę to w jedną, to w drugą stronę, tak że oczom widzów ukazywała się na przemian z lewego i prawego profilu. Horacy, kryjący w głębi duszy szczerą podziw dla doliniarskiego geniuszu Dary Shikoha, użył całej siły mięśni i wymowy, aby wydostać nieszczęśnika z pazurów handlarza. Przecież wszystkie kosztowności leżą tu jak na wystawie, nie brakuje ani jednego klejnotu! Cóż się więc właściwie stało? Nic!

Okultysta, rozcierając przyduszone gardło i odprowadzając tęsknym wzrokiem klejnoty, wędrujące do swych poprzednich posiadaczy, zaklinał się, że miał najlepsze zamiary. Jako jasnowidz przewidział napad i wiedziony sympatią do towarzyszy podróży zdeponował kosztowności u siebie. Był przekonany, że bez trudu obezwładni bandytę magicznym spojrzeniem, odda go w ręce sprawiedliwości, a klejnoty zwróci prawowitym właścicielom. Oczywiście, nie liczył się z możliwością, że James odeprze ten okultystyczny atak supermagicznym okiem maksymalnej bojowości. A tak się właśnie stało, ten słynny strzelec bowiem jest równie znakomitym bandytą, jak magikiem. Krótko mówiąc, trafiła kosa na kamień. Bezdenna głupota tego tłumaczenia zdruzgotała nawet

Schiffkartena; machnął bezradnie ręką, a swój wrogi stosunek do Shikoha zademonstrował tylko w ten sposób, że odwrócił się do niego plecami. Horacy patrzył na długopalcego czarodzieja z gorącą sympatią; czuł, że znalazł godnego siebie kolegę, pracującego w dziedzinie trochę tylko odległej. W ogóle był w świetnym humorze. Wprawdzie los opróżnił mu kieszenie doszczętnie, ale ten sam los jednocześnie usunął z jego drogi człowieka, który mógł go pozbawić sumy większej tysiąckrotnie. Nie, stanowczo nie może się skarżyć.

Lecz gra dopiero się zaczęła. Pierwszą partię wygrał, lecz jak się skończą następne?

## RÓŻA Z CHICAGO

### NADER NIEMIŁA OSOBISTOŚĆ

Kiedy Horacy Jouett Greenwood stanął tego rana przed fasadą hotelu Sandersa, pomyślał sobie, że w całym Kansas City trudno chyba byłoby znaleźć ohydniejszą budę. Trzeba jednak przyznać, że na tak brudną spekulację pan Bennett nie mógł wybrać odpowiedniejszego miejsca.

Horacy, nie namyślając się długo, wszedł do ciemnego baru. Ściągnął instynktownie nozdrza, w które uderzył słaby, ale tym wstrętniejszy odór tanich wódek, wiszący w niewietrzonym nigdy wnętrzu. Od razu wpadła mu w oczy ognista kula głowy rudzielca, schylona nad sukнем bilardu. Rozejrzał się ostrożnie. W barze nie było niemal nikogo, jedynie za ladą wybladły



młodzieniec mył szklanki, a przy narożnym stole w odległym kącie rozmawiali półgłosem dwaj nędznie odziani mężczyźni.

Gracz przy bilardzie ćwiczył trudne karambole z takim zapalem, że nawet nie zauważył nowego gościa. Toteż Horacy mógł go sobie dokładnie obejrzeć. Niezbyt mu się podobał – był to chudy drażal o końskiej twarzy, z wyszczotkowaną i wypomadowaną czupryną nad wąskim czołem, ubrany z wyzywającą elegancją zabijaki z przedmieścia. Spod podkreślonych wąsów sterczał mu niedopałek zgasłego cygara; gryzł go z pasją, gdy los karambolu wisiał na włosku. Od czasu do czasu popijał z kieliszka wino, ale nawet wtedy nie spuszczał wzroku z zielonego sukna. Wtem Horacy zauważył, że u ręki, trzymającej nóżkę kieliszka, brakuje małego palca. Rozwiały się ostatnie wątpliwości. Szuler podszedł do bilardu i swobodnym tonem, jakim w towarzystwie rozmawia się o pogodzie, powiedział:

– Idź na Zachód, młody człowieku.

Rudowłosy drażal nawet się nie obejrzał. Dopiero skończywszy trudną kwartę, położył starannie kij na stole, ściągnął mankiety i odwróciwszy się do Horacego, zmierzył go zimnym, beczelnym spojrzeniem, co jeszcze spotęgowało niechęć Greenwooda. Potem otworzył usta i, naśladowując przez chwilę łapiącego powietrze karpia, wykrztusił:

– P-p-proszę pojsć z-ze mną d-do mego pokoju.

„Otóż to! – myślał Horacy – Gdy komuś brak nie tylko palca i kindersztuby, lecz także daru mowy”. Idąc po zaśmieconych hotelowych schodach do pokoju rudzielca, rozważał w duchu, jak szczególnymi zasadami kieruje się pan Bennett przy wyborze najbliższych współpracowników.

Pokój, do którego weszli, robił jeszcze bardziej odpychające wrażenie niż bar. Na ścianie, w owalnej ramie na jedwabnym sznurze, wisiał ozdobny napis: „Zachowaj, Boże, ten dom!”. W zestawieniu z tłem brzmiało to dość humorystycznie. Z jakiegoż powodu miał Bóg zaszczycać specjalną życzliwością tę brudną spelunkę?

Rudowłosy mężczyzna pierwszy przerwał milczenie, przedstawiając się jako Leo Bushman, obecnie pracownik firmy Bennett&Bond. Potem usiadł na jedynym krześle, wskazał gościowi miejsce na łóżku i utkwiał w jego twarzy spojrzenie, które jako żywo nie wyrażało ani podziwu, ani szacunku, ani nawet zaufania. Po kilku nieudanych próbach wydobycia z siebie słowa, spytał wreszcie Horacego, czy to on jest tym „dobrodusznym, ale kutym na cztery nogi facetem z Kansas, o pozornie poczciwej, wprowadzającej w błąd twarzy”. Zjadliwy ton jego głosu tak wyprowadził Horacego z równowagi, że nie wróciły mu humoru nawet zdumiewające wyczyny Bushmana przy wymawianiu trudnych słów „wprowadzającej w błąd” które orozikł mu złamaniem języka:

„wyprowadzającej w błąd”, które głośno im zamaskował językiem, mimo to z zimną krwią potwierdził swą tożsamość z opisanym wyżej człowiekiem. Wtedy rudy Leo oznajmił, że jego pogląd na fizjonomikę jest całkiem odmienny od poglądu szefa, ale Horacy zapewnił go sucho, że kieruje się wyłącznie zdaniem pana Bennetta, natomiast poglądy niejakiego pana Bushmana są mu absolutnie obojętne. W ogóle musi z żalem wyznać, że chociaż łączy ich wspólny cel, to najwyraźniej nie pałają do siebie sympatią; najlepiej więc będzie, jeśli jak najszybciej załatwią sprawę i rozstaną się, zanim wzajemna niechęć dojdzie wyraźniej do głosu. Leo Bushman z uśmiechem ruszył ramionami. Rozpiął kilka guzików u kamizelki i wsunął rękę pod koszulę, skąd po chwili wyciągnął skórzany pas; z każdej jego kieszonki wyjął gruby zwitek banknotów. Kiedy je przeliczał, Horacy wyciągnął rękę, ale łapa Bushmana zwarła mu nadgarstek żelaznym uchwytem.

– Ch-ch-chwileczkę! N-na to będzie p-pan miał dość czasu w Cow-cowcown! Ja-jak już ręka będzie w rę-rę-rękawie!

Na długo przedtem, nim Leo skończył tych kilka lakonicznych zdań, Horacy pomyślał, że właściwie mógł być na coś takiego przygotowany. Rudzielec tymczasem puścił jego rękę i sięgnąwszy do kieszeni na piersi, wyłowił stamtąd zwiniętą kartkę, którą podsunął Horacemu pod sam nos.

– Ch-ch-chyba po-pozna pan pismo sze-szefa? Do-dostałem t-to w-wczoraj.

Greenwood nie mógł oczywiście powiedzieć, że pismo szefa widzi pierwszy raz w życiu. Z biciem serca wziął list, obawiając się, że odkryje w nim źródło nieufności Bushmana, lecz ku swemu zadowoleniu znalazł tylko cytowane już zdanie o dobrodusznym człowieku z Kansas. Następnie finansista prosił Bushmana, aby – ze względu na pewne niebezpieczeństwo podróży przez Pogranicze – odprowadził jego przedstawiciela aż do Cowntown i dopiero tam sprzedał mu zamówiony towar. List był tak niejasno i alegorycznie wystylizowany, że wykluczał możliwość użycia go przeciw panu Bennettowi. Horacy złożył kartkę i zwracając ją rudzielcowi, powiedział z uśmiechem:

– Jak widzę, będzie mi pan przez kilka dni towarzyszył. Jeżeli nie jest możliwe, abyśmy się stali serdecznymi przyjaciółmi, to wcale nie znaczy, że nie możemy żyć w zgodzie, prawda?

Powiedział to najprzyjemniejszym tonem, na jaki go było stać, ale w głębi duszy powtórzył: „Muszę się pozbyć tego typa za wszelką cenę!”. Zdaje się, że odczytywanie cudzych myśli nie sprawiało rudemu elegantowi najmniejszych trudności, natychmiast bowiem zapewnił Horacego, że bardzo mu zależy na zgodzie między nimi, bo jest przekonany, że to nie on wyszedłby źle na nieporozumieniach. W tym momencie jakimś cudem znalazł się w jego ręku kolt kaliber 44. Gwałtownym szarpnięciem otoczył go sobie wokół wskazującego palca i wypalił, nie celując. Kula przerwała ozdobny sznur i prośba

o Bożą protekcję spadła na ziemię. Pan Bushman uśmiechnął się kokieteryjnie, pobawił się jeszcze chwilę rewolwerem, wreszcie wsadził go z powrotem do kabury, zawieszanej pod surdudem.

Horacy siedział z obojętnym wyrazem twarzy, ale w rzeczywistości ocenił ten junacki żarcik tak, jak należało. Na pewno nie będzie łatwo wziąć na cel tak bystrego młodzieńca. Pan Bushman oświadczył, że wcale nie trzeba się urodzić na Pograniczu, żeby jako tako umieć obchodzić się z pukawką; on na przykład jest rodowitym nowojorczykiem, a w pułku zapędził w kozi róg wszystkich czystej krwi westmanów. W odpowiedzi na to Greenwood życzliwie przyznał, że pan Bushman ma zadatki na utalentowanego rewolwerowca, ale jednocześnie wspomniał mimochodem o paru tuzinach chłopców z Pogranicza, którzy by pozwolili panu Bushmanowi sięgnąć po broń, zjedli spokojnie śniadanie, a dopiero potem wyciągnęli kolta, wiedząc, że i tak strzelą pierwsi.

Leo, umieszczając z powrotem drogocenny pas na brzuchu, uśmiechnął się dobrodusznie i powiedział, że bardzo by chciał tych chłopców zo-zo-baczyć.

## POJAWIA SIĘ NIEPRZEWIDZIANA KOMPLIKACJA

Tak więc pierwsza rozmowa Horacego z agentem Bennetta nie obfitowała w serdeczne wynurzenia. Karciarz jednak natychmiast noiał, że jeżeli chce usnąć nieufność rzęgo

rewolwerowca, musi uderzyć w inną strunę. I rzeczywiście, udało się; kiedy następnego dnia rano spacerowali razem po peronie, pan Bushman zachowywał się wobec Horacego daleko serdeczniej niż przed dwudziestoma czterema godzinami. W jaki sposób udało się Horacemu pozyskać jego życzliwość?

Otóż charakter, a także zawód Lea pozwalały przypuszczać, że karty grają w jego życiu niemałą rolę. Szuler przede wszystkim wzbudził jego zainteresowanie, błysnąwszy przed nim, niby przypadkiem, kilkoma najefektowniejszymi trikami oszukańczej gry. Źrenice rudzielca zapłonęły pożądliwie; a kiedy Horacy zdradził mu sekret dwu czy trzech szczególnie przemyślnych szwindli, ten zahartowany mężczyzna uszczęśliwiony był jak dziecko na widok podarków pod choinką.

Tymczasem wiadomość o napadzie bandy Jamesa na pociąg rozeszła się po mieście lotem błyskawicy, wzbogacana o coraz bardziej przerażające szczegóły. Mówiono, że bandyta nie tylko obrabował ambulans pocztowy, ale zagrabił także stutysięczną pulę, wystrzelawszy przedtem wszystkich graczy, wśród których znajdowało się kilka znanych osobistości. Oczywiście Horacy nie pochwalił się panu Bushmanowi, że brał udział w tej sławetnej grze, którą w końcu wygrał rewolwer bandyty; nie chciał już nawet wspominać partii, po której zostało mu w kieszeni zaledwie na bilet kolejowy do Powderville. Sytuacja ta wydała się Greenwoodowi szczególnie zabawna, gdy

uświadomił sobie, że niemal na odległość ramienia znajduje się sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Niestety, suma ta miała nie tylko dwie nogi, ale i szybką, pewną rękę oraz wierny Bennettowi mózg. To już bowiem Horacy zważał jak należy: aczkolwiek za panem Bushmanem kładł się cień zalatujący krwią – aktualnie służył on swemu pryncypałowi z pełną lojalnością. Greenwooda ciekawiło, za pomocą jakich środków Bennett zdobył przywiązanie takiego człowieka. Na razie wiedział tylko tyle, że jakakolwiek próba nadwątlenia lojalności Lea byłaby w najwyższym stopniu nierozsądna. Przechadzali się więc leniwie po peronie, obserwując ze znużeniem żywy ruch. W końcu postanowili wejść do wagonu, skierowali się więc bez pośpiechu w stronę pociągu, paląc cygara.

Horacy stawiał już nogę na stopniu, ale się jeszcze obejrzał, żeby zwrócić Bushmanowi uwagę na jakiś szczegół. Nie wymówił jednak ani słowa – ujrzał tak piękny egzemplarz człowieczy żeńskiego rodzaju, że całkiem zapomniał o istnieniu agenta Bennetta, a nawet parcel w Cowtown. Płeć słaba zawsze była najsłabszą stroną tego dżentelmena, który nigdy nie cofał się przed przestępstwem, ale zawsze przystawał przed ładną kobietą. Nie ma sensu zgadywać, co go oczarowało bardziej: słodka buzia ślicznej czarnulki, pełna gracji postać czy niewysłowny wdzięk, z jakim się poruszała. Pióra namiętności zaszumiały nad jego cylindrem, a słodki bożek miłości wyjął z kołczanu najostrzejszą ze strzał i przebił nią serce szulera. Horacy wpatrywał się w dziewczynę jak lunatyk. Ubrana była

w gustowny kostium podróżny i z wdziękiem trzymała leciutką parasolkę, chroniącą jej mlecznobiałą cerę przed natrętnymi promieniami palącego słońca. Wsparta była na ramieniu wysokiego, rudawego mężczyzny o szpakowatych skroniach, któremu imponujące bokobrody nadawały niezwykle czcigodny wygląd.

– T-to ci ko-kolosalna szpro-ota!

Wulgarna uwaga rudzielca ściągnęła ducha Horacego na pustynię rzeczywistości. Czarujące zjawisko wprawdzie nie znikło, ale Horacy dopiero teraz spostrzegł, że Bushman łakomie podkręca rude wąsy, przyssawszy się lubieżnym spojrzeniem do dziewiczych wdzięków panny. Horacy Jouett Greenwood z Tennessee aż się wstrząsnął ze wstrętu, stanąwszy nagle twarzą w twarz z nagą prawdą: jak nisko upadł – on, potomek szacownej rodziny – że musi się stykać z tak ohydnyim indywiduum! Minęło już sporo czasu, od kiedy po raz ostatni uświadomił sobie swą degradację – teraz ów obraz dziewczęcej urody przywrócił mu poniewczasie poczucie wstrętu do własnego ja.

Tymczasem czarnowłosa piękność i jej towarzysz zbliżyli się o kilka kroków i Horacy zauważył, że zamierzają wejść do wagonu, przed którym stał jak skamieniały. Skwapliwie usunął się z drogi i uchylił cylindra tak nobliwym gestem, jak to potrafi tylko kawaler z Południa. Pan z imponującymi



bokobrodami podziękował uprzejmie, a lica dziewczęcia zabarwił rozkoszny rumieniec. Ogień tego rumieńca przerzucił się na wyschłe serce Horacego, które zajęło się natychmiast jak wiecheć słomy. A cóż dopiero, gdy dziewczyna, oparłszy się silniej na ramieniu mężczyzny, niewymownie ślicznym ruchem uniosła trochę dół sukni, oczywiście tylko dlatego, aby postawić nóżkę na wysokim stopniu. Chcąc nie chcąc, ukazała przyglądającym się panom najwspanialszą kostkę, jaką kiedykolwiek widzieli. W rozmarzeniu spoglądali obaj na tę boską stopę, a ponieważ nie mogli ujrzeć nic więcej, nie kładli tamy podrażnionej wyobraźni; ale jeśli Bushmanowi zamglila wzrok ohydna żądza, to Horacym oładnęła daleko czystsza namiętność, a gdy wszedł do wagonu i zajął dogodne miejsce, skąd mógł się oddawać cichej adoracji godnego uwielbienia profilu, uświadomił sobie, że ten pałacy, a jednocześnie napawający szczęściem niepokój po raz ostatni odczuwał dziewiętnaście lat temu. Tak, tyle już czasu upłynęło od chwili, kiedy beznadziejną, chłopięcą miłością kochał panią Ewelinę St. Clair...

Albowiem, choć to się może wydać dziwne, Horacy Jouett Greenwood – pojedynekowicz, szuler, fałszerz czeków, spekulant giełdowy, dziwkarz i Bóg wie co jeszcze – zakochał się, zadurzył niczym uczeń. Romantyczna krew Południa upomniała się o swe prawa. Nazbyt dobrze panował nad rysami swej twarzy, by choć drgnięciem brwi zdradzić wzruszenie, jakie opanowało jego wnętrze. Ale zdał sobie sprawę, że niespodzianie weszło mu

w drogę coś, czego w ogóle nie uwzględnił w swoich rachubach. Doprawdy, była to całkiem nieprzewidziana komplikacja.

## CHRAPIĄCA DUMA PRERII

Z rozmarzenia wyrwał go wkrótce coraz silniejszy gwar podchmielonych głosów. Wściekły wychylił się z okna i zobaczył grupę rozbawionych panów. Większość z nich była jeszcze w wieczorowych strojach, wszyscy zaś tryskali humorem, który najwyraźniej był wprost proporcjonalny do liczby próżnionych butelek. Opary alkoholu tak przesyciły ubiór i oddech hałasujących kompanów, że wystarczyłoby potrzeć zapalną, a wybuchliby jak szyb naftowy.

Ten rozbawiony orszak wyznawców Bachusa odprowadzał do pociągu dwóch mężczyzn. Obaj zwracali powszechną uwagę. Pierwszy, młodszy i wyższy, najwyraźniej tęsknił serdecznie za łóżkiem – wyglądał na straszliwie śpiącego i zmęczonego. Bujne, aż na ramiona spadające włosy koloru miodu oraz złociste wąsy i bródka nadawały jego postaci cechę pewnej ekscentryczności, ale zarazem i szlachetności. Nawet znużenie nie zdołało zetrzeć mu z twarzy wspaniałej opalenizny, która zdradzała, że ojczyzną tego człowieka nie jest zużyty Wschód, lecz wolna, bezkresna preria. Najwyraźniej źle się czuł w czarnym, wytwornym ubraniu i przypominał dzikiego mustanga, na którego narzucono żalobny czaprak. Stosowność tego porównania podkreślał jeszcze wysoki i sztywny halsztuk,

skutecznie zastępujący kabłąk chomąta. Jedyne z fantazją włożony stetson zdradzał właściwe zajęcie tego interesującego jegomościa. Drugi mężczyzna, starszy i niższy, o twarzy jak zwietrzały bazalt, musiał być niezwykle szczwanym filutem, bo na każdy żart odpowiadał tak celnym dowcipem, że podchmieleni kompani pękali ze śmiechu. Kulał lekko, dźwięcząc przy każdym kroku kolekcją orderów i odznak masońskich, które błyszczały na granatowym redingocie półwojskowego kroju.

Horacy zauważył, że długowłosego nieznajomego wzbudza zainteresowanie podróżnych w pociągu i na peronie. Coś mu bez przerwy szeptało, że już się gdzieś z tym człowiekiem spotkał. No, oczywiście, widział go mniej więcej przed dziesięciu laty w Sheridan, tylko że wtedy był szczuplejszy i nosił wyświechtane spodnie z jeleniej skóry. Obchodził uroczyście z przyjaciółmi zwycięstwo nad innym, nie mniej słynnym łowcą bizonów, Billem Comstockiem, które zyskało mu popularny przydomek Buffalo Billa. Pułkownik Frederick William Cody-Pahaska, tak nasiąknięty sławą, że można by ją zeń wyzymać, nie postarzał się ani trochę. Jego nazwisko jaśniało na firmamencie Dzikiego Zachodu olśniewającym blaskiem; był jednym z najbliższych współpracowników generałów Crooka, Carra, Shermana, Milesa, Sheridana, on też pomścił dzielnego, zmasakrowanego przez Siuksów na Wielkim Rogu Custera, zabiwszy Żółtą Rękę. Tak stał się bożyszczem narodu. Całkiem więc zrozumiałe, że kółko najbardziej poważanych notabli Kansas City, aby

uczcić jego odwiedziny, wydało wytworne przyjęcie, które się nieco przeciągnęło i pod koniec straciło trochę na wytworności. Mimo to czcigodni mieszczanie, choć ledwie stali na nogach, wzięli sobie za punkt honoru odprowadzić dostojnego gościa aż do pociągu. Ludzie na peronie natychmiast poznali Cody'ego i wszyscy na wyścigi okazywali mu swój szacunek i sympatię. Ojcowie nakazywali synom, aby na zawsze wyryli w sercach obraz tego chodzącego ekstraktu cnót, a kobiety niemal omdlewały ze wzruszenia na widok takiej porcji stuprocentowej męskości.

W końcu Cody'emu oraz jego kulawemu towarzyszowi udało się wysunąć z objęć rozentuzjanzmowanych wielbicieli i wejść do wagonu; prawice mieli zaczerwienione od serdecznych uścisków, a głowy ich aż do chwili odjazdu pociągu bombardowano życzeniami szczęśliwej podróży oraz radami, jak mają się pozbyć kaca. Buffalo Bill ciężko osunął się na ławkę – akurat naprzeciw poważnego pana z bokobrodami – i zaraz usnął, natomiast jego przyjaciel, świeży jak majowy poranek, pogrążył się w lekturze gazety. Było jeszcze bardzo rano, toteż większość pasażerów dosypiała skróconą na skutek wcześniejszego wstania noc; całym wagonem owładnął senny nastrój, z czego Horacy był ogromnie zadowolony, bo mógł bez przeszkód rozwijać kłębek zakochanych myśli i raz po raz rzucać równie zakochane spojrzenia. Ale zbudzona w Bushmanie na widok dziewczęcych wdzięków lubieżność już nie zamknęła oczu. Zanudzał teraz Greenwooda opowiadaniem

pieprzonych anegdot. Szuler w duchu kipiał ze złości. Miał nieprzepatą ochotę dać obmierzłemu dowcipnisiowi w zęby, ale panował nad sobą po mistrzowsku. Przybrał taką minę, jakby się wspaniale bawił, a nawet też opowiedział jakiś dowcip, po którym Leo ryknął śmiechem, zwracając na nich w ten sposób, ku niezadowoleniu Horacego, uwagę całego wagonu.

Rechotał tak rozgłośnie, że Cody zachrapał i obudził się. Zaczął przecierać oczy, aż tu nagle zaburczało mu w brzuchu. Słynny tropiciel zaczerwienił się jak dziewczyna, której po raz pierwszy wyznają miłość, był bowiem przekonany, że jego śliczne vis-à-vis usłyszało ten nieestetyczny dźwięk. Aby więc zapobiec dalszym niepożądanym fanfantom głodnego żołądka, wstał i zdjął z siatki sakwojaż, który skrywał w swym wnętrzu smaczne śniadanie. Jego przyjaciel natychmiast zrobił to samo i po chwili obaj siedzieli, jedząc w skupieniu. W momencie, kiedy Buffalo Bill przełknął ostatni kęs i zamierzał zająć wygodną pozycję, by ponownie się zdrzemnąć, towarzysz pięknej dziewczyny wstał i przedstawił się mu jako Zachariasz Breakenridge, dziennikarz (dawniej redaktor rubryki poświęconej polityce komunalnej w „Porannej Poczcie Chicago”, a obecnie naczelny redaktor „Trąby Cowntown”), podróżujący ze swą córką Winnifredą. Byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby pułkownik zechciał odpowiedzieć mu na kilka krótkich pytań, które bardzo by interesowały czytelników Cowntown. Nim Cody zdołał cokolwiek powiedzieć, do czego zresztą nie zdradzał zbytnej ochoty, jego kulawy towarzysz zerwał się i serdecznie potrząsnął

dłonią dziennikarza.

- Jestem pułkownik Judson, E.Z. C. Judson – zawołał jowialnie.
- Możliwe, że to nazwisko nic panu nie mówi, z pewnością jednak zna pan Neda Buntline’a, dramaturga, pisarza i poetę Dzikiego Zachodu. Ależ oczywiście, jak by pan mógł nie znać Neda Buntline’a. No więc – to właśnie ja.

Znajomość ta ucieszyła Zachariasza Breakenridge’a niemal tak samo jak poznanie Cody’ego. Ścisnął przecież dłoń człowieka, który wpadł na niezwykle oryginalny pomysł, by na odtwórców głównych ról w swoich „dramatach” zaangażować trzy najszynniejsze bożyszcza Dzikiego Zachodu: Buffalo Billa, Teksas Jacka i Dzikiego Billa. Dziennikarz pamiętał doskonale, jak premiera sztuki Judsona stała się kamieniem probierczym dowcipu i ironii krytyki teatralnej. Siostra Buffalo Billa, pani Helena Cody-Westmorse, opisała to później: „Wyszło na jaw, że sztuka napisana została w cztery godziny, jedna z gazet zaś, wzmiankując tę okoliczność, wyraziła z subtelnym sarkazmem zdziwienie, czemu to właściwie autor poświęcił resztę doby. Nieszczęsny Ned Buntline grał w niej rolę bandyty, który ginie w drugim akcie. Inne z czasopism wyraziło mniemanie, że byłoby z ogromnym pożytkiem dla sztuki, gdyby został zabity przed jej napisaniem. Trzeci krytyk twierdził, że dramat ten może być grany od środka do początku i do końca albo od końca do początku i że trudno powiedzieć, jak właściwie został napisany”.

– Więc jest pan dziennikarzem? – uradował się pułkownik Judson. – Ogromnie się cieszę. Ja i Willie bardzo szanujemy dziennikarzy. Prasa to siódme mocarstwo. Prawda, Willie?

– Mmm – mruknął Cody, zapadając już pomału w słodką drzemkę.

– Wcale się nie dziwię – ciągnął niezmordowanie Buntline – że prosi mnie pan o kilka prawdziwych historii z życia Williego dla swojej gazety. Jest pan przecież dziennikarzem i jak pracowita pszczołka miód, tak pan zbiera bezustannie dla swych ukochanych czytelników świeże wiadomości. Nieprawdaż? Na pewno jeszcze pan nie słyszał, jak Willie wziął do niewoli generała Marmaduke’a. O ile wiem, nigdzie dotychczas tego nie drukowano. Zapoznam pana z tą historią, że tak powiem „copyright dla pańskiej gazety”, bo mam dla pana dużo sympatii. Zaraz, zaraz, ale w jakiej formie to opublikujemy? Felietonik? Notatka? Opowiadanie do niedzielnego dodatku rozrywkowego? Niech pan wybierze, a ja się dostosuję. Myślę, że najlepszy byłby felieton. Będę opowiadał bardzo lakonicznie, ale pan oczywiście to wszystko rozszerzy: opisy przyrody, momenty psychologiczne, no i cały ten sos. A więc proszę wziąć notes, ołówek i pisać:

Na przekór temu, że okropności bratobójczych walk... chwileczkę. Zapomnielibyśmy o najważniejszym. Prima tytuł. Może taki: Saga Dzikiego Zachodu w przedziale kolejowym?

może taki. „Saga Dzielnego Zachodu w przedziale kolejowym”.  
Dobre, co? Albo: „Wspomnienia tropiciela w grzmocie kół ekspresu”. No? A podtytuł? „Gwizd lokomotywy wywołuje wspomnienia łowcy bizonów”. Świetne, co? No, ale do rzeczy.  
A więc: Na przekór temu, że okropności bratobójczej wojny poznały ziemię naszej drogiej ojczyzny krwawymi śladami, ranek rozbłyskuje potokami złotego światła, ranek dyszący tak przeogromną błogością, jakby wszędzie panował błogostawiony pokój. Ku bezchmurnemu niebu wznosi się smużka dymu i wesoło trzaska małe ognisko, nad którym młody mężczyzna opieka bekon. Rozkoszując się pięknnością świeżego poranka – tutaj może pan wpleść malowniczy opis przyrody – jasnowłosy zwiadowca, sam zupełnie w tym pustkowiu, gdzie próżno byś szukał człowieka, wspomina swą matkę, która była gdzieś za górami – tutaj można włączyć coś uczuciowego, ludzie się będą oblizywać. Tym smukłym, postawnym młodzieńcem jest nikt inny, jak nasz drogi Buffalo Bill, który w tych trudnych czasach służy ofiarnie sztandarowi Północy jako kurier McNeila. Opieczony na złoty kolor bekon rozsiewa apetyczną woń, gdy nagle naszego dzielnego łowcę bizonów otacza liczny oddział konfederatów. Cała dywizja czy też brygada, już nie pamiętam. Tu właśnie niech pan napisze, jak chce... No, a na ich czele jedzie wysoki mężczyzna, sam słynny Marmaduke. Myślicie, że Bill wpada w zakłopotanie? Ha! To źle znacie Cody’ego, Dumę Prerii. Lakonicznie poleca Południowcom, aby zaprowadzili go do generała. Błysk orlego oka i ton mowy tłumy wszelki sprzeciw rebeliantów. Słuchają jego rozkazu. Willie



spogląda chrobremu Marmaduke'owi prosto w oczy i rzecze: „Zapewniam pana, że wiele sobie cenię pańskie zdolności, niestety, obowiązek zmusza mnie zażądać rzeczy niemiłej. Proszę mi oddać swoją szablę. Jest pan moim jeńcem”. Oczywiście Marmaduke nie wie, z kim ma honor. Śmieje się sucho i odpowiada: „Młody człowieku, proszę mi wierzyć, że bardzo lubię takie cwane gapy jak pan. Jednakże wojna jest zbyt poważną rzeczą, abym mógł tracić czas choćby na nie wiem jakich spryciarzy”. I kiwa na ordynansa, żeby Williego odprowadził. Ha, ha! Ale się wygłupił! Bill skłania się lekko i powiada: „Proszę mi wybaczyć, generale, że zapomniałem się przedstawić. Jestem William Frederick Cody”. Nic więcej. Generał blednie jak ściana. „To co innego – rzecze. – Powinien pan być od razu to powiedzieć”. I natychmiast oddaje Billowi szablę. Potem zwraca się do swoich adiutantów: „Panowie, nic się nie da zrobić. Jesteśmy jeńcami pułkownika Cody'ego”. Może nie tak było, Willie?

Ciche chrapnięcie było odpowiedzią na to sugestywne pytanie.

– No, a potem Willie po prostu otoczył oddział Marmaduke'a i odprowadził go do niewoli. Generał zaś jest do dziś jednym z jego najlepszych przyjaciół. Wie pan, takich autentycznych zdarzeń z życia Williego znam tuziny. Czy chce pan, abym opowiedział, jak Cody wytropił raz tak wielkie stado bizonów, że zanim je objechał, wyrosła mu broda, chociaż był przedtem świeżo ogolony?

– Nie, nie, to zupełnie wystarczy – wyszeptał pan Breakenridge głosem tonącego, któremu udało się na chwilę wynurzyć głowę z odmętów. – Zresztą i tak skończyła mi się kolumna – dodał szybko w nadziei, że w ten sposób zatamuje rwący potok słów.

– À propos, kolego – wykrzyknął pułkownik Judson – niech pan tylko nie zapomni o dwóch rzeczach. Po pierwsze, może pan zaznaczyć, oczywiście mimochodem, że wszystkie przygody Buffalo Billa opisał w swych książkach jego serdeczny przyjaciel Ned Buntline (można otrzymać we wszystkich księgarniach). A następnie – byłby to grzech śmiertelny, gdyby opisując wspaniałą postać Billa, przeoczył pan tę drobnostkę. – Mówiąc to, wyciągnął z krawata Cody’ego złotą szpilkę z łebkiem wielkości srebrnej półdolarówki, w kształcie głowy bizona.

Podsunał ją dziennikarzowi pod sam nos, aby go oślepić blaskiem diamentów i rubinów, którymi była wysadzana. Potem wetknął drogocenną szpilkę z powrotem w krawat Cody’ego, mało nie przebiwszy go przy tym na wylot, i zakasał budzącemu się tropicielowi rękaw fraka. Znowu załśnił złotem i drogimi kamieniami łeb byka, który spinał tym razem mankiet koszuli.

– Czternaście karatów – ziewnął Judson ze znużeniem. – Dar rosyjskiego wielkiego księcia Aleksandra. Pamiątka z polowania. Bo Jego Wysokość należy do kółka najserdeczniejszych przyjaciół Williego. Nieprawdaż, Willie?

– Mmm – odparł Cody, zanurzając się znowu w różowe fale snu.

Judson gadał jeszcze chwilę, wynosząc pod niebiosa to Williego, to siebie, po czym wprost zapytał pana Breakenridge'a o cel jego podróży.

– Jedziemy z córką do Cowntown – odparł dziennikarz. – Jeden z moich dawnych kolegów, z którym się kiedyś przyjaźniłem, wydaje w tym mieście bardzo poczytną gazetę. Postanowił jednak wrócić na Wschód, sprzedał mi więc niezwykle tanio dziennik i drukarnię. Ja i moja córka jesteśmy szczęśliwi, że przypadło nam w udziale zapalić na naszym złotym Zachodzie kaganiec oświaty, której światło w tej surowej ziemi, przez nikogo dotychczas nieużyźnionej, tak bardzo jest niezbędne. Dzięki takim bohaterom jak pan, pułkowniku Cody, krwiożerczy czerwonoskórzy na zawsze przegnani zostali z tych rubieży, i pod tym względem życia spokojnych osadników nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Z wolna dogasa już łuna nieśmiertelnej ery wojen z Indianami, a za żołnierzami uzbrojonymi w śmiertcionośną broń nadciąga armia żołnierzy pióra, do której najskromniejszych szeregowców odważam się zaliczyć także i siebie; stawia ona sobie za cel uszlachetniać i kształcić dusze mężczyzn i kobiet zaabsorbowanych dotychczas twardą walką o chleb powszedni. Ileż istotnych zadań staje tu przed odważnym i nieprzekupnym dziennikarzem! W tym najmłodszym ogródku Stanów rośnie bujnie wiele szkodliwych chwastów,

obowiązkiem zaś uczciwego dziennikarza jest, aby pierwszy pomógł bezlitośnie je wyplenić. Tak, „Trąba Cowtown” chce się stać pręgierzem i biczem, bezwzględnie karzącym i chłosczącym każdego, kto by się ośmielił przekroczyć granice prawa i obyczajności.

Menedżer Cody’ego spoglądał teraz na dziennikarza wzrokiem pełnym szacunku, dostrzegł bowiem, że ma do czynienia nie z lada jakim prowincjonalnym redaktorką, w pocie czoła pichnącą kilka linijek o samobójstwie nieznanego włóczęgi w parku miejskim, ale że informuje rutynowanego specjalistę od artykułów wstępnych, osłuchanego z oświadczeniami wygłaszanymi podczas kampanii wyborczych, który wspaniale przyswoił sobie sztukę układania patetycznych przemówień. Gorzał wprost ze wstydu. Czemuż nie zadał sobie więcej trudu, prezentując przygody Buffalo Billa!

– Owszem – dorzucił Breakenridge z dobrotliwym uśmiechem, zadowolony, że udało mu się zaimponować tak wytrawnemu mówcy jak pan Buntline – przyznaję, że Cowtown prawdopodobnie nie jest miejscowością obfitującą w bandytów, skorumpowanych urzędników i kobiety lekkich obyczajów. Jest to ponoć ospałe miasteczko pośród prairii, bez żadnego znaczenia, jeden z punktów postoju kowbojów w drodze do linii kolejowej.

Od chwili kiedy w ustach dziennikarza po raz pierwszy zabrzmiał słowo Cowtown, Henry skubał z nerwizmem. Już

zadrzmiało słowo Cowtown, Horacy siucnął z napięciem. Już sama myśl, że to miasteczko jest także celem podróży pięknej brunetki, napełniła go uczuciem szczęścia. Ostatnie słowa Breakenridge'a: „ospałe miasteczko”, „niemający żadnego znaczenia punkt postoju kowbojów”, ściągnęły na jego wargi ironiczny uśmiezek. Cóż ten dobroduszny mąż powie, kiedy Cowtown zacznie mu się w oczach rozrastać w piekielny Babilon? Horacy zachichotał w duchu.

## BOSKI HAK VERSUS SZATAŃSKI PROSTY

Było już dość późno, kiedy pociąg, sapiąc, wtoczył się na dworzec w Powderville, ostatnią stację na linii Południowo-Zachodniej Kolei Żelaznej. Horacy rozglądał się zaniepokojony po płynącym wartko tłumie, w obawie, że straci z oczu tę, która na dobre zamieszkała w apartamentach jego serca. W pewnej chwili wydało mu się, że wśród tłoczących się ludzi dojrzał profesora Darę Shikoha, lecz nie był tego całkiem pewny. Zresztą na tych kresach Stanów roilo się od najróżniejszych podejrzanych typów, toteż obdarzony złodziejskim talentem magik bez trudu zginął w ich korowodzie.

Ramię prawa, tak potężne i muskularne na północo-wschodzie, sięgało tutaj jedynie karłowatym małym palcem, zbyt słabym, by mógł poskromić bandy profesjonalnych zabijaków, złodziei bydła, szulerów, bandytów napadających na banki i łupiących na traktach. Ich to było zasługą, że klimat miejscowy stał się zbyt gorący. Ale taki właśnie klimat odnawiał tym wszystkim

łotrom, uprawiającym tutaj swe brudne rzemiosło bez żadnego ryzyka, a raczej tylko z tym jednym, że mogą trafić na podobnego do siebie nikczemnika, który nieco wcześniej naciśnie spust.

Piekielne miasto, skryte teraz za maską nocy, błyskało w ciemności dziesiątkami ognistych fleszów i upajało się szczekaniem pistoletów. W takim środowisku obcego przybysza ogarniało poczucie własnej niepozorności i bezradności, chociażby nie miała dla niego żadnych tajemnic nawet dżungla chicagowskiej polityki komunalnej.

W chwili kiedy Horacy zobaczył pana Breakenridge'a i pannę Winnifredę, jak rozglądają się z rozpaczą po brudnym peronie, poszturchiwani ze wszystkich stron przez grubiańskich podróżnych – zrozumiał, że nadszedł moment wkroczenia na scenę.

– Ta całkiem pokojowa strzelanina nie powinna państwa niepokoić, jest dzień wypłaty i ludzie świętują pomyślny koniec tygodnia. – Horacy wypowiedział te słowa najaksamitniejszym odcieniem swego pięknego barytonu i zabarwił je łagodną śpiewnością południowego akcentu.

Dziewczyna zarumieniała się, czując na sobie płonące spojrzenie karciarza, ale Zachariasz Breakenridge zwrócił się do niego z wdzięcznością, pytając uprzejmie, czy mógłby mu polecić jakiś

nocleg, chociaż trochę odpowiadający wymaganiom skromnej młodej damy ze Wschodu. Horacy już otwierał usta, aby mu odpowiedzieć, kiedy nagle nieludzkie wycie rozdarło ciemności. Huknął strzał i z głowy pana Breakenridge'a spadł cylinder. Greenwood obrócił się i w mdłym świetle naftowej latarni zobaczył roześmianego kowboja z kurzącym się rewolwerem w ręce. Horacemu starczył jeden rzut oka, aby zrozumieć, o co chodzi.

– To nic – uspokajał przerażonego dziennikarza. – Stał pan tylko na linii strzału znakomitemu strzelcowi, który w ten może nieco zbyt głośny sposób witał pułkownika Cody'ego.

Istotnie – kulka, która obnażyła głowę Breakenridge'a, zrzuciła także stetson Buffalo Billa.

– Bronco Bill! – wykrzyknął łowca bizonów, odświeżony kilkugodzinną drzemką i całkiem niepodobny do Śpiącej Królowej z pociągu, biegnąc smagłemu pastuchowi naprzeciw. Pułkownik Judson, pocieszenie kulejąc, podążał za nim. Dopiero gdy się pan Breakenridge uspokoił, Horacy odpowiedział na jego pytanie. Co się tyczy noclegu, może być brany pod uwagę tylko hotel Berkowitza. Wątpi zresztą, aby znalazł się w tym mieście dom, godzien przyjąć pod swój dach tę młodą damę. Oświadczywszy to, szarmancki gracz doszedł do wniosku, że już najwyższy czas, aby się przedstawił. Zamierzał uczynić to z istic południową, uroczo staroświecką galanterią, ale w tej chwili lokomotywa z odurzającym sykem

gałnicą, ale w tej chwili okoniotywa z oguszczonego sykiem wypuściła kłęb pary, dlatego też słowa, które miał wypowiedzieć dyskretnym półgłosem, lecz z godnością, musiał wyrzeszczyć na całe gardło niczym domokrażny szklarz. Nagle w pobliżu nich ktoś jęknął z przerażeniem: „Willie! Nie ma twojej szpilki! I spinek także!”. Horacy poznał głos Judsona. „To znaczy, że się nie myliłem” – pomyślał, przypomniawszy sobie, jak mu się zdawało, że widzi w tłumie Darę Shikoha. Ten zabawny epizod przywrócił mu dobry humor, mógł więc poświęcić się swoim sprawom.

Podobno w sercu każdego człowieka anioł i diabeł toczą swój odwieczny bój. W przypadku Horacego jego niebieski obrońca już od wielu lat dostawał od wysłannika piekieł okrutne ciągi. Zwłaszcza ostatnio ślaniał się on bez przerwy na linach w stanie noszącym nazwę „groggy”. Ale woń lilii, wieńczących dziewiczą główkę Winnifredy, sprawiła cud: tak wzmocniła siły cheruba, że twardym hakiem usłał demonowi najeżone ostrymi gwoździemi łożę w najmroczniejszym zakamarku szulerskiej duszy. A ironiczny los otulił na ten czas nikczemnego oszusta w błyszczącą szatę rycerza króla Artura, w każdej chwili gotowego oddać życie za spokój i cześć swej damy.

Greenwoodowi udało się w końcu namówić dwóch włóczykijów, aby za nieprzyzwoicie wysoką sumę (naturalnie z kieszeni Breakenridge’a) odnieśli rzeczy dziennikarza do hotelu Berkowitza. Ponieważ on też chciał tam zamieszkać – pan Rushman nie wraził sprzeciwu – towarzyszył namu



Bushman nie wyraża sprzeciwu i wodzi za rękę pannę Breakenridge'owi i pani Winnifredzie przez gwarne ulice miasta, nie poświęcając prawie uwagi pospolitym przejawom życia Dzikiego Zachodu, które dziennikarza i jego córkę napępiały śmiertelną grozą. Pożegnał się z nimi dopiero w korytarzu hotelowym, a odparłszy podziękowania Zachariasza kontratakami gładko wyszlifowanych frazesów, odszedł z klasycznie prostymi życzeniami dobrej nocy, by uspokoić niecierpliwie go oczekującego Bushmana. Mam nadzieję, żeście nie zapomnieli jeszcze tego wybitnego męża, choć od tak dawna nie było o nim mowy. Otóż Leo natychmiast zauważył, że Horacy pali się do pięknej brunetki. Najprzód go to bawiło, bo dokuczał szulerowi zjadliwymi dowcipami, które ten jednak pogardliwie ignorował. Ale kiedy po pożegnaniu z Breakenridge'em Bushman, zaniepokojony, przypomniał Greenwoodowi jego zadanie, zahaczywszy przy tym bez ogródek, wręcz ordynarnie o wdzięki Winnifredy, nasz Romeo postanowił co rychlej zamknąć wstrętnemu rudzielcowi usta, aby swoje sprośności mógł jąkać tylko kilka stóp pod ziemią, w którejs z pustych mogił powdervilskiego cmentarza obutych.

Być może, studiując charakter Horacego, zechcecie oskarżyć autora o niekonsekwencję. Wszak prezentuje wam tego godnego uwagi szulera jako z jednej strony bezwartościowe moralnie indywiduum, z drugiej zaś – entuzjastycznie opiewa wzniosłość jego miłosnych doznań, by wkrótce przypisać mu myśli, jakie wyląć się mogą tylko w głowie skończonego opuszczonego Ouzzem – to prawda, że pan Greenwood nigdy nie

Opłyszka. Owszem – w prawdę, że pan Greenwood nigdy nie łamał sobie głowy nad różnicą między dobrem a złem, ba, nie znał nawet pojęcia „sumienie”, ale prawdą jest także, że szlachetna domieszka romantycznej południowej krwi budziła w nim płomienną namiętność na widok piękna, zwłaszcza gdy miało ono postać pięknej kobiety. A jeśli do tego na jej czole lśnił diamentowy klejnot nieskalanej cnoty, czarne grzęzawisko jego duszy marszczyły powiezy szczerzego wstydu i poczucia własnej nikczemności; w takich chwilach nie wahałby się oddać życia za ów ziemski cud. Tak było i tym razem. Ledwie jednak Winnifreda zniknęła mu z oczu, czar prysnął, znokautowany diabeł ocknął się, ogłuszył niebianina istic szatańskim prostym, po czym jął szeptać Greenwoodowi do ucha perfidne rady, jak możliwie najszybciej pozbyć się pana Bushmana.

Tak, jak go się co rychlej pozbyć... Nad tym rozmyślał Horacy, spoglądając w zadumie na agenta Bennetta, który akurat wyciągał z torby podróżnej długą nocną koszulę. Bo też pilnując się wzajem, awanturnicy ulokowali się w jednym pokoju, postanowiwszy przezornie nie zmrużyć oka przez całą noc. Szuler, oparty o ramę okna wychodzącego na hałaśliwą ulicę, odwrócił się zniechęcony i spojrział na przeciwną stronę Carson Street, gdzie płonęły w ciemności światła Pełnej Szklanki – popularnej i słynącej z dobrej kuchni knajpy. Przypomniał sobie, że kiedy był ostatnio w Powderville, jadł tam wyśmienity befszyk. Zaproponował więc Leo, by udali się tam na kolację. Bushman, trapiiony żałośliwymi intradami głodnego żołądka, zgodził się ochotnie. A ponieważ nie posiadał domu

zgodził się ocnocz. A ponieważ nie posiadał daru jasnowidzenia, nie przeczuwał, iż jego radosny nastrój ustąpi wkrótce miejsca innym, całkiem odmiennym uczuciom.

## KTOŚ ZAMAWIA LEMONIADĘ ZŁY CZŁOWIEK POWRACA

W owych czasach Powderville było miastem bardzo wesołym. Pod wieloma względami przypominało Dodge z roku siedemdziesiątego drugiego, kiedy linia kolei żelaznej tam się właśnie kończyła. Także Powderville już od kilku lat czerpało korzyści z tego znakomitego położenia. Wkrótce jednak kolej wyjdzie na spotkanie szlakowi bydłecemu dalej na południowy zachód, a wtedy Powderville posypie głowę popiołem nudy i oblecze bezbarwną szatę pozbawionej znaczenia stacji. Jakby przeczuwając to, wiodło gorączkowy, hulaszczy żywot, niby suchotnik, który wie, że jego godziny są policzone. Na razie jednak historię Powderville pisały jeszcze buchające ogniem lufy rewolwerów. Tego dnia płomienie ogarnęły całe miasto, bo kowboje dostali akurat wypłatę i sami nie wiedzieli, gdzie ją stracić.

Guss Nagle, krzywonogi, muskularny boss z Panhandlu, przez całe popołudnie próbował wszelkich możliwych sposobów jak najszybszego pozbycia się pieniędzy. Najpierw kupił sobie krzyżącej barwy stetson, potem dał się sfotografować, a teraz zamierzał poddać próbie Fortunę w partii monte. Na razie jednak wraz z innymi hałasował przy szynkwasiu w Pełnei

Szklance. Właśnie zdecydował się rozstać z tym lokalem, i to w zwracający uwagę sposób – rozbiwszy najpierw żyrandol. Nie zrobił tego jednak, bo w chwili, kiedy niepewną ręką wyciągał rewolwer, wrzawa wokół niego umilkła i stężała w lodową bryłę ciszy. Ktoś w pobliżu szepnął: „Brooks już dzisiaj dostał na kolację jednego faceta, ale widocznie ma apetyt na jeszcze jednego”. Guss obejrzał się pomału, jak oparzony wpuszczając kolta z powrotem do kabury. Zobaczył w drzwiach zataczającego się mężczyznę o szklanym wyrazie oczu. Był to Billy Brooks.

Guss ani myślał bawić się bronią w obecności pana Brooksa, sława bowiem otaczająca to nazwisko miała kolor krwi i pachniała prochem strzelniczym. Billy Brooks, urodzony desperado, należał do najznakomitszych strzelców Dodge City z okresu siedemdziesiątego drugiego roku.

Brzmi to dość śmiesznie, ale ów zabijaka sprawował nawet przez pewien czas funkcję zastępcy szeryfa. Coś jak gdyby niepoprawnego kasiarza uczynić prezesem banku. Emmanuel Dubbs, łowca bizonów, a później kaznodzieja, zwykł twierdzić, że Billy załatwiał co dzień przed śniadaniem jednego faceta, a jeśli się nastęczyła okazja – to i czterech. Cośkolwiek tu Dubbs przesolił – lecz co do tych czterech, to nawiązywał do sprawy, która rozegrała się na jego oczach i nakazała mu taki wobec Brooksa respekt. Inny łowca bizonów, Fred Singer, spotkał raz Dubbsa na ulicy; wskazał mu czterech chłopca,

zmierających ku tancbudzie, do której stałych gości zaliczał się Brooks. Singer akurat podслуchał przypadkiem tych czterech i z ich rozmowy zyskał przekonanie, że szykują się na Billy'ego. Dubbs z Singerem przyspieszyli więc kroku, minęli obcych i opowiedzieli Brooksowi co i jak. Ten, nie tracąc ani chwili, stanął nieustraszenie u drzwi tancbudy z koltem w każdej dłoni, twarzą w twarz z wrogą czwórką. Ma się rozumieć, w tejże chwili zaczęła się palba. Panu Dubbsowi po dziś dzień wylażały oczy z orbit, gdy o tym opowiada. Jako że Brooks, stercząc ponad skrzydłami drzwi do knajpy niby klasyczna figurka na strzelnicy, walił tak szybko, że brzmiało to jak jeden długi wystrzał. Wszystko zasłonił dym, nie widziało się ani o krok. Kiedy zaś dym trochę zrzedł, Brooks stał wciąż w tym samym miejscu, wtykając z brawurowym młynkiem sześciostrzałowce do kabur. Tamci czterej leżeli na ziemi, z czego dwaj już ją gryźli, a dwaj się przymierzali. Potem się okazało, że byli braćmi i przybyli do Dodge City z Hays, by pomścić piątego z nich, którego Brooks naszpikował jakiś czas wcześniej.

Ale stanowczo nie wywierało dobrego wrażenia, gdy Billy załatwiał z pomocą rewolweru interesy, które dżentelmen rozstrzygnąłby dobrze wyważonym słowem. Na przykład przez jakiś czas smażył cholewki do panny Drew. Rywalizował z nim w tym względzie pan Browney, z zawodu grabarz. Posępne poniekąd zajęcie tego jegomościa nie stało jednak na przeszkodzie, by dziewczę dało pierwszeństwo właśnie jemu. Skadinad wwbór ten ukazuje nam nanne Drew iako dziewczę

nadzwyczaj praktyczne, nie nazbyt renomowane bowiem grabarstwo należało wówczas do rzemiosł najbardziej dochodowych. W zestawieniu z kimś takim rewolwerowiec stanowił partię ledwie godną uwagi, gdyż w jego przypadku o jakichkolwiek gwarancjach nie mogło być mowy. Pana Brooksa tak jednak rozczuliła panińska odmowa, że przy pierwszym spotkaniu przestrzelił grabarzowi głowę. Czynem tym nie odzyskał bynajmniej dziewczęcej sympatii, ani też, o dziwo, nie usunął z drogi znieawidzonego rywala, bowiem Browney ku powszechnemu zdumieniu ozdrowiał i wykopał jeszcze tuziny schludnych, higienicznych grobów. Taki był zatem Billy Brooks... Lecz i on spotkał wreszcie kogoś lepszego od siebie.

Kirk Jordan, także łowca bizonów, nie zaliczał się jeszcze do elity strzelców Dodge. Być może bladły przed nim stada bizonów, rewolwerowcy jednakże mieli go za nic. A więc ten właśnie Jordan przemówił się szpetnie na ulicy z Brooksem. Po krótkiej wymianie paru ostrych słów łowca wycelował znieacka w zabijakę lufę swej ciężkiej rusznicy. I stało się coś nieoczekiwanego. Sławetny awanturnik, bledszy od śniegu, schował się najpierw za beczkę z wodą, a następnie w kilku chwiejnych susach dopadł drzwi jakiegoś sklepiku, runął w nie jak kula armatnia i zniknął za ladą w łóżku właściciela. Gdyby nie było tylu świadków, nikt by w ów zadziwiający od strony psychologicznej wypadek nie uwierzył. Brooks zdał sobie sprawę, że w Dodge nie ma już czego szukać, i wyjechał najbliższym pociosem w nieznaną. Ot – jedna chwilka słabości

najwyższym poziomie w mieście. On – jeden człowiek sukcesu, moment załamania nerwowego – i kariera groźnego zabijaki runęła w gruzy.

Płynęły lata, po Brooksie słuch zagał. Aż pewnego pięknego dnia wychynął w Powderville, niecąc wokół ogień, śmierć i zagładę. Dłoń jego nie utraciła przez ten czas nic ze swej szybkości i pewności. W błyskawicznej potyczce pod teatrem Ridleya położył właśnie dwu kowbojów, postrzelał lustra w tancbudzie Cordy, a tuż przed chwilą wysłał do krainy cieni Floyda McOdluma, zbrojnego konwojenta Towarzystwa Komunikacji Zamiejskiej Kingsleya. Przybywający do miasta Tekszańcy nie chcieli oddawać broni, powołując się na to, że on tu grasuje. Tylko jeden człowiek mógł ich do tego zmusić: Brooks. Ale on właśnie od nich tego nie żądał, bo niepisane prawa rewolwerowców nie pozwalały zabijać ludzi bezbronnych, dla niego zaś zabijanie stało się potrzebą. Wszyscy o tym doskonale wiedzieli, toteż, przejęci strachem, starali się nie zwracać na siebie jego uwagi.

Klientela Pełnej Szklanki też usiłowała wyglądać jak najbardziej pokojowo, a Guss Nagle miał minę, jakby w ogóle nie wiedział o rewolwerze na swym biodrze.

Billy Brooks chwilę kołysał się w drzwiach, po czym wśród martwej ciszy ruszył chwiejnym krokiem do szynkwasu, jeszcze przed kilkoma sekundami otoczonego potrójnym rzędem pijących; teraz ziało przy nim pustką, jedynie z boku kulilo się

paru mężczyzn, którzy najwidoczniej pretendowali do aureoli bohaterstwa. Zabijaka oparł się ciężko o ladę szynkwasu, rzucił na nią meksykańskiego dolara i rzekł chrapliwie:

– Whi-whi-whisky z pie-pieprzem.

Widzę już, jak czytelnik z niesmakiem wyraża zdziwienie: „Cóż to, czy Dziki Zachód roił się w takiej liczbie od jakał, że aż dwu musiało się spotkać w jednym rozdziale? Jest już jeden bez ucha, drugi bez oka, trzeci bez palca – wkrótce przyjdzie zapewne pora na głuchych, beznogich, niemych, a jeśli na scenę zechce wkroczyć sam autor – to i na bezgłowych!”.

Niechaj się więc będzie wolno autorowi usprawiedliwić. Nic przecież na to nie poradzi, że panu Greenwoodowi ustrzelono w Meksyku ucho, a panu Bushmanowi palec – by nie wspomnieć o oku Schiffkartena. To samo życie z jednej, a muza autora z drugiej strony obdarzyły te postacie wymienionymi wadami. Co się zaś tyczy jakałów, mamy do czynienia z przypadkiem, który – jak się wkrótce będzie okazało – przekonac – pociągnie za sobą dość poważne następstwa. Wróćmy jednak do pana Brooksa.

Pan Brooks, gdy był trzeźwy, nie jakał się nigdy, ale jak tylko miał trochę w czubie, język skręcał mu się w węzeł niczym lina w rękę zręcznego marynarza. Jak się już zorientowaliśmy, teraz na pewno nie był trzeźwy, toteż się jakał. Oprócz tego wpadał



w coraz bardziej pośepny nastrój i świat jawił mu się w niezwykle ciemnych barwach, wskutek czego wszystko, co żyje, przybierało dlań kształt złośliwego widma, szepczącego mu zza pleców z beczelnym chichotem nazwisko „Kirk Jordan”.

Czuł, że w zamroczonym mózgu budzi się cicha, ale tym groźniejsza wściekłość, przeciąga się, zgrzytając zębami, i wyrywa ze snu swego krwawego kochanka, Pragnienie Mordu. Rozejrzał się ponuro wokół siebie, a każdy, na kogo padł ten bazylijski wzrok, zaczynał snuć rozważania na temat tak zwanych rzeczy ostatecznych. Wszystkie twarze miały jednakowoż tak jagnięcy wyraz, że pan Brooks zniechęcony wrócił do swej szklanki, z której popijał, spoglądając tępo przed siebie.

Mroźna cisza zawisła nad pijakami niby gład, grożący w każdej chwili upadkiem na łękliwie pochylone głowy. Toteż wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy stuknęły skrzydła wahadłowych drzwi i podłoga zaskrzypiała pod krokami nowych gości. Jednemu z nich najwidoczniej nie podobała się przygnębiająca atmosfera saloonu, bo nie omieszkał wyrazić swego niezadowolenia.

– Ja-ja-jakoś t-tu nie-nie-wesoło. Z-z-zupełnie jak n-na po-pogrzebie.

Pan Brooks odwrócił się z wolna. Z jego oczu wyzierała śmierć...

## PAN BUSHMAN W POZYCJI HORYZONTALNEJ

Leo Bushman. Billy Brooks...

Nigdy się przedtem nie zetknęli, nie wiedzieli więc, że macosza natura obdarzyła ich równie opornymi językami. Znaie już charakter obu, bez trudu więc odgadnicie, jak się to spotkanie skończyło. Ale po cóż uprzedzać wypadki?

W pierwszej chwili agent Bennetta nie zwrócił najmniejszej uwagi na wykrzywiającego się posepnie pijaka przy szynkwasio i zmierzał spokojnie w stronę najbliższego pustego stołu, lubując się już wizją soczystego befsztyka. Ale z przyziemnych tych marzeń wyrwało go uderzenie ciężkiej dłoni; spadła na jego ramię i ścisnęła je mocno. Obejrzał się zaskoczony i zobaczył człowieka, który jeszcze przed chwilą zataczał się przy barze, a teraz usiłował wykręcić mu rękę, owiewając przy tym obłokiem wstrętnego, nasyconego wódką oddechu. Domyślił się, że te wyrażające wściekłość grymasy skierowane były pod jego adresem.

Billy Brooks, nawet gdy był trzeźwy i w świetnym humorze, nie grzeszył delikatnością obejścia. Wyobraźcie więc sobie, jak się zachował wobec nieznanomego, o którym był przekonany, że stroi sobie żarty z jego wady wymowy. Nie wypuszczając z uścisku ramienia Bushmana, pochylił się ku niemu pod niebezpiecznie ostrym kątem i jął wygłaszać obraźliwą mowę, przedłużoną znacznie wskutek uporczywego iakania się Pan

przemówienie zrozumieli wreszcie uproszczonego języczka się. I tu Bushman czuł się tym przemówieniem bardzo niemile dotknięty, co zresztą było zrozumiałe, zważywszy że na wstępie został nazwany rzyżym idiotą, następnie porównany do kilku ohydnych, śmierdzących zwierząt, a w końcu dokładnie poinformowany o zamysłach Brooksa: on, Leo Bushman, zostanie nakarmiony ołowiem tak obficie, że nie będzie już miał okazji zatęsknić za innym jadem. Tu Brooks znacząco poklepał kaburę rewolweru, zapewniając rudego strzelca, że pełna łycha ołowianej potrawki jest już gotowa.

W jednej chwili twarz Bushmana przybrała barwę jego ognistej czupryny. Tego już za wiele! Przy indyjskim usposobieniu Lea wystarczyło, by jakiś opój pozwolił sobie uderzyć go w ramię, a stawał się niepoczytalny; to zaślinione bydlę zaś jeszcze go obraża, wyśmiewając się z jego wady wymowy. Doprawdy, nie ma sensu tracić czasu na pustą gadaninę, skoro jego szybka ręka potrafi w takich wypadkach mówić o wiele bardziej przekonująco. Strząsnąwszy z ramienia dłoń pijaczyny, uskoczył do tyłu, wsuwając błyskawicznie rękę pod surdut. Lecz pan Brooks tylko czekał na ten ruch i w tej samej sekundzie dowiódł Bushmanowi, że należy do tych zręcznych chłopców z Pogranicza, o których Horacy wspominał w hotelu Sandersa i których Leo tak bardzo pragnął zo-zo-zobaczyć. Jednego z nich miał teraz przed sobą, lecz, niestety nie zdołał dokładnie obejrzeć, bo palec Brooksa nacisnął spust tak szybko, że śmierć przesłoniła mu oczy wcześniej, niż mógł sobie uświadomić, z jak ułomnym strzelcem ma honor. Jego przestrelona głowa

wyobnitym szercem ma robić. Jego przesużona głowa zadudniła o podłogę akurat w momencie, kiedy dotknął kościanej kolby rewolweru. Leżał teraz, sztywno wyciągnięty, nie widząc pobladyłch twarzy wokół siebie, głuchy na ciszę, w której niewidzialny zawój tak chętnie otula się Śmierć.

Myślę jednak, że zbytnio się rozwodzimy nad zgonem nieznaczącego rewolwerowca. W tej powieści będzie jeszcze spora liczba trupów (i to jakich!), nie ma więc powodu poświęcać tyle miejsca pierwszemu lepszemu nicponiowi. Zajmijmy się raczej ważniejszymi osobistościami, które były świadkami odejścia Lea do piekieł.

Kiedy pan Brooks zaspokoił swą żądzę mordu, nie widział już powodu, by siedzieć dłużej w tak nieprzytulnym miejscu, jakim stała się teraz Pełna Szklanka. Wsunął sześciostrzałowiec do kabury i czknąwszy rozgłośnie, wytoczył się na ulicę. A Horacy? Ten by najchętniej wskoczył na stół, wyrzucił cylinder w powietrze i zamówił kolejkę dla wszystkich obecnych. Przecież pistolet Brooksa w ciągu sekundy rozwiązał trudny problem, który on rozwikłałby jedynie, obciążając sumienie nową zbrodnią.

Ale nie była to jeszcze wygrana. Wymarzone sto dwadzieścia tysięcy i drogocenny plan parcel dotąd spoczywały na stygnącej piersi martwego rewolwerowca. Teraz jak najszybciej musi zabrać zwłoki Lea gdzieś w ustronne miejsce, bo inaczej cała historia mogłaby się nieprzyjemnie skomplikować. Horacy

obawiał się takich ludzi jak koroner, który na pewno dostrzegłby bezcenny pas. To by jeszcze było głupstwo, ale jeśli pan Bennett zacznie węszyć (a robi to z pewnością), aby wykryć spryciarza, który tak chytrze sprzątnął mu interes sprzed nosa, wtedy świadectwo koronera naprowadziłoby jego szpicli na właściwy trop. Dotąd jest wszystko w porządku: Bushmana nikt tu nie znał, a Horacy Jouett Greenwood odwiedził to miasto przed laty, gdy nosił jeszcze bródkę á la Napoleon III. Trzeba więc usunąć zwłoki możliwie najszybciej i po cichutku, zanim urzędy wetkną w tę sprawę swój głupi nos, co zresztą w mieście takim jak Powderville jest mało prawdopodobne. Greenwood zdecydował się podać za bliskiego kuzyna pana Bushmana i zagrać rolę zrozpaczonego krewnego. Powiódł więc wzrokiem po stojących wokół ludziach i poprosił ich – wzywając tkliwymi słowami starej matki Lea (na pewno jakąś matkę miał) – aby mu pomogli przenieść ciało zgasłego brata ciotecznego do hotelu Berkowitza. Okazało się, że nikt z obecnych nie jest zachwycony pomysłem dźwigania ciężkiego umarłaka. Horacego zaczęła już ogarniać irytacja na nieuczynnych gapiów, kiedy ktoś przyjaźnie poklepał go po plecach. Obejrzawszy się, zobaczył barczystego mężczyznę. Nie widział dobrze jego twarzy, odwróconej od światła, ale natychmiast poznał piękny, głęboki bas, wypływający z gardła tej ogromnej postaci niby strumień znakomitego, ciężkiego piwa.

– Wiesz przecież, książę, że nigdy cię nie zostawiam w biedzie. Łan no go nod nachv. a ia wezme za nogi.

Taki głos miał tylko jeden człowiek na świecie. I tylko on dokuczał Horacemu szlacheckimi tytułami.

W taki sposób pan Greenwood spotkał się znowu z Shamusem O'Mearą.

## ZWYCIĘSTWO IMAGINACYJNYCH PLUSKIEW

W pokoju na pierwszym (a zarazem i ostatnim) piętrze hotelu Berkowitza Winnifreda siedziała na łóżku z kolanami pod brodą; nie obdarzyła nawet spojrzeniem nęcącej pieczeni, powabnie leżącej na talerzu niby sultańska faworyta, ozdobionej złotem i wonią smażonych kartofelków. Nie chciała jeść kolacji w szynku, więc pan Breakenridge, płonący niecierpliwością, by jak najszybciej poznać życie i zwyczaje mieszkańców Pogranicza, sam zstąpił do tego piekła, które ryczało i wybuchalo pod ich nogami, zapewniając córkę, że wkrótce wróci. Kolację przyniósł jej utykający młodzieniec, bezustannie pogrążony w głębokich rozważaniach, z których nie życzył sobie być wrywany. Nie czynił żadnych wysiłków, aby zasłużyć na tytuł kelnera. To pewne, że wzbudzał w Winnifredzie taką samą nieufność jak cały hotel Berkowitza.

Obywatelom tego miasta fakt, że pan Samuel Berkowitz nazwał swoją drewnianą budę hotelem, wcale nie wydawał się śmieszny, ale rozpieszczona dziewczyna ze Wschodu, jaką była Winnifreda, wyznała, że po bezwzględnej opozycji Cdeku

winnifreda, uważała to za bezwstydną oszustwo. Gdyby obejrzała za dnia okoliczne budynki, niewątpliwie zrozumiałaby pewność siebie pana Berkowitza, ale nocne ciemności osłaniały wszystko z wyjątkiem oświetlonych okien i drzwi wejściowych i uniemożliwiały jakiegokolwiek porównania, z których wyżej wymieniony hotel wyszedłby zwycięsko. A przecież ta dziura dzięki kolei żelaznej ma łączność z komfortem cywilizacji. Jutro Winnifreda wsiądzie do pękatego dylżansu i przez dwa dni będzie się piec w jego roztrzęsionym wnętrzu, nim ujrzy ulice Cowtown, swej przyszłej ojczyzny. Wizja gromadki pokrytych kurzem drewnianych chałup, zagubionych w prerii, napępiała ją rozpaczą, a brzydota otoczenia jeszcze pogłębiała to uczucie. Światło kopającej lampy naftowej pełgało po okropnych tapetach w czerwone róże, które jakby się rumieniły ze wstydu nad bezczelnością pana Berkowitza, mającego nadzieję za ich pomocą wyczarować z tej nory wytworną, tchnącą intymnością salonik. „A jeżeli za tymi tapetami są pluskwy?” – pomyślała. Wyobraziwszy sobie te podstępne insekty, krwiożerczo zaczone w cieniu, zamarła z przerażenia. To było gorsze niż dzika, bezładna strzelanina, zapijaczony głosy i przeraźliwe pohukiwania dobiegające z ulicy i przeszywające jej skronie niby rozżarzone igielki. Droga ze stacji do hotelu trwała zaledwie pięć minut, ale Winnifredzie zdawało się, że w ciągu tych trzystu sekund widziała więcej niż przez całe swoje życie spędzone w zaciszu spokojnego przedmieścia Chicago. Ulice Powderville do późnej nocy huczały żywym ruchem. Tłumy przechodniów płynęły wąskimi drewnianymi chodnikami i brodziły w pyle

niebrukowanej jezdni, w czerwonym pyłe, którego słupy wzbijały się aż pod ciemne niebo. Widziało się tu bardzo mało kobiet, a większość z nich umalowaną twarzą, głosem i ubraniem wyraźnie zdradzała swoją profesję. Mimo to żaden mężczyzna im się nie narzucał ani nie obrażał. Szczęki wahadłowych drzwi skrzypiały obłudnie, połykając coraz nowych, spragnionych przepalanki ludzi, a od czasu do czasu wypluwały jakiegoś mężczyznę, który wylatywał z nich rozplaszczony jak żaba i padał z głuchym stuknięciem, ryjąc nosem w pyłe głęboką brudę. Niekiedy tłum rozbiegał się jak stado spłoszonych kur i ulicą przelatywał wrzeszczący jeździec. Z ciemności wynurzały się i znowu znikwały dzikie twarze z brązu, jeżące się twardym ścierniskiem zarostu albo wygolone niczym oblicze aktora, gruntownie zarosłe puszcza brody lub też dyskretnie ozdobione spiczastym wąsikiem i zabójczym pędzelkiem pod dolną wargą. Pijani – a pijana była połowa miasta – bez ustanku strzelali w powietrze i do ludzi. Niektórzy, przekonani, że strzelają w powietrze, trafiali człowieka i na odwrót. Kiedy ta wesoła artyleria na chwilę milkła, z barów dobiegało brzęczenie pianol, trele swawolnych skrzypiec, drżące dźwięki gitary i wrzask trąbki. Winnifreda poczuła wdzięczność do bladego eleganta, który przedstawił im się na stacji. Wprawdzie nie budził w niej zainteresowania – chociaż pod jego uporczywym wzrokiem zaczynały jej chodzić po plecach przyjemne ciarki – ale obecność tego człowieka użyczała dziewczynie jakiejś pewności, że jest ktoś, kto w razie potrzeby potrafi zareagować daleko energiczniej niż jej srebrnowłosy ojciec. Za to towarzysz



nieznajomego wcale się pannie Winnifredzie nie podobał. Bez przerwy tak głupio się na nią gapił. I te śmieszne wąsy, ta wypomadowana czupryna! Doprawdy, komiczny człowiek!

Nagle wystrzały zagrzechotały zupełnie blisko, a kule zaświsnęły na wysokości głowy; było to niewątpliwie oznaką zacieklego ulicznego pojedynku, który rzucił przechodniów na ziemię albo przycisnął do ścian jak kukurydziane placki. Nieznajomy nawet nie musiał Winnifredy nakłaniać, aby razem z ojcem jak najszybciej skryła się za brzuchem otyłej beczki. Rozległ się przeraźliwy jęk i pistolety ucichły. Szybkie kroki zadudniły po drewnianych schodach, ktoś szukał koronera. Kiedy po chwili natknęli się na mur gapiów, wzrok Winnifredy, spuszczonej ku ziemi, dojrzał za płótnem drepzczących nóg nieruchomą stopę tkwiącą w wysokim bucie ze srebrną ostrogą. Ta martwa kończyzna w zapyłonej cholewie stargała do reszty ośnowę dziewczęcych nerwów i przenikła na zawsze w krytą jej świadomości jako nieodzowny rekwizyt wszystkich złych snów.

Zanim na krótko rozstaniemy się z piękną Winnifredą, musimy wam przypomnieć, że niewinne to dziewczę nie miało pojęcia o prawdziwym życiu Horacego, w przeciwnym bowiem razie na pewno by się nim żywiej zainteresowała. To właśnie trujący aromat zła przyciąga z nieodpartą siłą serce uroczej kobiety, podczas gdy dobro przeważnie ją nudzi. Ale niestety córka czcigodnego dziennikarza nie znała burzliwego biegu życia pana

Greenwooda. Toteż lęk przed wyimaginowanymi pluskwami szybko przesłonił jej obraz wytwornego kawalera. Obłok strachu, unoszący się dotychczas pod niskim sufitem, opadał z wolna coraz niżej, aż w końcu dotknął ją swymi widmowymi palcami. Dziewczyna skoczyła na równe nogi, drżąc cała, i szarpnąwszy drzwi, wybiegła na korytarz, zdecydowana odszukać ojca choćby u bram piekła.

## PAN BROOKS ŻARTUJE

Tymczasem pan Breakenridge popijał na dole przy ladzie szynkwasu zupełnie przyzwoitą whisky za daleko mniej przyzwoitą cenę, obserwując otoczenie okiem doświadczonego reportera, któremu nic ujść nie może. Bar był tak wspaniale zadymiony, że słabe światło cisnęło się trwożliwie do lamp, tworząc wokół nich kulę czerwonej mgły, a resztę sali zostawiając na pastwę brudnemu półmrokowi. Fetor bijący od ludzi, którzy w życiu prywatnym zajmowali się przeważnie bydłem i rozbojami, oraz wyiewy alkoholu zgęściły powietrze niemal w materialną mieszaninę. Do tego wszystkiego czyjeś chude palce brząkały na pianinie, bez końca powtarzając refren jakiejś wulgarnej piosenki. Wśród porwanych płacht dymu fantastyczne cienie zataczały się wokół stołów, na których wyrastały trujące grzyby hazardu. Karty, ruleta, kobiety – zbyt potężny to spisek przeciw pełnej kieszeni. Jednakże karciarze, przeważnie ludzie o rysach nacechowanych dzikością, zachowywali się nad podziw przyzwoicie. Na ścianie w pięknej

ramce wisiała tabliczka, na której ozdobne litery – cud kaligrafii lat siedemdziesiątych – składały się w następujący napis:

STRZELAJCIE, JAK CHCECIE, ALE DOPIERO NA  
ULICY

Rzecz jasna, to zalecenie nie zdołałoby utrzymać na wodzy namiętności dzikich graczy, ale obsługa u Berkowitza słynęła w okolicy z żelaznych pięści i celności strzału. Jeśli jakiś głupiec spróbował wszcząć awanturę, natychmiast uczuwał w okolicach spodni i przy kołnierzu dotyk silnej ręki, która lekko unosiła go z krzesła i otwierała nim drzwi; jeżeli ktoś potem okazał się takim szaleńcem, że sięgnął po pistolet, to odtąd mógł grywać w pokera najwyżej z aniołami lub – co jest bardziej prawdopodobne – z beczelnie blefującymi diabłami.

Pan Breakenridge zauważył jednak grupkę mężczyzn, którzy różnili się od pozostałych gości uczciwym wyrazem twarzy i przyzwoitym tonem mowy, gdyż używali tylko zupełnie łagodnych przekleństw, i to wyłącznie w najkonieczniejszych wypadkach. Większość z nich ubrana była po miejsku, chociaż krój ubrań zdradzał rękę prowincjonalnego krawca; najwidoczniej należeli do towarzyskiej śmietanki Powderville. Postronnemu widzowi trudno byłoby odgadnąć zawód i stanowisko poszczególnych członków tej dostojnej grupy, ale jeden z nich nie budził żadnych wątpliwości. Był to nieogolony jegomość w wytartym ubraniu, z nisko zawieszonym koltem.

Starczyło jedno spojrzenie na imponujących rozmiarów mosiężną gwiazdę, aby pojąć, że noszący tę odznakę jest osobą urzędową, co daje mu prawo umieszczać tak nisko swą czterdziestkę piątkę.

Rej w tym towarzystwie wodził mężczyzn, który chyba wyszedł z kart Chaty wuja Toma, gdzie wcielał się w postać okrutnego właściciela niewolników Legree'ego. Majestatyczny, o brunatnej niby miedziany kocioł twarzy, spychał w cień mieszczuchów, nie wyłączając nieogolonego szeryfa. Pan Ferdynand Kingsley całkiem zasłużenie grał pierwsze skrzypce w tym zgromadzeniu czcigodnych notabli. Grał bardzo głośno. Prezesura w Towarzystwie Komunikacji Zamiejskiej Kingsleya była tylko jednym z wielu beneficjów, które ten niekoronowany król Powderville gromadził z dziką pasją ogarniętego gorączką złota szaleńca. W jego ręku już od lat zbiegały się wszystkie nitki polityki municypalnej; rządził miastem twardo i bezwzględnie, posługując się przekupstwem i szantażem. Dzisiejszego wieczoru wezwał tu najwybitniejszych radnych, aby się wytłumaczyli, dlaczego ostatnimi czasy zapanował w Powderville taki chaos. Dotychczas udawało mu się trzymać Teksańczyków w ryzach, chociaż mógł tylko lekko przyciągać im wędzidła, bo z ich kieszeni żyły liczne przedsiębiorstwa rozrywkowe, a część z nich należała do Kingsleya. Ale włos, na którym zawsze wisiał spokój ulic Powderville, zerwał się, kiedy przybył tu Billy Brooks. Mimo to Ferd Kingsley zachowywał spokój, dopóki rewolwer tego zabijaki załatwiał porachunki z pijanymi kowbojami. Dziś jednak

Brooks zastrzelił Floyda McOdluma, specjalistę od winchestera kaliber 73, konwojenta dylizansów Towarzystwa Komunikacji Zamiejskiej Kingsleya. Wiadomość o tym dosięgła powdervilskiego cesarza w chwili, gdy powierzał kolekcję swych podbródków brzytwie Marka Spinettiego; najlojalniejszego kingsleyowca w całym Powderville. Nadworny cyrulik przezornie oddalił natychmiast ostrze brzytwy od dostojnego gardła; rzeczywistość, sprawozdanie z tragicznego spotkania McOdlum versus Brooks wzburzyło Kingsleyowi żółć. Dopiero wilgotny dotyk namydlonego pędzla ochłodził trochę jego gniew. Jeszcze ałun ślizgał się po wygolonych policzkach Kingsleya, kiedy polecił oddanemu sobie balwierzowi bezzwłocznie zwołać funkcjonariuszy miejskich do szynkowni hotelu Berkowitza, którego udziałowcem niedawno został. Spinetti mało się nie rozerwał, aby tylko jak najszybciej spełnić powierzone sobie zadanie. Teraz stał tutaj, napawając się zmieszaniem czcigodnych mężów, na których głowy wszechmocny tyran wylewał gryzący kwas makabrycznych dowcipów. W chwili kiedy pan Breakenridge zajął swój punkt obserwacyjny, większość notabli dostała już swoją porcję; pozostał jeszcze tylko szeryf, Frank Hanray.

Wielki Ferd zaczął go celnie ostrzeliwać najcięższym kalibrem żrącej ironii. Najpierw dał wyraz swemu przekonaniu, że nawet najtchórzliwszy Teksaszczyk mniej się boi Franka Hanraya niż drewnianego Indianina przed sklepem z towarami mieszanymi Coughlina. Nadaje się tylko do tego, żeby matki straszyły nim

małe dzieci, i to jedynie bojaźliwsze albo niedorozwinięte.

Doprawdy, nawet dla tak silnej natury jak Frank Hanray był to mocny cios. Postanowił jednak splukać osad kpin szklanką whisky i zadziwić pana Kingsleya przygotowaną już odpowiedzią. To rzeczywiście pech, lecz nigdzie nie może Brooksa znaleźć. Nie chciałby się wydać zarozumialcem, ale doprawdy wygląda na to, że ten zabijaka schodzi mu z drogi – no, nazwijmy rzeczy po imieniu: że się go boi. Na przykład dzisiaj on – Frank Hanray – przyszedł tu tylko po to, żeby złapać Brooksa, ale Billy jakoś to zwietrzył i ulotnił się bez śladu.

– Jestem przekonany – kończył szeryf, sam uwierzywszy w swoje przechwałki – że wszystko by się odbyło zupełnie spokojnie, bez najmniejszego hałasu. Położyłbym Billowi rękę na ramieniu i powiedziałbym cicho: „Billy, chłopcze, daj mi swoje pukawki. No, no, tylko bez głupstw”.

Wizja tego idyllicznego aresztowania tak oślepiła perorującego marszałka, że nie zauważył rozpaczliwej mimiki pana Kingsleya, którego oblicze, rozciągnięte początkowo w rozbawionym grymasie, uległo tymczasem przedziwnej zmianie. Makbet, wytrzeszczający oczy na skrwawionego ducha Banka, nie mógł mieć bardziej przerażonej miny. Ale i twarz Hanraya przybrała taki sam wyraz, kiedy stanął przed nim nagle Billy Brooks. Rewolwerowiec już od pewnego czasu tkwił za plecami szeryfa, słuchając z zainteresowaniem jego chełpliwej tyrady. W końcu jednak zdecydował się wyjść na scenę i wprowadzić Hanraya

Jednak zdecydował się wejść na scenę i wyrażać Hanraya za tę bezwstydną gadaninę, jak na to zasłużył. Krew Bushmana, a potem świeże wieczorne powietrze przegnały opary alkoholu z jego mózgu i rozwiązały zacinający się język. Teraz stał przed Frankiem Hanrayem ze złym uśmiechem na ustach i podawał mu swój sześciostrzałowiec.

– Oto moja pukawka, Frank – powiedział, uśmiechając się niby jowialny grzechotnik. – Przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej. Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje!

Mówiąc to, podtykał pod nos szeryfowi pokrytą głębokimi nacięciami kolbę. Ale ten nie odważył się nawet ruszyć małym palcem. Gdyby w tej chwili stanął przy szynkwacie Krzysztof Kolumb i zamówił po portugalsku trzy palce przepalanki, Frank Hanray nie gapiłby się nań z większym przerażeniem. Pan Brooks nie przestał się jednak uśmiechać nawet wtedy, gdy jego pięść, zatoczywszy łuk, wyładowała na żołądku szeryfa. Ten stęknął glucho, ale jęk stłumiła gruba warstwa konfitury porzeczkowej, garnirującej placek, który Billy wpakował na jego wykrzywioną bólem twarz. Ukarawszy i ośmieszywszy dotkliwie zarozumialca, ani myślał dłużej się nim zajmować. Pozwolił mu schronić się w ustronne miejsce, pobudziwszy jedynie do szybszego odejścia kilkoma strzałami pod nogi, po czym zdecydował się oddać ponownie nadmiernemu spożywaniu napojów alkoholowych, co, jak wiadomo, szkodzi zdrowiu.

Ale znieważenie szeryfa wzbudziło w nim chętkę do dalszych awantur. Rozejrzał się hardo wokół siebie i zażądał, aby wszyscy stojący przy szynkwasiu natychmiast stamtąd zniknęli, bo on kocha samotność. Tak, samotność budzi w nim poetyczne myśli, nastroja do zbożnych rozważań...

Nie trzeba nadmieniać, że wszyscy pragnęli jak najszybciej ujrzeć strasznego zabijakę pogrążonego w tych doniosłych medytacjach. Cyrulik Spinetti pierzchał w takim pośpiechu, że aż wypadły mu z kieszeni na piersiach fryzjerskie nożyczki i wbiły się w podłogę. Toteż gdy rewolwerowiec rozejrzał się wokoło, nie zobaczył nikogo z wyjątkiem pana Breakenridge'a, który spokojnie popijał whisky u drugiego końca szynkwasu. Brooks natychmiast pojął, że ma do czynienia z istotą wyjątkową.

– Hola, nieznajomy! – zawołał wyzywająco. – Zdaje się, że jest pan trochę przygłuchy. Czy pan nie słyszał nic z tego, co mówiłem o swym umiłowaniu samotności, o jej wpływie na narodziny poetycznych myśli i tak dalej? Proszę mi wierzyć, że nie będę tego powtarzał.

Zachariasz Breakenridge wniósł na niego swoje dobrotliwe oczy i odpowiedział tak, jak człowiek jego usposobienia i charakteru mógł odpowiedzieć. Nie uważa, aby spokojna konsumpcja alkoholu u lady publicznego baru kolidowała w jakikolwiek sposób z kodeksem prawnym Stanów



Zjednoczonych. Ponieważ więc postępuje zgodnie z prawem, to nie może mu tego zabronić nawet osoba urzędowa, a tym bardziej prywatna, tak samo jak nie może go usunąć z miejsca, które teraz zajmuje.

Przemówienie to zaparło gwałtownikowi dech; język mu stanął kołkiem i Brooks zacharczał tylko jak gramofon, który zresztą wtedy nie był jeszcze wynaleziony. Nagle ujrzał na podłodze nożyczki Spinettiego. Oczy mu zabłysły, bezkrwiste wargi wykrzywił wstrętny uśmieszek: Billy Brooks schylił się, podniósł nożyczki i pomału szedł ku dziennikarzowi. Zmartwiały tłum szeroko otwartymi oczami śledził jego poczynania. Zachariasz Breakenridge przecierał właśnie zamglony cwikier, gdy został uprzejmie zagadnięty przez pana Brooksa, który przyjacielsko położył mu rękę na ramieniu.

– Podoba mi się pan, sympatyczny dziadziu. Może byśmy tak zapili naszą znajomość?

Żurnalista najpierw zdjął ze swego ramienia jego ciężką dłoń, po czym odpowiedział niezwykle chłodno i rzeczowo, że nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek prosił pana Brooksa o nazywanie go sympatycznym dziadkiem. On przynajmniej uważa taki zwrot – ze względu na znaczną różnicę wieku – za niestosowny w najwyższym stopniu. Jeżeli zaś chodzi o zapicie, to z żalem musi panu Brooksowi oznajmić, że nigdy nie pije z ludźmi, którzy kalają autorytet organów

bezpieczeństwa. Po tych słowach uchylił uprzejmie cylindra i zamierzał odejść. Ale w tej chwili pazury Brooksa chwyciły go za kołnierz.

– A ja jednak chciałbym się z panem napić, dowcipny staruszku – rechotał, bardziej ubawiony niż rozżaloszony. – Poważnie, podoba mi się pan! Tylko te faworyty z prawej strony jakoś mi się nie widzą!

Ciach! Ostrza nożyczek szczęknęły ironicznie i oblicze pana Breakenridge'a utraciło pełną dostojeństwa symetrię i jakby zmizerniało, pozbawione z jednej strony srebrzystych faworytów. Z ust zwyrodniałego nikczemnika wydobył się chichot, łotr zachwycony był swoim dowcipem. Teraz z kolei dziennikarz, ogarnięty szalonym gniewem, zaniemówił i stracił władzę nad członkami; stał nieruchomo jak słup, o ile oczywiście słup może przybrać wyraz oburzenia pomieszanego z przerażeniem. Pan Brooks chwilę jeszcze radował się jego komicznym wyglądem, po czym pociągnął go za pozostałą część bokobrodów i powiedział:

– No co, stary brachu, teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wypili po szklaneczkę.

I zwracając się do barmana, zadysponował:

– Hej, dwie whisky z pieprzem.

Wtedy ktoś podszedł do lady i powiedział:

– A dla mnie szklankę lemoniady Kolakoka.

## ZNÓW MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

Pan Frank Leslie, alias Buckskin Frank, ówczesny barman w hotelu Berkowitza, celował zarówno w sztuce obsługiwanie nieokrzesanych gości, jaki w sztuce błyskawicznego strzelania. Wprawdzie jego popularność wzrosła dopiero później, podczas pobytu w Tombstone, gdzie mu przypisywano, oprócz innych wyczynów, zamordowanie osławionego rabusia bydła Ringo Kida, ale już i teraz miał na swoim koncie sporo. Mimo tak bogatego doświadczenia życiowego, gdy usłyszał, że ktoś w tego rodzaju miejscu zamawia bezalkoholową lemoniadę, jego chytra twarz przybrała niewiarygodnie głupi wyraz. Doprawdy, nie byłby bardziej zdumiony, gdyby nieznajomy zażądał pół tuzina pieluszek. Nie musiał jednak się wstydzić, bo takie samo osłupienie odbiło się na twarzach wszystkich gości.

Starczyło jednak, by obcy otworzył dwa razy usta, a zdobył serca wszystkich obecnych w barze synów piaszczystego Kansas – przeciągła bowiem, śpiewna wymowa tych kilku słów, które dotychczas wypowiedział, świadczyła niezbicie, że stamtąd właśnie pochodzi. Tak, był nieodrodnym dzieckiem Zachodu, wskazywało na to i odzienie, i ruchy. Ubrany był dobrze i ze smakiem, niemającym nic wspólnego z wątpliwą elegancją stroinisiów z Pogranicza: również szlachetność jego gestów

kontrastowała z ich nieokrzesaniem i chamstwem. Spróbujmy kilkoma grubymi kreskami narysować portret tego zadziwiającego nieznajomego. Niezbyt szerokie rondo kapelusza ocieniało twarz o wyrazistych rysach, w której błyszczało myślące oko; potężnie sklepioną pierś opinała pastelowej barwy koszula, od której tym silniej odcinały się końce malowniczo zawiązanej ciemnej krawatki. Para wielkich rewolwerów marki Smith&Wesson lśniła ponuro na godnych antycznego bohatera biodrach, obciążonych miękko wyprawioną jelenią skórą jeździeckich spodni. Wreszcie śmigłe łydki, pozbawione kabląkowatego wygięcia, tak charakterystycznego dla jeźdźców z Pogranicza, tkwiły w najmniejszych butach, jakie można było zobaczyć na obszarze od Rio Grande aż do Wielkich Jezior. Ale dość już suchego opisu! Niech za nieznajomego złączą mówić czyni!

Jak już wspomnieliśmy, jego niespodziewane ukazanie się, a zwłaszcza niecodzienne zamówienie zwróciły uwagę wszystkich, którzy tego wieczoru odwiedzili saloon Berkowitza; Billy Brooks wprawdzie trzymał ciągle Breakenridge'a za resztkę bokobrodów, ale z osłupieniem gapił się na młodego mężczyznę, który swą obecnością u lady baru wystawiał na pośmiewisko jego kategoryczne żądanie.

– Ha! – zawołał zdumiony w najwyższym stopniu zabijaka, nie znajdując w tej chwili lepszego sposobu wyrażenia swych uczuć.

Obcy zmierzył go spokojnym, lecz chłodnym wzrokiem, po czym cicho i ze słodyczą w głosie rzekł:

– Pan Brooks, jeśli się nie mylę. Sądzę, Billy, że wyjdzie to panu na zdrowie, jeśli przestanie się pan narzucać temu czcigodnemu dżentelmenowi i jak najuprzejmiej przeprosi go za swoje zachowanie.

– Ha! – wysapał Brooks po raz drugi, upodabniając się z wolna do indora, który wszedł do pomalowanego na czerwono pokoju.

– Jakoś zapomniał pan języka w gębie, drogi Billy! – ciągnął nieznajomy, opierając się nonszalancko o ladę. – Ale, ale, żebyś nie zapomniał: w Dodge City dotąd stoi na ulicy pewna beczka. Nie ma w niej nic szczególnie osobliwego, ale ty już wiesz, o której myślę. Ludzie wskazują na nią i mó...

– Ha! – ryknął desperado po raz trzeci. W tym momencie jednak ręka jego nie ścisnęła już faworytów dziennikarza, lecz ześliznęła się na groźny ciężar u biodra. Nie zdążyła jeszcze dotknąć kolby pistoletu, gdy palce obcego nacisnęły spusty smith&wessonów i obaj starzy kamraci rozkaszlali się. Skutek tego kaszlu był nadzwyczajny, a przy tym tak zabawny, że baraż zadrżał w posadach pod uderzeniem huraganu śmiechu, który potem już nieprzerwanie towarzyszył dalszym wydarzeniom, tak że nie będziemy więcej o nim wspominać. A więc pierwsza z kul uderzyła Billovi sprzączkę nosa, na którym zawieszona była

uwaga bliźniowi spuszczając pas, na którym zawieszono były pistolety; nim jego owłosione palce zdołały dotknąć kościanej kolby, śmiertelny pas rąbnął z łoskotem o podłogę, zostawiając swego właściciela bezbronnego jak jagnię. Ale druga kula ośmieszyła nicponia jeszcze bardziej, bo przerwała pasek, utrzymujący spodnie na właściwej wysokości; poszły one za przykładem obu rewolwerów i też zsunęły się na ziemię. Postrach Zachodu stał teraz w śmiesznych, długich do kostek kalesonach, które od dawna już nie czuły na sobie oczyszczającego dotyku mydła. Razem z sześciostrzałowcami zabijaki runął na ziemię i strach, szerzony dotąd przez te straszliwe narzędzia mordu. Brooks jeszcze wybałuszał gały na tajemniczego strzelca, gdy ciężka kolba kolta Hanraya spadła mu na ciemię, rozpościerając nad jego zdumioną świadomością zasłonę miłosiernego mroku. Ludzie szeryfa szybko chwycili bezwładne ciało i możliwie najogłodniej odtransportowali do aresztu miejskiego.

Nieznajomego ścisnęły w jednej chwili brzuchy powdervilskich mieszczan, którzy płonęli pragnieniem zawarcia znajomości z tym cudownym strzelcem. Pełnym zachwytu poklepywaniom po ramieniu i gorącym uściskom dłoni nie było końca. Rewolwerowiec uprzejmie i skromnie wysłuchał tylko tyle pochwał, na ile jego wyczyn zasługiwał. Potem lekko spuchniętą prawicą zastukał w szynkwias i znowu poprosił o lemoniadę Kolakoka. Ale pan Leslie wyjąkał zakłopotany, że niestety nie może służyć tym napojem. Kogo innego za takie żądanie

wysmiały orydynamic, ale błyskawiczne zrzucenie spodni Brookswi wzbudziło w nim respekt dla nieznanego. Ten, słysząc odpowiedź barmana, skrzywił wargi w lekko pogardliwym uśmiechu: widzi teraz – stwierdził – że w tym kraju nie spotka porządnego strzelca, bo tylko tam, gdzie szumią potoki lemoniady Kolakoka, można mówić o umiejętności strzelania. Tak, to jedynie lemoniada Kolakoka, której przynajmniej jedną szklankę dziennie wypija, umożliwiła mu zaprodukowanie tutaj nadzwyczajnej szybkości i celności strzału, jedynie ona daje pewność ręki, bystrość oku, spleta system nerwowy w sieć nienagannie funkcjonujących telegraficznych przewodów, robi z mięśni stalowe sprężyny; krótko mówiąc, tylko ona...

Umilkł nagle, nie mogąc już dłużej znieść palącego dotyku magnetycznego promyczka, wyciągającego swe tajemnicze ramię z ciemności gdzieś za nim. Odwrócił trochę głowę i wzrok jego utonął nagle w parze wpatrzonych weń oczu – wzywała z nich nieskalana niewinność, ale także nieprzebudzone jeszcze, lecz tym płomienniejsze uczucie.

Była to Winnifreda Breakenridge, która nie bacząc na niebezpieczeństwo, opuściła hotelowy pokój, aby odszukać ojca. Istotnie, znalazła go, uboższego o połowę faworytów, lecz za to bogatszego o wiedzę, że na Pograniczu obowiązują całkiem inne normy społeczne niż na Wschodzie. Panna Winnifreda stanęła w drzwiach akurat w chwili, gdy spodnie pana Brooksa z błyskawiczną szybkością opadały na ziemie

pana Brooks'a z dysskawkiczną szybkością opadły na ziemię. Dziewiczy wstyd kazał jej natychmiast odwrócić wzrok od tak śmiałego widowiska. Uczyniłaby to z pewnością, gdyby pole jej widzenia ogarniało jedynie negliż bandyty; ale ona dostrzegła jeszcze sympatyczną twarz czarodziejskiego strzelca. Rezultat – miłość od pierwszego wejrzenia. Proces ten, w zasadzie zawsze jednakowy, autor w zbeletryzowanej formie opisał już w jednym z poprzednich rozdziałów, nie ma więc potrzeby zajmować się nim tutaj. Jeżeli jednak wówczas uczucia zakochanej osoby pozostały nieodwzajemnione, to teraz obydwaj serca rozgorzały jednym potężnym płomieniem. Ale nieznajomy, jak na rasowego rewolwerowca przystało, panował nad sobą po mistrzowsku, tak że mógł, nie tracąc wątku, dokończyć peanu na cześć lemoniady. Treść jego można by oddać w haśle: „Ja nic, to wszystko lemoniada”.

Cały bar słuchał jego słów w pełnym szacunku milczeniu. Dopiero gdy zamilkły wymowne usta, po kilku sekundach zabrał głos pan Kingsley. Powdervilianie zdziwili się, słysząc, że z jego głosu umknął, niczym zbity pies, ów zienawidzony, pyszałkowaty ton.

– Cudzoziemcze – spytał powderwiliński dyktator – czy nie weźmie nam pan za złe, jeśli spytamy o pańskie nazwisko?

Nieznajomy chwilę milczał. Potem z pełnym zakłopotania uśmiechem rzekł cicho:



– Moje nazwisko jest obojętne. Ale może wystarczy, gdy powiem, że na całym Zachodzie nazywają mnie Lemoniadowy Joe.

## PRZYJEMNY ROZDZIAŁ Z NIEPRZYJEMNYM KOŃCEM ROZKOSZ I MEKA MIŁOŚCI

Groźne praskanie długiego bicia nie pozwoliło trójce koni ani na chwilę zwolnić cwału. Woźnica wiedział, że jedynie tutaj, na łagodnym, milami się ciągnącym zboczach może nadrobić czas, który pod wieczór w dwójnasób zmarnuje przy szturmowaniu Rządowych Szczytów.

Dylizans Towarzystwa Komunikacji Zamiejskiej Kingsleya niczym nie różnił się od swych niezgrabnych kolegów, podnoszących w owych czasach tumany kurzu na drogach Pogranicza i terkoczących w rytm skrzypienia kół jeden z najbardziej znanych poematów Prerii. Ta pękata, odrapana arka przeżyła już coś niecoś, a to coś niecoś zostawiło na niej wyraźne ślady. Pan Kingsley początkowo dbał pieczołowicie, aby natychmiast starannie łątano dziurki od kul i zacierano rysy wyłobione przez indiańskie strzały, bo wiedział, że tego rodzaju drobnostki nie wprawiają pasażerów w szampański humor. Ale Apacze i bandyci okazali taką wytrwałość w przedziurawianiu dylizansu, że pan Kingsley uznał daremność swych remontowych wysiłków, dał im spokój i przestał zwracać uwagę na dzieła

metalowych korników.

Jednakże dżentelmeni, którzy dzisiaj gotowali się przewiercić brzuch tego szacownego wehikułu, nie przeczuwali, że jego płaski grzbiet zwróci im podwójną porcję wystrzelonego ołowiu; na wysokim koźle bowiem siedział młodzieniec, który poprzedniego wieczoru w tak dowcipny sposób zdemaskował, że Billy Brooks nieczęsto zmienia bieliznę. Pod ławką stary Martini-Henry, na kolanach rusznica marki Winchester, para smith&wessonów u boku – jak się to mówi: uzbrojenie po zęby. Jeszcze przed czterema dniami tkwił tutaj Floyd McOdlum, obłożony nie mniejszą porcją żelaza. Z pewnością umiał się z nim obchodzić, ale po tym, co zaszło w barze Berkowitza, przyznacie sami, że z Lemoniadowym Joem nie mógł się równać. Toteż pan Kingsley nie szczędził słów, a nawet szeleścił kusząco banknotami, aby tylko pozyskać tego fantastycznego strzelca na swoje usługi, bo chciał nim obsadzić miejsce po zgasłym McOdlumie. Jednakże na najbardziej miódowe pochlebstwa, najbardziej nęcące propozycje Joe reagował tak jak bruk uliczny na walc Chopina. Owszem, odprowadzi dylizans do Fort Mahon, to obiecuje, ale robi to tylko dlatego, że musi tam załatwić pewną sprawę. Nie może się jednak zaangażować na miejsce pana McOdluma, choćby mu proponowano nie wiem jak wysoką pensję, bo... Tu strzelec umilkł, napinając niby strunę ciekawość słuchaczy podnieconych nimbem tajemnicy, otulającej jego zagadkową postać.

Siedzi więc teraz obmyślony strzelec na koźle, trzymając się jak zwykle

Siedzi więc teraz sityny siwielec na kozie, urzęsąc się jak szalony na niezliczonych wyrwach i wystających kamieniach, które mieszkańcy Pogranicza w swym niezrozumiałym idealizmie nazywają traktem. W jego brązowej twarzy nie drgnie ani jeden mięsień, a orle oko błądzi od bezchmurnej linii horyzontu aż po najbliższą okolicę, badając ją z dokładnością mikroskopu. A więc, jak powiedzieliśmy, twarz mu ani drgnie. Lecz zajrzyjmy do wnętrza, pod jelonkową kurtę, albo jeszcze głębiej, pod dumne sklepienie obrośniętej piersi. Co tam się dzieje! Burza uczuć targa szlachetnym sercem. Błyskawica bezmiernego szczęścia oślepia mu rozum, ilekroć wspomni, że tylko kilka stóp pod nim (to jest w pudle wozu) znajduje się Ona, pisana przez największe i najbardziej brzuchate O. Ale płonące tą myślą serce natychmiast bezlitośnie przygasza ulewny deszcz okrutnej rzeczywistości. Przecież już za kilka godzin musi ją opuścić i może już nigdy jej nie spotka.

O, strzało Amora, straszliwy grocie, co ranisz ciężiej niż podwójna porcja ołowianego śrutu z obciętej śrutówki! Wczorajszego wieczoru przebiłaś pierś naszego bohatera w chwili, kiedy ten, kto cię wysłał, dał mu ujrzeć Ją. Gdyby skończyło się na tym jednym spotkaniu, nieszczęsny młodzian odjechałby z krwawiącą raną w sercu, wydrażoną twym grotem, z ciężką raną, która by się jednak w końcu zagoiła pod plastrem zapomnienia, przykładanym wytrwale miłosierną ręką Czasu. Lecz niestety. Zobaczył Ją jeszcze dziś rano. A nawet więcej niż zobaczył: mówił z Nią. A nawet więcej niż mówił: ścisnął także

Jej słodkie paluszki. To nie powinno było się stać, głos bowiem i dotknięcie ręki ukochanej istoty podziałały jak kowalski miech – ożywiły w jego sercu przygasający już z wolna płomień.

Dziś rano kręcił się koło dylizansu, to zaznajamiając się dokładniej z mechanizmem obu powierzonych sobie strzelb, to znów obserwując podróżnych, którzy już się schodzili, jakby się nie mogli doczekać rozkoszy gotowanych im przez ławki dylizansu, w porównaniu z którymi smutnej sławy łoża madejowe wydawało się sofą kalifa. Najpierw zjawili się dwaj mężczyźni aż tryskający wybornym humorem, z jaśniejącymi radością kredowobiałymi twarzami. O ile pierwszy z nich zadziwił starannością i elegancją ubioru oraz wytwornością gestów, drugiego absolutnie nie można było podejrzewać o jakieś dandysowskie skłonności. Co prawda i on był dobrze ubrany, ale jego sympatyczna postać wprost promieniowała naiwną prostodusznością. Każdy trochę bardziej domyślny czytelnik niewątpliwie już dawno się zorientował, z kim mamy honor. Trzeba jednak liczyć się także z mniej domyślnymi. Tym zdradzimy, że znowu mają przed oczyma pana Horacego Greenwooda i jego odnalezionego przyjaciela Shamusa O'Mearę. Czarne surduty obu nieznajomych nie wzbudziły zbytniego zaufania w Lemoniadowym Joem. Za to gorącą sympatię poczuł do następnego przybysza – siwookiego wysokiego mężczyzny, którego każdy ruch zdradzał, że jest nieodrodnym synem Zachodu. Joemu od razu rzucił się w oczy niesłychanie przemyślny sposób umieszczenia rewolweru, nabrał

więc pewności, że ma przed sobą doświadczonego strzelca. Kiedy jednak zamierzał dokładniej sobie obejrzeć tego pasażera, lekki szelest sukni zmusił go do odwrócenia się. Niespodzianie stanął twarzą w twarz z tą, której obraz był dziś przyczyną bezsennej nocy. Wzburzony, mimo woli zawadził o spust winchestera; padł strzał i kula ustrzeliła woźnicy tuż przy ustach cybuch kukurydzianej fajki. Staruszek, uważając to za znakomity dowcip, roześmiał się dobrotliwie, pochlebiony, że rewolwerowiec zwrócił na niego uwagę. Ten zabawny epizod zmieszał Joego jeszcze bardziej. Dopiero teraz spostrzegł pana Breakenridge'a, towarzyszącego Winnifredzie. Dobry ten człowiek, dziś już z całkowicie zgolonymi bokobrodami, przedstawił siebie i córkę, ubolewając, że nie mógł tego uczynić wczoraj, oraz podziękował Lemoniadowemu Joemu za energiczną interwencję, która go wybawiła ze szponów napastnika.

Niestety, pan Breakenridge daremnie trwonił skarby swej wymowy. Marmurowy posąg słuchałby jego wyszukanych komplementów z większym zainteresowaniem niż ten, dla którego były przeznaczone, strzelec bowiem przebywał w tej chwili duchem w odległych okolicach, pospolicie zwanych siódmym niebem; jego dłoń zwierzała w gorącym uścisku delikatną rączkę, której dotknięcie przejmowało go płomieniem, jakiego nigdy nie zdołałaby rozniecić szklanka bezalkoholowej lemoniady Kolakoka. Żurnalista jednak, wpadłszy w oratorski zapał, hojnie szafował metaforami, porównując dzikiego

Brooksa do ciemnej nocy życia Pogranicza, Joego zaś do jaśniejącego dnia. W konkluzji wspomniał o poczuciu całkowitego bezpieczeństwa, jakim napenia go świadomość, że pojazd strzeżony będzie przez tak nieustraszonego męża. Swoją paplaninę zakończył wcale nieretorycznym pytaniem o cel podróży Joego. Odpowiedziało mu głębokie milczenie, bo zmysły obojga młodych pętał miłosny czar. Stali, trzymając się za ręce, chłonąc się dosłownie pełnym namiętności wzrokiem, aż zachodziła obawa, że pozostaną za chwilę tylko dwie kupki odzienia, parasolka i pas z parą osieroconych smith&wessonów. Nie trzeba nawet mówić, że doświadczone oko pana Breakenridge'a spostrzegło wszystko. Uśmiechnął się pobłaźliwie i łagodnie chrząknął. Kiedy jednak stwierdził, że ten sposób zwrócenia na siebie uwagi był zbyt dyskretny, wyciągnął z surduta chustkę wielkości serwety i grzmiąco wyczyścił nos. Dopiero ten przyziemny dźwięk zdołał przemóc mamiącą siłę Amora. Kochankowie rozerwali uścisk gorących dłoni, jakby przez nie przebiegł prąd elektryczny. Strzelec, dopiero teraz zwracając się do rozbawionego dziennikarza, zaczął się jąkać tak straszliwie, że z powodzeniem mógłby współzawodniczyć z nieboszczykiem Bushmanem. Ale pan Breakenridge miłosiernie wybawił go z zakłopotania, wchodząc z córką do dylizansu. Nie wiedział, że rzuca teraz dziewczynę na pastwę namiętnych spojrzeń innego, równie zakochanego mężczyzny, siebie zaś skazuje na nowe wyczyny konwersacyjne, bo jako człowiek dobrze wychowany uważał za swój obowiązek podziękować z kolei panu Greenwoodowi za opiekę, jaką wczoraj kawaler

ten otoczył jego osobę i bagaże. Woźnica podnosił już bat i nabierał powietrza w płuca, aby strasliwym rykiem pobudzić zaprzęg do cwału, kiedy przeraźliwie wykrzykując, przygnał jakiś chudy człowieczek ze spiczastą bródką, wymachujący ogromną walizą, a raczej – mówiąc ściślej – którym wymachiwała ogromna waliza. Spóźniony pasażer i jego bagaż ulokowali się na swoich miejscach i dylżans z okropnym skrzypieniem i stękaniem ruszył w niebezpieczną drogę...

Wszystkie te wydarzenia ożyły teraz w wyobraźni strzelca, a ich wyrazistości nie mogły osłabić ani mordercze wstrząsy, od których trzeszczały kości podróżnych, ani chrapliwy głos woźnicy mruczącego jakąś popularną na Pograniczu piosenkę. Joe znowu przeżywał chwile, kiedy ciepło dłoni Winnifredy i jej zamglony miłością wzrok przyprawiały go o utratę zmysłów, znowu się rozkoszował chwilami, które... Nie, musi myśleć o czymś innym. Co się właściwie dzieje z jego pamięcią? Jak to możliwe, że dotychczas nie przypomniał sobie, gdzie i przy jakiej szczególnej okazji widział po raz pierwszy tego śmiesznego człowieczka z kłującymi oczkami i spiczastą bródką?... Zastanawiał się intensywnie, aż czoło przecięła mu głęboka zmarszczka; miał tak skupiony wyraz twarzy, że robił wrażenie, jakby zezował.

Nie mam ja dziewczyny,

Nie mam ja dziewczyny,

Nie mam ja dziewczyny,

Z którą bym se pożartował.

I oto krakanie woźnicy, którego przy najlepszej woli nie można by nazwać śpiewem, rozjaśniło pamięć strzelca snopem ognistego światła.

...nie mam ja dziewczyny, z którą bym se pożartował... Jakby jeszcze teraz słyszał dźwięk bandzo i miły głos, śpiewający ten refren. Na powierzchnię pamięci wypłynął pewien cichy, letni wieczór w Galleyville.

## PUŁKOWNIK HICKOK WCIAŻ SIĘ DZIWI

Jeśli mówiąc o Galleyville, mówimy także o cichym wieczorze, znaczy to, że cisza jest dla nas pojęciem względnym, Galleyville było bowiem w owych latach akurat tak samo ciche, jak Dodge, Abilene, Newton, Ogallala i wszystkie im podobne piekielne siedliska. Wieczór, o którym mowa, był niezwykle spokojny, bo tylko od czasu do czasu trzasnęło gdzieś kilka suchych strzałów, a ryki pijaków chwilami stawały się zupełnie znośne. Joe wszedł do winiarni Hammonda i zamówił kolację. Po chwili już ze smakiem zajadał wspaniale usmażone jajka na szynce i popijał nieodzowną owocową lemoniadą Kolakoka. Uczucia fizycznej rozkoszy dopełniał miły baryton dobiegający skądś z zewnątrz wraz z urywanymi akordami bandzo. Joe



z upodobaniem przytupywał sobie do taktu, aczkolwiek przytoczone już słowa piosenki nie były w jego guście, i trzymając się gwałtownego, synkopowanego rytmu przesuwiał po brodawkach smakowych kęski jedzenia, zwilżane łykiem lemoniady. Czuł, że jest w świetnej kondycji.

Nagle na werandzie rozległ się tupot kroków, drzwi otwarto się gwałtownie i do wnętrza, żywo rozmawiając, weszło kilku szacownych obywateli Galleyville, towarzyszących olbrzymiemu mężczyźnie, pięknemu jak rzymski bóg w szatach rzeczno szulera. Wyobraźcie sobie marmurowego Marsa z twarzą ozdobioną zabójczym wąsem, z kasztanowatymi kędziorami spadającymi na rozłożyste ramiona, włóżcie na jego dumne czoło śnieżyste biały stetson, obleczcie klasyczny tors w ciemny surdut i jedwabną kamizelkę, okryjcie muskularne uda granatowymi, szykownie skrojonymi spodniami, których nogawki znikają w wyczyszczonych do glansu butach o długich cholewach i wysokich obcasach, szyję niech mu opina kołnierzyk cienkiej koszuli, a na boską pierś spływa czarna krawatka wiązana w oryginalny węzeł, otoczcicie mu biodra pięknym, ozdobnym pasem, po którego bokach groźnie sterczą posrebrzane, artystycznie grawerowane kolby rewolwerów – a będziecie mieli jego obraz. Zaprotestujecie, że kostium taki jest nieco anachroniczny, ale zapewniam was, że tylko w ten sposób uzyskacie portret tego eleganckiego olbrzyma. Jego zachwycały nie tylko jego delikatne ręce, niezwykle małe u mężczyzny takiego wzrostu, ale i wytworne maniery, które

rażąco odbijały od prostactwa tych miejsc. Nieznajomy rozmawiał ze swymi towarzyszami niesłychanie uprzejmie i cicho; oni dostosowywali się do jego szlachetnego tonu, równie uprzejmie tytułując go pułkownikiem. Joe zauważył także, iż po wejściu olbrzyma zapadła cisza jak makiem zasiał i dziesiątki spojrzeń, pełnych podziwu i szacunku, wpłyły się w heroiczną postać. Z ust do ust biegł wzruszony szept, w którym wciąż powtarzało się jedno słowo. Strzelec nie musiał nawet wyciągać specjalnie uszu, żeby je usłyszeć.

– Słowo daję, przecież to Dzikie Bill!

– Jeżeli to nie Jim Hickok tam stoi, to ja jestem Chińczyk!

Joe dobrze znał swoją wartość, a jednak, gdy usłyszał to nazwisko, na twarzy jego ukazał się wyraz bezgranicznego respektu.

James B. Hickok, alias Dzikie Bill! Stał tutaj, żywy człowiek z krwi i kości, a przecież już teraz promienna legenda balsamowała jego postać. Kiedy go później pochowano w Deadwood, ludzie dosłownie rozszarpali nagrobek jak bezcenną relikwię, tak że gdy wystawiono nowy, trzeba go było zabezpieczyć żelazną klatką. Ten czujny bowiem konwojent ciągnących przez prerię karawan, ten nieustraszony zwiadowca unionistów, chytry tropiciel w czasie wojen z Indianami, groźny szeryf Hays i Abilene, a wreszcie jedna z błyszczącej trójcy gwiazd Stawowozowania Tęczy Duntliwa? czy może jakimś innym

gwiazdy Stowarzyszenia i earrow Buntowne a swym zyciem wzniosly  
wspanialy pomnik wszystkim, co z Dzikiego Zachodu uczynilo  
prawdziwy Dzikie Zachod. Lotry spod ciemnej gwiazdy bladly  
z przerazenia, gdy spojrzaly na te delikatna biala reke, ktora  
nigdy nie zadrzala. Istotnie, Bill Hickok przez cale swe slawne  
zycie ani na sekunde nie stracil nerwow, poniewaz w ogole ich  
nie mial.

Tak, taki byl James Butler Hickok.

Nie zdziwi nas wiec, ze liczba ciekawskich coraz bardziej sie  
powiekszala, az wreszcie wokol Dzikiego Billa – oczywiscie  
w pelnej szacunku odleglosci – zwarl sie krąg gapiow, ktorzy  
wybaluszali oczy, jakby mu na nosie rosla kokosowa palma.  
Hickok zreczenie udawal, ze nie dostrzega ich natretnej uwagi.  
Dalej rozmawial ze swymi towarzyszami, gdy nagle przez tłum  
gapiow przedarl sie czerwony jak burak jegomosc z olbrzymim  
koltem i z wolna zblizyl sie do slynnego trapera. Nie mozna  
powiedziec, ze szedl, poruszal sie raczej tak, jakby podloga  
winiarni Hammonda byla pokladem lekkiego szkunera,  
rzucanego huraganem. Muz ten bez watpienia dokladnie  
przeplukal dzis gardlo niezliczonym mnostwem alkoholi.  
W koncu zatrzymal sie tuz przy Hickoku, niebezpiecznie kiwajac  
slabym korpusem, i zwroutil na siebie uwage pulkownika  
przesyconym alkoholem oddechem i glonsym sapaniem.

– Zzuj buty, Dzikie Billu! – wychrypial. – Bede wielkoduszny  
i nozwole. zebvs onuicil ten swiat bez butow. tak iak onuszczaia

go porządni ludzie.

O dziwo, nie widać było, żeby szalony rozkaz zuchwałego pijaczyny zirytował rewolwerowca. Uśmiechnął się tylko lekko i odkładając cygaro, powiedział spokojnie:

– Po pierwsze, proszę sobie zapamiętać, że nie jestem dla pana Dzikie Bill, tylko pan Hickok.

– Pułkownik Hickok – wypalił gorliwie jeden z jego towarzyszy, wyrzawszy bohatercko spoza ramienia Billa, dającego mu pewną osłonę przed agresywnością pijaka. – No więc, za pozwoleniem panów, pułkownik Hickok – ciągnął Dzikie Bill z dobrodusznym uśmiechem. – Na jedno wychodzi. A skoro już tak dokładnie pana pouczyłem, jak się należy do mnie zwracać, mam nadzieję, że udzieli pan równie dokładnych informacji o swojej osobie.

– Bardzo chętnie – zarechotał bezczelny pijaczyna. – Sądzę, panie Hickok, że pan jeszcze pamięta Dana Walkera z Hays, którego aresztował pan tak dokładnie, że zapomniał pan w nim sześciu kul ze swojej czterdziestki czwórki. No, więc widzi pan, ja nazywam się Fred Walker i jestem jego bratem. Tylko że tym razem ja będę trochę roztargniony i zostawię w panu garść ołowiu.

Pijak prawdopodobnie długo by jeszcze tak plótł, gdyby głośna,

Z gędzi garuzieli uodbyta czkawka nie przerwała jego niesłychanych inwektyw. Pan Hickok zaś, jak zauważył Joe, jakby dopiero teraz lekko zbladł i cofnął się załęczniony. Ale kiedy się odezwał, głos jego brzmiał tak samo spokojnie i uprzejmie jak przedtem.

– Co się tyczy pańskiego brata – rzekł – to uważam, że dla tego świata przedstawiał jedynie wartość kilku liber nikczemnego ludzkiego mięsa. Ale nie mówny już o tym. Mnie w tej chwili bardziej niepokoi stan pańskiego żołądka, do którego wlał pan tyle wódki, że, jak mi się zdaje, zamierza ją pan co rychlej zwrócić, i to w dodatku na gors mojej czystej koszuli. Jak pan myśli, panie Walker?

Joe nie mógł odgadnąć, czy pan Walker myślał cokolwiek, czy nie. W każdym razie pewne jest, że przemowa Hickoka wprawiała go w pomieszenie; poza tym nie był aż tak pijany, by nie zauważyć, że delikatne ręce zabijaki błędzą w niepokojącej bliskości grawerowanych kolb, nie mógł więc mieć nawet pół procent nadziei na to, że awantura skończy się dlań pomyślnie. Toteż błysnął tylko wściekle przekrwionymi oczkami i obróciwszy się na pięcie, zniknął w tłumie gapiów, podziwiających wspaniały spokój i subtelny dowcip eks-szeryfa. Byстрыm oczom Lemoniadowego Joego nie uszło jednak, że Hickok po odejściu pijaka stał się trochę niespokojny. A ponieważ sam już zyskał na Pograniczu pewną sławę, dobrze rozumiał jego niepokój.

Szalone opowieści obdarzyły każdego z osławionych rewolwerowców Pogranicza tak niebywałą szybkością oraz pewnością ręki, że sami oni już nie wiedzieli, który jest lepszy. Stąd, jeśli nie łączyły ich więzy przyjaźni, nie dążyli bynajmniej do spotkań oko w oko. A jeśli do takiego doszło – dziw, że nie uwędzili się wzajem w komplementach, trzymając ręce najdalej jak można od kabur, by tylko jaki podejrzaný ruch nie skłonił tego drugiego do sięgnięcia po broń. Wiadomo, z jaką oględnością traktował Dziký Bill w swych abileńskich latach Hardina, klótliwego zabijakę, który ze swymi dwudziestoma pięcioma ofiarami osiągnął zapewne niepobity w tej mierze rekord. Ich spotkanie, gdy wreszcie do niego doszło – przy czym nie rozległ się ani jeden wystrzał – stanowi jedyny w swoim rodzaju wyjątek w dziejach Dzikiego Zachodu. O, nie: strzeleckie asy nie przebijały się wzajem. Rewolwerowcy wiedzieli za to świetnie, od której strony wypada strzec swej skóry. Po barach Pogranicza szwendały się dziesiątki samochwałów, którzy nie wahali się wpackować kulki w plecy pierwszemu lepszemu ze znanych strzelców, byle tylko zyskać sławę zabijaki. Szczególnie alkohol dodawał im odwagi i zmieniał w niebezpieczne bestie.

Za akademicki przykład takiego drania może posłużyć nam Bob Ollinger, urodzony bandyta i krwiożerczy wilkołak, który mimo to sprawował przez pewien czas funkcję zastępcy szeryfa w Roswell. Roswelskim szeryfem zaś był nie kto inny, jak sam nieszczęśliwy Pat Garrett, nóżniczy zabójca nie mniej

przesławnego Billy'ego Kida, który skądinąd szkolił wspomnianego Ollingera. Warto w tym miejscu przytoczyć opinię Garretta o jego zastępcy: „Ilekoć wychodziłiśmy razem, ani na chwilę nie spuszczałem zeń oka. Gdybym miał już wtedy znaczące coś nazwisko, jestem przekonany, że Bob byłby mnie przy najbliższej sposobności załatwił, byle zyskać okrusz sławy z faktu, że mu się to udało. Miałem się zatem stale na baczności, żeby mu nie dać okazji strzelenia mi w plecy bodaj we śnie”. Słowa te mogą wymownie określić charakter tych zawodowych kolekcjonerów nacięć na kolbie, budzących lęk rewolwerowców zdradziecką podstępnością, wobec której broń okazywała się bezsilna. Z rąk takich łajdaków zginęło wielu ludzi, których życie zasługiwało na godniejszy albo przynajmniej dramatyczniejszy koniec. Hardinowi strzelił wreszcie w plecy szeryf Selman, który chociaż stał na straży prawa, nigdy nie zniżał się do osobistego kontaktu z podobnymi indywiduami. Stryja Billa Tilghmana, słynnego szeryfa z Dodge, najjaśniejszą postać w annałach rewolwerowców, wyprawił podstępnie na tamten świat podchmielony agent prohibicyjny. Kiedy niczego nieprzeczuwający Jesse James wieszał obraz na ścianie, zwałił go z krzesła Bob Ford, jeden z jego kompanów. Drogę życia Hickoka też w końcu przerwał w Deadwood tchórzliwy nikczemnik McCall, który strzelił mu w plecy.

Widzicie więc, że Dziki Bill miał podstawy nie dowierzać niegodziwemu pijaczynie, płonącemu zapewne pragnieniem wzięcia go z tyłu na muszke pistoletu. Dlatego też zwrócił się

wzięcia go z tyłu na muszkę pistoletu. Dlatego też zwrócił się twarzą do sali i ciągnął przerwana rozmowę, nie spuszczać wzroku z obu wejść. Gapie tymczasem nasycili ciekawość i rozproszyli się po całym barze. I właśnie w tej chwili – jak sobie teraz Joe przypominał – zjawił się na scenie śmieszny człowieczek ze spiczastą bródką. Czytelnikom oczywiście wystarczy ten zwięzły opis, aby poznali pana Darę Shikoha. Joe nie znał wtedy ani jego fałszywego nazwiska, ani prawdziwego zawodu, ale mimo to przebiegły magik przykuł jego uwagę już w chwili, kiedy wybierał przy ladzie cygara. Natychmiast zapalił jedno z nich i zamierzał odejść, lecz nagle zainteresował go barwny oleodruk przedstawiający traperów walczących z pożarem prerii. Obrazek wisiał dość wysoko i Dara Shikoh, aby lepiej ocenić jego wartość artystyczną, cofnął się i z miną znawcy przyłożył zwiniętą dłoń do zmrużonego oka. Cofając się niby rak, z takim impetem wpadł na pana Hickoka, że ten wylał kieliszek likieru na swój wspaniały surdut. W źrenicy rewolwerowca mignęła błyskawica gniewu, ale magik, wycierając chusteczką oblane miejsca, tak go unizenie przeproszał, że Hickok z uprzejmym uśmiechem wybaczył mu niezręczność. Człowieczek szybko się potem ulotnił, zostawiając po sobie fetor taniego cygara.

Później znowu upłynęło kilka minut i Joe już się szykował do wyjścia, kiedy stuknęły wahadłowe drzwi i stanął w nich chybotliwy cień. Wrócił pan Walker. Zły uśmieszek rozjaśniał mu fioletową twarz, a w szarych źrenicach połyskiwała żądza wady. Kilka brzości przycumowało się z balbetami i dalsi podłogi



moruu. Kilka krzeseł przewróciło się z łoskotem i deski podłogi zaskrzypiały pod głośnymi krokami mężczyzn, którzy śpiesznie opuszczali strefę przewidywanej strzelaniny.

– Billu Hickok! – zawołał chrapliwie pijak. – Wciąż jeszcze masz buty na nogach? No dobrze, jeśli tak chcesz, umrzesz jako desperado!

Czytelnik zechce sobie uświadomić, że całe to wydarzenie, które teraz dokładnie opiszemy, rozegrało się w jednej sekundzie. Przy ostatnich słowach łotr sięgnął do ogromnego kołta wiszącego u boku; ręce Hickoka ześliznęły się ku biodrom bez porównania szybciej, ale... nie chwyciły posrebrzanych kolb, tylko powietrze, bo obie kabury ziały pustką. Lemoniadowy Joe oczywiście natychmiast spostrzegł fatalną sytuację, w jakiej się znalazł słynny rewolwerowiec. Nie trzeba chyba mówić, że bez sekundy wahania wiedział, co robić. Nie zastanawiając się, strzelił wprost z biodra, akurat w momencie, kiedy palec Walkera nacisnął spust i kurek miał opaść na spłonkę. Lecz nie opadł. Kula Lemoniadowego trafiła w sam kurek i rzuciła go między szklanki, gdzie dokonał straszliwego spustoszenia. W pierwszej chwili nikt nie wiedział, co się właściwie stało. Przytomny Joe jednym skokiem przesadził stół i tęgim hakiem zwałił skrytobójcę na zapłutą podłogę. Dopiero teraz rozwiązały się języki. Nie ma potrzeby dokładnie powtarzać wszystkich tych słów, jakimi Hickok wyraził swój szczerzy podziw i radość z poznania tak znakomitego strzelca. Nie ma potrzeby przytaczać przemówienia naszego bohatera, w którym z właściwą mu skromnością bronil

naszego bohatera, w którym z właściwą mu skromnością stoi się przed pochwałami, dowodząc, że pułkownik powinien być wdzięczny tylko bezkonkurencyjnym właściwościom lemoniady Kolakoka.

– Niech pan mówi, co chce, drogi przyjacielu – odparował żywo Hickok – to już obojętne, czy to pan uratował mi życie, czy lemoniada w pańskim żołądku. Krótko mówiąc, jestem pańskim dłużnikiem. Proszę mi wierzyć, że kiedy będzie panu najgorzej, w chwili kiedy będzie się pan tego najmniej spodziewał, zjawi się James Hickok i spłaci swój dług tą samą monetą.

Potem obaj mężczyźni uczcili tak dramatycznie zawartą znajomość szaloną pijatyką; lemoniada Kolakoka płynęła podczas niej strumieniami. Dziki Bill, którego żołądek nie przywykł do takiej ilości nieznanego dotąd napoju, następnego dnia dostał silnej kolki. Nie przeszkodziło mu to jednak odwiedzić wraz z Joem artystycznej pracowni fotograficznej Rigsby’ego, gdzie na pamiątkę tego spotkania kazał zrobić wspólne zdjęcie. Fotografia, która dzięki Bogu zachowała się w archiwum firmy Rigsby i Matthews, przedstawia pułkownika Hickoka trzymającego puchar lemoniady Kolakoka, ze spojrzeniem orlich oczu utkwionym w iskrzącym się złociście, cudownym płynie. U jego boku siedzi Lemoniadowy Joe. Szlachetna postawa i nieprzeciętnie inteligentny wyraz twarzy są najwymowniejszym świadectwem wartości tego wspaniałego mężczyzny.

Nasz bohater jednak nigdy nie przestał łamać sobie głowy, kto w tak niemal nadprzyrodzony sposób zdołał ściągnąć czujnemu tropicielowi parę cennych posrebrzanych pistoletów. Postać profesora Dary Shikoha znowu obudziła w nim wspomnienie tego wydarzenia, daremnie jednak ostrzył dowcip na osełce rewolwerowej zagadki. W końcu musiał przyznać rację ulubionej dewizie magika. Istotnie, wiele jest dziwnych rzeczy między niebem a ziemią.

## CZERWONOSKÓRY WKRACZA DO AKCJI

Po pięciu godzinach jazdy dylizans dotarł do stacji. Solidne przygotowania nadały tej ruderze wygląd improwizowanej twierdzy – dość zresztą uzasadniony, jako że krwawy Apacz Victorio wstąpił podówczas na ścieżkę wojenną i jego bandy terroryzowały kraj.

Posiłek czekał już na stole. Podróżni musieli jeść tak pośpiesznie, że nawet nie mieli czasu, by przekląć dzierzawcę, który uraczył ich tą wstrętną breją. Co do Joego, to i tak nie zdawał sobie sprawy z tego, czym się napycha. Siedział naprzeciw Winnifredy i dziw, że nie krajał wieprzowej pieczeni nosem, tak nisko spuścił głowę, bojąc się nawet zerknąć na dziewczynę. Mimo to nie uszło jego uwagi, że czarno odziany elegant rzuca na nią bezwstydną, przenikliwą spojrzenia. Wściekle zaczął gryźć łykowate mięso, bo zazdrość kłuła go ognistym żądłem.

Po półgodzinie pasażerowie ponownie wsiedli do zaprzęzonego w świeże konie pojazdu. Dzierżawca stacji, gadatliwy staruch, wsunął jeszcze woźnicy pod koziół starą rusznicę na bizony, grzmiącą jak arkebuz, z pełnym pasem naboju. „Pilnujcie dobrze swoich skalpów!” – zawołał na pożegnanie. Lecz Joe spojrział nań chmurnie: o tej ewentualności nie wypadało wspominać w obecności dam nawet żartem. Woźnica krzyknął, strzelił bat i zaprzęg, wzbiwszy kolosalny obłok pyłu, ruszył w stronę horyzontu, zjeżonego igłami dzikich turni – pierwszych odnóg Rządowych Szczytów...

Żar wczesnych godzin popołudnia trawił niebiosa i ziemię. Dylizans niezmordowanie turkotał martwą równiną, lecz już to tu, to tam samotny bazaltowy obelisk, bodący bezlitosne błękity, zwiastował bliskość ponurego masywu, o którego stopy rozbijała się bezkresna, szara preria. Dopiero za rozpalonymi grzbietami owego skalnego labiryntu leży Fort Mahon, cel etapu dziennego naszych wędrowców; dopiero po drugiej stronie tych spróchniałych urwisk rozwiera swe objęcia kraina, gdzie morderczy czerwonoskóry nie odważy się stąpnąć swym złowieszczym mokasynem. Geograficzna ta charakterystyka znacznie jednak wyprzedza drogę dylizansu. Ten bowiem nie opuścił dotąd stron, gdzie na każdym kroku czyhają niewidzialne i niesłyszalne widma Śmiertelnego Zagrożenia. Nie sposób nawet orzec, za którym to z gigantycznych głazów kucać może krwiożerczy dzikus, żądny towarów i skalpów białego intruza.

A przeraźliwe wycie wojowników w jednej chwili gotowe jest rozedrzyć drżącą zasłonę rozpalonego powietrza, pociągając za sobą świst deszczu zatrutych strzał. Cóż: niebezpieczeństwo grozi ze wszystkich stron i autor nic na to poradzić nie może. Czyż to nie szczep Apaczów, najokrutniejsze i najpodstępniejsze z indiańskich plemion, poderwał do walki Victorio, godny dziedzic Mangas Colorado i jeszcze godniejszy spadkobierca strasznego imienia Geronimo? Być może bawi w tej chwili setki mil stąd, a może tu właśnie: któż to wie! Dlatego oku Joego nie wolno osłabnąć. Niechaj niemilosierny upał mąci zmysły wszystkich, których dziś los pomieścił w ciasnym pudle hałaśliwej kingsleyowskiej landary – on, Lemoniadowy Joe, będzie z nie mniejszą czujnością badał wzrokiem każdą piędź zdradliwej okolicy, jego to bowiem uczynił autor bohaterem tej książki, za którą to godność wypada mu się wysilić nieco bardziej niż tamtym, co niżej, na siedziskach dylizansu, oddali swą myśl w mroczną niewolę Morfeusza. Znojny skwar zaciążył tam z wolna na powiekach wszystkich podróżnych. Płaszczyna, równa jak stół, nie miotła już ich ciałami w piekielnych podrzutach, lecz huśtała miękkim falowaniem niczym kołyska, sprowadzając rychło drzemkę na strudzonego ducha i nasycony żołądek. Przemianie tej towarzyszył niezmienny rytm dwudziestu czterech kopyt, synkopujący monotonna, ale tym bardziej usypiającą kołysankę.

Aliści w rozprężonej dziupli, szeleszczącej oddechami śpiących, tkwił ktoś równie czujny jak rysiooki mąż na koźle. Oto

na podobieństwo wężącego szczura rozwarł swe bystre oczy i nastroszył spiczaste uszy profesor Dara Shikoh. Śpią wszyscy, on zaś wyczekuje chwili sposobnej do łowów. I już chwytliwe macki jego palców wnikają w głąb kieszeni dziennikarza, szperając za upragnionym łupem. Być może krzywdzimy tu magika: może jesteśmy tylko świadkami jednego z najbardziej fenomenalnych ćwiczeń jogi? Wszak tylko złowieszcze podskoki poły surduta pana Breakenridge'a zdradzają podejrzaną aktywność dłoni Dary Shikoha; jedyne to ognisko niepokoju, wokół którego zaległa ogromna, pełna oczekiwania cisza upalnego dnia, pochłaniająca z wolna i tętent koni, i skrzyp kół..

Uiiiiii...!

...świsnęła w oknie łokciowej długości strzała, przybijając do dłoni magika sukno dziennikarskiego odzienia. Ból skrzywił oblicze kuglarza, a jego gardziel wydała okrzyk trwogi. W tejże chwili huknął z kozła winchester. Było to przebudzenie istic radykalne. Pan Breakenridge zerwał się tak gwałtownie, że grzmotnął głową o dach, zgniatając nieodwracalnie swój szary melonik. Panna Winnifreda zbladła, jakby w jej żyłach jęła krążyć nie krew, lecz biel ołowiowa. Tylko fizjonomia pana O'Meary nie zmieniła wyrazu znudzenia. W dłoniach Horacego zabłyśły w jednej chwili lufy derringerów. Przycisnąwszy się bacznie do ściany, z nerwowym marszem na czole, szuler wyjrzał na rozpaloną pustynię. Nad jego głową chrypiały wściekle ponaglenia woźnicy i trzaskał długi bicz.

Niczym wyspa rozwagi ponad taflą ogólnego wzburzenia zarysowała się postać tego z pasażerów, który dzisiejszego poranka zwrócił uwagę Joego zastanawiającym sposobem noszenia rewolwerów. Obecnie, nieczuły na lamentsy magika, uwolnił jego dłoń (a przy tym i kieszeń dziennikarza) od strzały, nie mrugnawszy nawet w czasie tej operacji nad ich zadziwiającym sąsiedztwem. Po czym, poleciwszy zraniony członek łaskawej opiece córki pana Breakenridge'a (dodać trzeba, że waleczne to dziewczę błyskawicznie odzyskało spokój ducha), dobył broni, a widząc, że i pan O'Meara wyłowił przez ten czas z kieszeni na piersiach małego, eleganckiego kołta, sześćostrzałowiec swój wręczył dziennikarzowi.

– Sprawi się pan jak trzeba – rzekł przy tym dobrodusznie, spoglądając z uśmiechem na jego zdradzającą pochodzenie ze Wschodu powierzchowność – jeśli strąci pan choć jeden czub.

– Za pozwoleniem, młody człowieku – odparł dość kwaśno dziennikarz – oszczędziłby pan sobie zapewne tych uwag, wiedząc, że całą wojnę spędziłem na pierwszej linii jako korespondent specjalny „Porannej Poczty Chicago”!

Podróźni nie mieli się już jednak dowiedzieć, jaką miną skwitował ów pełen oburzenia protest pogodny mieszkaniac Pogrnicza. Z nagłą przed ich oczyma pozostała zeń tylko nołowa ciała – i to dolna: górna znalazła się już na dachu

dylizansu, wciągając wnet za sobą przez balustradę długie nogi w zakurzonych cholewach.

Nieznamy ujrział Joego, leżącego za ochronnym przedpiersiem spiętrzonych bagaży. Rewolwerowiec bez słowa skinął w stronę cudacznej grupy skał, oddalonych w linii prostej o jakieś ćwierć mili. Z ich cienia wynurzyła się grupa jeźdźców.

Mieszkaniec Pogranicza gwizdnął.

– Apacze! – skonstatował półgłosem.

Joe przytaknął..

## DYM WYSTRZAŁÓW, GARŚĆ WSPOMNIENI REWOLWEROWCY WYMIENIAJĄ WIZYTÓWKI

Grot, który przyszpilił dłoń pana Dary Shikoha, wystrzeliła jedna z indiańskich czujek, skryta na szczycie pobliskiej skały. Główne siły watahy skoncentrowane były na tyle daleko, by się nie fątygować strzelaniem na los szczęścia. Czerwonoskórzy galopowali teraz niemal równoległe do pojazdu, zatem Joe, nie nazbyt trudząc oczy, mógł oszacować ich liczbę na niespełna dwudziestu. Łatwo odgadł ich plany. W szyku skośnym zbliżali się z wolna do dylizansu, mając zamiar zagrozić mu wjazd na wąską dróżkę, przecinającą stoki Rządowych Szczytów. Czy miejsce to było obsadzone przez garnizon z Fort Mahon, czy też teren zdał się już tam Anaczom niedoogodny do ich manewrów –



W ten sposób Joe miał spóźnić się do domu. W tym czasie ten rewolwerowiec nie mógł dociec. W tej chwili obaj strzelcy powstrzymywali się od akcji, nie mając ochoty przeorywać prerii pociskami swych strzelb. Joe z namysłem przeżuwał ulubione owocowe pastylki, w jakie obficie zaopatrzył się w Powderville, podczas gdy niezajomy mieszkaniec Pogranicza zaznajamiał się ze sztucerem Martini-Henry, ze znanstwem wążąc go w dłoniach.

Naraz czterech czy pięciu jeźdźców oddzieliło się od grupy i, popędzając niepozorne koniki, pognało wprost w stronę pojazdu. Joe odczekał, aż pierwszy z nich podniesie do ramienia strzelbę. Potem wypalił. Koń bez jeźdźca zarył nagle kopyta w ziemię, po czym jednym skokiem zawrócił i odgalopował.

– Tęgi strzał! – mruknął niezajomy. Joe w milczeniu podsunął mu pudełko pastylek, podczas gdy z okien dylizansu grzmiała palba, niestety, dość bezowocna. Mieszkaniec Pogranicza, cokolwiek zdziwiony, sięgnął z uśmiechem do pudełka. Lecz w tym właśnie okamgnieniu, gdy palce jego lewej dłoni chwyciły cukierek, sztucer Martini-Henry wzniesiony niedbale u prawego boku, przemówił nagle. Apacz rozłożył ręce i zsunął się bez jęku po szyi wierzchowca.

Joe zerknął ostro na swego towarzysza, który ze znużoną miną chrupał cukierek, przygotowując broń do kolejnej demonstracji. „Mam więc przyjemność gościć kapitalnego strzelca! Czarno na białym! Ha, przedstawmy mu więc swój podpis, gdzie litery

będą jeszcze wyrazistsze”. – I nie dbając o kule i strzały, nućące mu nad uchem swą natrętną śpiewkę, wyjął z zanadru lusterko, które wraz z mydłem, grzebieniem i szczotką stanowiły nieodzowny inwentarz jego kieszeni. W odróżnieniu bowiem od wielu mieszkańców Zachodu, dbał Joe z przesadną aż starannością o czysty i schludny wygląd ciała i stroju, ani na włos nie popadając przy tym w zniewieściałość. Teraz jednak nie zamierzał bynajmniej kontrolować za pomocą lusterka swej powierzchowności. W rzeczy samej nie było na to czasu. Zdumiewając mocno swymi poczynaniami nieznanego, obrócił się tyłem do czerwonoskórych i, wbiwszy skupione spojrzenie w tafłę lustra, łowił obraz wścieklej pogoni i spoczywającej na ramieniu lufy. Gdy zaś odbita w lusterku muszka pokryła głowę najdzikszego z Apaczów, nacisnął spust. Tryskająca krew uczyniła twarz czerwonoskórego jeszcze czerwiejszą, mieszkaniec Pogranicza zaś z uznaniem wydał wargi. Lecz jego sztucer Martini-Henry czekał już w pogotowiu, mógł więc na żarcik Joego odpowiedzieć natychmiast. Obdarzony szczodrą siłą fizyczną, stanął, na przekór niezliczonym wstrząsom pędzącego wehikułu, zręcznym ruchem na rękach, by przerzucić się zaraz na jedną, podczas gdy druga, wraz z bystrym okiem, precyzyjnie zwracały broń do celu. Wypalił w okamgnieniu; w tejże chwili bżyknęła kulka, odrywając obcas z jego wzniesionej nogi. Trafiony czerwonoskóry osunął się i zwiśł w strzemienu, a jego trup począł ryć bruzdę w pylistej glebie prerii.

Joe nabijał z wolna broń, dumając uporczywie, jak na ów brawurowy wyczyn odpowiedzieć wyczynem jeszcze szaleńszym. Zdwojona palba z okien dylizansu umniejszała w tym czasie pogoń o piątego Apacza, tak więc ogień dzielnych podróżnych rozbił w drobny mak grupę, która naprzykrzała się pojazdowi w bliskości nader już niebezpiecznej. Po ostrej lekcji pozostałe dzikusy zachowywały już wyrażającą szacunek odległość, niepokojąc tylko pasażerów trafieniami, na szczęście dość przypadkowymi. Okoliczności te pozwoliły rewolwerowcom kontynuować zawody strzeleckie w warunkach poniekąd zmienionych, teraz bowiem dojsć miały do głosu wyczyny na długi dystans. Joe i jego towarzysz tylekroć już spoglądali oko w oko śmierci, że taka sytuacja nie mogła zachwiać ni na milimetr ich układem nerwowym. Wszystko w owej przygodzie: wyjący Indianie, świszczące strzały, oszałały zaprzęg, zyskiwało w ich męznym duchu posmak niewinnej sportowej rozgrywki. W ich oczach galopujące sylwetki Apaczów zmieniły się niepostrzeżenie w blaszane figurki mechanicznej strzelnicy, której krawędź stanowiła balustrada dylizansu. Po krótkim namyśle Joe zdecydował, iż szatańskiej celności rywala stawi czoło strzałem analogicznym do tego, jakim niegdyś w Pod Uciechą Prowodyra w Abilene tak spustoszył zbójceją zgraję ośmiu łotrów. Wypalił więc w chwili, gdy jeden ze szczególnie zajadłych wojowników mijał innego, zasłoniwszy na mgnienie jego kontur swym brunatnym ciałem. W ten sposób położył dwu na raz Apaczów. Mieszkaniec Pogranicza zrewanżował się jednak okrutnie, przestrelawszy

Pogranicza ziewał zowal się jednak okrutnie, przesuwał się dzikusowi, krwiożerczo napinającemu łuk, śmiertelnością cięciwę. Joe pomyślał, iż gra idzie na ostro: było jasne, że zwykły repertuar jego strzeleckiej zręczności okazywał się przeciw nieznanemu zbyt ubogi. Pogryzł się więc w gorączkowych dociekaniach, jakim sposobem pokonać diabelskiego strzelca. Z myśli tych wyrwał go chrapliwy jęk woźnicy. Rzucił szybkie spojrzenie na starca i dostrzegł jego skurczoną postać, zwinętą niczym skręcony inicjał bólu. Nieborak ścisnął przestrzelone ramię, nie wypuszczając jednak z dłoni wodzy. Przepelnawszy ku niemu, Joe zdarł rękaw jego zetlelej koszuli, przewiazując krwawiącą ranę; jednocześnie sztucer Martini-Henry mieszkańca Pogranicza trząsknął raz za razem. Tor owych strzałów rozstrzygnął w sposób ostateczny los dwóch kolejnych Apaczów. Mimo to sytuacja uciekinierów wchodziła w fazę krytyczną. Skały, tu i ówdzie sterczące dotąd niby oddzielne kolumny, skupiały z wolna potworne cielska w zwarte ściany, wznosząc już z prawa i lewa swe nagie czoła na spotkanie bezlitosnych błękitów. Tu już kończyła się preria, znajdując kres swej monotonnej płaszczyzny wśród stromych zboczy spiętrzonego żwiru i splekanych głazów, z których wznosił się kamienny fundament urwisk. Tak oto szczuta zwierzyna i tropiąca ją sfora znalazły się na przedpolach Rządowych Szczytów.

Apacze, gardłowymi krzykami wyrażający sadystyczną rozkosz z cierpień białych twarzy, dostrzegli z satysfakcją, że ich wzruszone oddechami dechami potężnych sił Skronowy w niebie

wyczerpana zuooycz uooywa ostatnicn sil. Skapany w pianie i pocie zaprzęg słabł wyraźnie; osłabła także palba z wnętrza pojazdu, odkąd runął O'Meara, któremu rykoszet oskalpował skroń, odłupując skrawek kości z twardej irlandzkiej czaszki. Dzikusy wiedziały jednak, że zwycięstwo wymknie się im z rąk, jeśli ofiara zdoła dotrzeć przed nimi na wąski skalny trakt, gdzie liczyć już może na ratunek. Za wszelką cenę trzeba więc odciąć jej drogę do zbawczego zaułka. Gardząc śmiercią, Indianie tak zbliżyli się do dylizansu, że kule pana Breakenridge'a mijały ich co najwyżej o pięć czy sześć stóp. Łatwo już było rozeznąć kamienne rysy wrzeszczących twarzy, błyskające białka i barwy zatłuszczonych chust na płaskich czołach. Oto, smagając niezmordowane koniki, trzej z nich jak wichur przecięli drogę znużonego zaprzęgu. Co prawda szybkość nie pomogła temu z nich, którego Horacy ugodził w pachwinę. Był to jednakże jego strzał ostatni. Broń wypadła mu z ręki, przesytej strzałą.

Bledszy od śniegu pan Breakenridge spoglądał na zboczony krwią rękaw szulera, z którego sterczała brzechwa strzały. Czując, że mdleje, odwrócił oczy i dostrzegł krwawą głowę O'Meary. Zsiniąta trupio twarz magika nie wyglądała wiele lepiej. Zmąconym wzrokiem obrzucił wyjących dzikusów, po czym padł bez czucia jak pień. Delikatne jego nerwy nie zniosły próby, jaką tak bezlitośnie przygotowało dlań surowe Pogranicze...

OCZEKIWANY HAPPY END

Nieszczęsna Winnifreda! Samotna w owym ruchomym lazarecie, żałowała gorzko, iż żaden podręcznik pierwszej pomocy, jaki trafił do jej rąk, nie zawierał wskazówek dotyczących ran od indiańskiej strzały bądź kul myśliwskiej fuzji. Nie wiedziała nawet, za co brać się najpierw: czy podsunąć omdlałemu tacie flaszeczkę wonnych soli, czy też ofiarnie udarłszy rąbek halki (na myśl samą oblała się pąsem jak piwonია), przycisnąć ją do czoła O'Meary lub ramienia Greenwooda. Słała więc żarliwe modły do Stwórcy, nad słuchując z zapartym tchem tępych uderzeń strzał o pogruchothane ściany. Ostatnim zaś w obliczu śmierci oparciem stał się dla niej ten, co wśród gradu pocisków z tak niepojętym męstwem trwał na dachu nieszczęsnego pojazdu – młodzian z czystym spojrzeniem i szklanką lemoniady Kolakoka w ucziwej prawicy. Zatem, gdy myśli dziewczęce płyną tak ku owemu niezwykle młodzieńcowi – i my powróćmy doń, aby stwierdzić, jak się on zapatruje na całą tę diabelną sytuację.

Joe, ścisnąwszy w dłoniach cugle i podparłszy dzielnym ramieniem bezwładne ciało woźnicy, wytrzeźwiał po trosze ze strzeleckiej gorączki, która zaślepiała go do tego stopnia, że nie dotarła doń cała powaga chwili. Podobnie jak jego rywala, jego także namiętność sportowa zwiódła na drogę prowadzącą do zguby. Wiedział teraz, że lepiej było strzelać równie celnie, choć mniej efektownie. Obroncy dyliżansu zredukowali do połowy liczbę napastników. Nie było to takie złe. Niestety broń czerwonoskórnich sprawiła w szeregach

zł. Niestety, choć czerwonoskórych sprawa w szeregach białych masakrę jeszcze większą. Obowiązki woźnicy zaprzętały Joego tak bardzo, że ciężar obrony spoczął wyłącznie na barkach nieznajomego. Zatem jeden – przeciw dziesięciu. A to brzmiało już dużo gorzej. Dość, by strzała któregoś z dzikich dosięgła jednego z obrońców, a dylizans będzie stracony. Niestety, ani Joe, ani jego mężny towarzysz nie mieli nic wspólnego z dwudziestorękim hinduskim bóstwem, które z łatwością umiałoby nabijać strzelby, celnie mierzyć, strzelać i kierować szóstką koni.

Dylizans pędził teraz na spotkanie dwu bliźniaczych skał, kryjących wśród chłodnych ścian przesmyk, którym wiódł trakt. Na czubku jednej z nich spoczywał gigantyczny głaz, cudem zachowujący równowagę. W głowach uciekających i pogoni krążyły jednak inne myśli, niedopuszczające zdumienia z tak udatnego figla natury. Joe spojrzął na skalną bramę i, jeśli dotąd bujał w jego duszy wiotki kielek nadziei, to w owej chwili zwiędł. U stóp bowiem zwieńczonego głazem monolitu rysowała się dziewiątka czerwonoskórych jeźdźców – dziewięć kamiennych pomników indiańskiej nienawiści wśród kamiennego morza. Jeśli Joe gotów był przedtem porazić szaleńczym ogniem ośmiu dzikich (nieznajomy wskazał tymczasem dwu kolejnym wojownikom drogę do wiecznych łowisk) – teraz pożegnać musiał ten zamysł na dobre. Jednocześnie mieszkaniec Pogranicza odrzucił, trąc w zębach posępne przekleństwa, bezużyteczny sztucer Martini-Henry: do diabła, koniec naboju! Joe podał mu nagle winchestera, lecz na chwili zamilkł i on

Joe podał mu piękną wilczęstera, lecz po chwili zamłknął i oś, co gorsza, bez widocznych skutków, gdyż najzupełniej, by tak rzec, nieprzejezdna powierzchnia terenu udaremniała skuteczne celowanie. Joe sięgnął więc, milcząc, po nierozłączne dotąd smith&wesson i wręczył jeden gniewnemu nieznanemu. Tak: czeka ich bój ostatni, walka z bliska! Podziurawi te psy piekielne, lecz wszak wynik przewidzieć nietrudno... Jedno pewne: dwa białe trupy otoczy milczącą strażą tuzin trupów szkarłatnych!

Lecz w owej chwili obcas Joego natrafił pod kozłem na coś, co wydało metaliczny szczęk: młodzieniec chwycił śpiesznie zagadkowy przedmiot... O, wyszydzone starożytności! Nieforemna rusznico dzierżawcy! Jeszcze przed paru godzinami na twych średniowiecznych kształtach ostrzył zjadliwy Greenwood grotty błyskotliwego dowcipu, znajdując twój rodowód w czasach konkwistadorów hiszpańskich i wkładając cię na ramię Daniela Boone'a. Teraz nadeszła pora twej rehabilitacji, skoro tak znakomici mężowie, jak ci dwaj mieszkańcy Pogranicza, upatrują w tobie ostatnią szansę ratunku! Mało tego: twoje masywne łożo zapłodni Joego ideą zdumiewającego czynu, który bieg rwącego strumienia porywających wypadków zwróci w najzupełniej przeciwnym kierunku!... Niechaj więc wybrzni oda na cześć starej rusznicy, by wolno nam było powrócić ku wstrzemięźliwej epickiej relacji.

Joe zatem dostrzegł pod swymi stopami grzmiącą rusznicę na bizony. Toż ta armata ołowowa przestrzelić skałę jak brzo-



na szczyt. „Toż w takim razie przesuźcie brzoję jak słońce masła!” – pomyślał, zwracając oczy ponownie przed siebie, jako że droga dawno przestała już być tym, co się zwykle rozumie pod owym słowem. Dzięki temu wzrok jego omiółtł balansujący głaz na czubku turni, pod którą tkwiły nieubłagane sylwetki dzikusów. I tak pod szlachetnym czołem zapłonęła wielka idea.

– Jeszcze nie wyrównałem z panem, szanowny nieznajomy, rachunku za ostatni strzał! – wykrzyknął Joe wprost w gorący dech wiatru, odwracając twarz do leżącego mężczyzny. – Zechciej pan chwilę potrzymać, a ja sobie palnę!

Jego towarzysz przytaknął z uśmiechem i jął pełznąć w stronę kozła.

– Zajrzałem tam do środka – rzekł, wskazując głową pudło dylizansu. – Myślę, że wszyscy mają dość! – (Tu Joe zbladł potwornie...) – Tylko panna wyniosła z tego całą skórę i zbiera im gnaty do kupy, o ile, ma się rozumieć, taka kruszyna ze Wschodu coś takiego potrafi!

Rumieniec powrócił z wolna na oblicze Joego. Dobra wieść zaś przywróciła jego dłoni konieczną pewność. Dzikusy stały się znów diabelnie aroganckie. Dwie kulki przewierciły piękny kapelusz rewolwerowca, trzecia odstrzeliła mieszkańcowi Pogranicza węzeł powiewającego krawata. Lecz Joe nie dbał o takie drobiazgi. Spokojnie opart broń o balustradę i jął z nadzwyczajną starannością celować w to miejsce, gdzie głaz

ledwie widocznym punktem wspierał się o skalne podłoże. Po czym, szepcząc imię Winnifredy, wypalił z obu luf.. Cud, że potężne kopnięcie starej strzelby nie zdruzgotało mu szczęki. Bez wątplenia miał w ręce broń legendarnych wojaków DeSota. Lecz ów straszliwy policzek nie przeszkodził Joemu wpić łapczywego wzroku w cel strzału. I nie sposób opisać słowami jego radości, gdy ujrzał, jak gigantyczny blok majestatycznie skłania się na przestrzelonej podstawie, po czym przechyla ciężko kamienną pierś przez krawędź i niepowstrzymanie spada na głowy dziewiątki Apaczów, czyhających w zasadzce na bezsilny łup. Grzmot upadku, tłumiący ryk zgrozy miażdżonych ofiar, rozniecił wśród skał pogrzebowe echa, po czym scenerię krwawego młyna skryła miłosierna kurtyna pyłu..

– Kapelusze z głowy przed panem! – zawołał do Joego nieznajomy, starając się przekrzyknąć piekielny łomot. – Po tym, co widziałem, myślę, że czas mi już rzucić na dobre strzelanie i wziąć się za handel towarów mieszanych!

Joe zamierzał właśnie skwitować równie żartobliwie komplementy mieszkańca Pogranicza, gdy ucho jego złowiło najprzód słaby, a potem coraz silniejszy dźwięk, który dosłownie zamknął mu usta. Rozhukane echa nie znikły jeszcze wśród urwisk, gdy ich posępne pomruki przeciął dźwięczny ton – radosna fanfara wojskowej trąbki. Coraz bliżej i bliżej wśród gmatwaniny skał rozkwitał wesoły tryl, aż w końcu na zakręcie

górskiej ścieżki wyłonił się jeździec z dobytą szablą, za nim drugi, trzeci... Granatowa kawaleria z białymi chustami na szyjach gnała na spotkanie nieszczęsnego dylizansu i zgrai zażartych Indian. Ci ostatni pośpiesznie zawrócili koniki i role zmieniły się w okamgnieniu: napastnicy stali się uciekinierami. Rewolwerowcy zamachali przestrelonymi kapeluszami; nawet z wnętrza pojazdu dały się słyszeć jakieś objawy radości. W owej chwili Joe zwrócił się do swego towarzysza:

– Sądzę, drogi nieznajomy, że teraz mamy wreszcie dość czasu, by mogło dojść do, że tak powiem, prezentacji. Co do mnie, nie dbam o me właściwe nazwisko, ale zwań mnie Lemoniadowy Joe!

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz mieszkańca Pogranicza.

– To zmienia postać rzeczy! Od kogoś takiego jak pan zgodzę się przyjąć tę lekcję strzelania, chociaż moje nazwisko brzmi Wyatt Earp!

Słyszac to, Joe przybrał wygląd dziecka, które widzi pierwszy raz w życiu żyrafę. Nazwisko Wyatt Earp stanowiło bowiem samo przez się znak firmowy strzelectwa najwyższej klasy. Z groźnej piątki braci Earpów jeden tylko, Warren, zdradził haniebnie rewolwerową tradycję swego rodu, nie będąc nikiem więcej, jak potulnym, nieszkodliwym byczkiem, co mu zresztą nie przeszkodziło zginąć w jakimś arizońskim obozowisku górnictw od kuli mniei notulnego i nieszkodliwego byczka.

Lecz pozostała czwórka Earpów – James, Wyatt, Virgil i Morgan – czyniła, co tylko mogła, by ogniem swych sześćciostrzałowców zmazać tę plamę na rodzinnym honorze. I co typowe dla stosunków Pogranicza – tamtejsze prawo, miast sobie parzyć palce, karząc ich wyskoki, wołało zmienić ich w swoich obrońców. Wszyscy czterej dowiedli mistrzostwa we władaniu rewolwerem, ale szczególnie Wyatt, U.S. Marshal, pogromca Bena Thompsona i zaprzysięgły wróg kowbojów, osiągnął w tym względzie – jakżeśmy widzieli – doskonałość wręcz cudowną, słusznie więc zajmował nader imponujące miejsce na najwyższych szczeblach strzeleckiej hierarchii. Nazwisko jego przydawało zwycięstwu Joego nadzwyczajnego blasku.

Tymczasem kawalerzyści otoczyli pojazd. Rotmistrz, suchy i sprężysty Kansasczyk, rażno zeskoczył z parsającego srokacza, witając się gorąco z tymi, którzy byli do przywitań zdolni. Nazwiska obu rewolwerowców, jak też ich czyny, których przykład miał przed oczyma w postaci wymownego losu czerwonoskórych nieszczęśników, przywołały na jego twarzy wyraz bezgranicznego szacunku. Dziki galop tak zagonił pocztowe konie, że nikt nie żywił nadziei, by mogły dziś jeszcze osiągnąć Fort Mahon. Zresztą stan zdrowia większości podróżnych wykluczał dalszą drogę. Z tych przyczyn pułkownik zaferował wyczerpanej załodze dylizansu odpoczynek i nocleg w wojskowym obozie w górach. Jutro rano ruszą w drogę z opatrzonymi ranami i świeżym zaprzęciem. Szlachetna ta

Z opuszczonymi rękami i świeżym zaprzęgiem szaroburka w propozycja przyjęta została przez wszystkich z poczuciem głębokiej wdzięczności. Choć zranienie O'Meary wyglądało groźnie, najpoważniejszą ranę odniósł woźnica, któremu indiańska śrutówka roztrzaskała ramię. Horacy i Dara Shikoh wyszli z przygody tańszym kosztem, tyle że magik zmuszony był wyrzec się na pewien czas swej niegodziwej profesji: każdy przyzna, iż dłoń przebita strzałą nie penetruje kieszeni tak zręcznie jak zdrowa. Co do pana Breakenridge'a, ten niebawem ocknął się z omdlenia. Mógł więc jeszcze tego samego wieczoru przyjąć zaproszenie pułkownika. Gdy ów czcigodny oficer, noszący sławne na Południu nazwisko, dowiedział się, jakie to znakomite osoby nawiedziły jego obóz, zaimprovizował natychmiast przyjęcie w wąskim kręgu, którego ozdobę stanowili obaj rewolwerowcy, jak też i pan Breakenridge ze swą uroczą córką.

O ósmej zatem wszyscy wymienieni zasiedli pod przewiewnym sklepieniem otwartego namiotu do skromnej, lecz tym miłszej wieczerzy. Butla lemoniady Kolakoka, którą wyszperał gdzieś zapobiegliwy ordynans pułkownika, stanowiła dla Joego, ma się rozumieć, najradośniejszą z niespodzianek, jakie mogło mu sprawić gościnne obozowisko.

## SPOTNIAŁY KSIEŻYC OŚWIETLA ZIMNE NOSY

Śpiący obóz spowiła swym płaszczem skwarna arizońska noc...

Rzecz jasna, inna noc wyżej wspomnianego obozu spowić nie mogła, historia ta bowiem dzieje się w Arizonie i byłoby co najmniej niestosowne, gdybym nagle jął mówić o nocy labradorskiej, weneckiej czy żiżkowskiej. A zatem, jako się rzekło, obóz, z nielicznymi wyjątkami (jak strażę i tak dalej), spał, ziemia zaś, dysząc gorącem, którego się za dnia nałykała do syta, trwożyła lękliwe serca mnóstwem tajemniczych dźwięków, które jakby jeszcze pogłębiały ciszę, przerywaną co jakiś czas rozdzierającym chichotem. Kojot to czy też Apacz? Wszystko jedno, wszak strażę, których obecność łatwiej wyczuć, niż dostrzec, zadbają, aby zażarty dzikus czknięciem nawet nie zakłócił spoczynku śpiących przyjaciół.. Księżyc wzejdzie lada chwila. Jego ukazanie się zwiastuje nieokreślona, ponura poświata, rozrzedzająca ciemność nad wschodnim horyzontem. I właśnie od tego poszarzałego widnokręgu, szarego jak błona nietoperza, tym wyraźniej odcina się szlachetnie rzeźbiony profil mężczyzny, nieruchomo stojącego przed równym szeregiem namiotów. Doprawdy, sympatyczna to postać!

Padły tu słowa „szlachetnie rzeźbiony” i „sympatyczny”. Na pewno więc odgadliście, że mowa jest o naszym Joem, ponieważ tak pochlebne określenia rezerwujemy w tej historii jedynie dla niego.

Trzy były przyczyny, dla których Lemoniadowy Joe wyrzekł się snu i sklepienia namiotu. Oto pierwsza: miłość do panny

Winnifredy nie dawała mu spać.

Pałącą naturę tego uczucia poznaliśmy już wyżej, pojmujemy więc, że owa myśl o pięknej córce dziennikarza nie pozwalała Joemu zmrużyć ani na chwilę oka. Powód drugi, mniej poetyczny, lecz równie znaczący był ten, że obaj młodzi oficerowie oraz Wyatt Earp, z którymi dzielił Joe zacisze namiotu, spożyli przy kolacji tyle pikantnej sałatki z bobem, iż gruntownie obciążyli nim nie tylko swe sny, lecz także atmosferę płóciennej sypialni. A powód trzeci? W owej nateżonej atmosferze sam Joe czuł żołądek jakoś bliżej karku.

Z tych trzech zatem przyczyn postanowił udać się w plener. Wyszedł teraz na świeże, bo górskie wszak powietrze i rozmyśla na przemian to o pannie Winnifredzie, to o niestrawności, jest bowiem tylko zwykłym śmiertelnikiem i nie może myśleć o obu sprawach naraz, ale zawsze jedna z nich przeważa. „Droga do serca wiedzie przez żołądek” – mówi przysłowie. Ale przeładowany żołądek pragnie zatarasować tę drogę. Dlatego też o sile jego miłości świadczy najlepiej to, że gdy mu się chociaż trochę udaje poskromić rozbestwione wnętrzności, natychmiast myśl leci do ukochanej, która...

Lekki szelest sukni... Joe ogląda się szybko i widzi przed sobą jasny cień, jak zjawą wynurzający się z rzednącej ciemności. Od razu wie, kto to. Tak, to Ona! Radość, znakomity lekarz, natychmiast lokuje mu żołądek na właściwym miejscu.

Nawet nie wypadaloby zapewniać, że dziewczynę przywiodła na dwór tylko pierwsza z wyżej wymienionych przyczyn. Nie przeczuwała przecież, kogo tu zastanie. Wstała z łóżka jedynie dlatego, by się wypowiedzieć nocy i księżycowi z miłosnej rozterki, szarpiącej jej serce. Joe kaszlnął dyskretnie. Ale dziewczyna tak się zlekła, że wydała lekki okrzyk zdumienia i przestachu.

– Niech się pani nie boi, to ja, Lemoniadowy Joe!

Te słowa oczywiście też nie mogły przejść bez wrażenia. Panna Breakenridge nie wykrzyknęła już wprawdzie, ale za to splonęła rumieńcem, którego tylko dzięki nocnym ciemnościom nie można było dostrzec. Joe natomiast tak się zmieszał, że w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Może należałoby nawiązać jakoś do sytuacji? Już chciał to zrobić, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, jak niedelikatnie byłoby pytać Winnifredę, czy ona także ma kłopoty z żołądkiem. Na szczęście jednak sama przyroda, albo mówiąc lepiej – jej wzniosła twarz rozwiązała konwersacyjne trudności Joego. Nad zębaty grzbiet Rządowych Szczytów wychynęło szkarłatne ciemne ogromnego księżyca. Cóż za przepiękny widok! Joe pojał natychmiast, że najlepiej nawiązać do tego zachwycającego widowiska. Ponieważ jednak panna Breakenridge była nie tylko uroczą, lecz także wykształconą dziewczyną, szukał gorączkowo stosownych słów, które by jej powiedziały także coś o jego poziomie kulturalnym. Przez chwilę więc panowała pełna zakłopotania cisza. Wreszcie,



przełknąwszy ślinę, zagadnął:

– Cudowna noc, prawda?

– Aha.

– Zupełnie taka, jak ta, o której mówi Szekspir: „O nocy, która... hm.. która...” i tak dalej.

Był z siebie zupełnie zadowolony, chociaż coś mu szeptało, że nie zacytował Szekspira w pełnym brzmieniu; na pewno brakowało tu czegoś najważniejszego. Nie był nawet przekonany, czy coś podobnego czytał akurat u Szekspira, ba, czy w ogóle czytał Szekspira. Ale serce przepelniało mu takie szczęście, że nie miał ochoty zajmować się podobnie małostkowym roztrząsaniem sumienia. Zresztą manewr z Szekspirem był bardzo udany. Przekonały go o tym dalsze słowa Winnifredy.

– Pan czytał Szekspira? O, to jest pan bardzo wykształconym człowiekiem!

Księżyc tymczasem oderwał się od atramentowoczarnych szczytów.

Wisał teraz na niebie wielki, jaśniejący, w otoku płomieniście czerwonej mgły. Joe, zachęcony poprzednim sukcesem, zamierzał zwrócić uwagę panny Breakenridge na jego

zdziawiająca podobieństwo do naleśnika polanego sokiem truskawkowym. Takie porównanie, jakkolwiek bardzo trafne, mogło niemile dotknąć dziewczynę, owładniętą czarem miłości i nocy. Lecz dobre duchy nie dopuściły, by jakieś niewłaściwe słowo zburzyło tę baśniową budowlę, którą Joe przed chwilą wznosił za pomocą szczęśliwego cytatu z Szekspira. W momencie kiedy już otwierał usta, zawył kojot (czy Apacz?) tak przejmująco, że Winnifreda zupełnie instynktownie przytuliła się do tego, co uważała za najbezpieczniejsze schronienie dla bezbronnej dziewczyny, to jest do naszego dzielnego rewolwerowca. Prawdziwy mężczyzna w takiej sytuacji traci głowę bez względu na to, czy pije lemoniadę Kolakoka, czy też czystą whisky. Joe wszystkimi, nawet zupełnie pozbawionymi czucia nerwami uczył dotyk giętkiego ciała dziewczyny; jej włosy, nakręcone wieczorem na papiloty, łaskotały go w nos i odurzały. Dlatego wcale nas nie dziwi, że w tych okolicznościach doszło do sceny, która bywa zazwyczaj opisywana klasycznym zwrotem: „Ich wargi się spotkały...”. Tak: ich wargi się spotkały, a ich nosy były zimne... Tak zimne...

Lecz wszystko ma swój koniec. Nawet najdłuższy pocałunek. Główka Winnifredy jeszcze chwilę spoczywała na jego piersi. Potem jej czyste jak źródelka oczy wzniosły się ku twarzy strzelca, a drobne wargi, jeszcze wilgotne od pocałunku, wyszeptaly:

– Kiedy weźmiemy ślub?

Żadnej odpowiedzi... Cisza... Wreszcie rozległ się odgłos przełykania śliny, wymowna oznaka śmiertelnego zakłopotania, które sprawiło, że język rewolwerowca skołowaciał. Biedny Joe! Odwrócił twarz w bok, potem oparł się ciężko o słup podtrzymujący daszek nad połową kuchni. Wreszcie odezwał się, ale jego głos brzmiał chrapliwie:

– Nie wiesz, Winnifredo, jaki ból mi sprawiasz! Jestem jak wygłodniały i spragniony człowiek, przy którym stoi pełna misa jadła i oroszony dzban wody, ale on nie może wyciągnąć po nie ręki, bo jest związany tak, że palcem nie może ruszyć!

– Coś w rodzaju mąk Tantala?

– Właśnie! Ale dajmy pokój mitologii! Ach, kochana, będę wobec ciebie szczery: nie mogę spocząć w twoich objęciach, póki nie spełnię przysięgi. Straszliwej przysięgi!

– Na Boga, jakaż to przysięga?

– To długa historia i chyba zbyt ponura dla twoich delikatnych uszek, kochanie!

– Pragnę ją usłyszeć!

– Ech, znudziłaby cię! A poza tym nie umiem opowiadać, wolę, jak za mnie mówią moje sześciostrzałowce.

Winnifreda zbladła lekko. Lecz bestia kobiecej ciekawości zbyt już była podrażniona, aby się dała zadowolić byle jaką wymówką.

– Twoje sześciostrzałowce? Ach, opowiadaj! Zapewniam cię, że trudno o uważniejszego słuchacza!

Po tych słowach usiadła na glinianej podmurówce paleniska, wpatrując się w młodzieńca pełnym niecierpliwości wzrokiem. Joe też zajął wygodną do opowiadania pozycję. Nawet figlarz księżyc skłonił ciekawie swą puciołowatą twarz, a jeśli czyhał gdzieś w pobliżu Apacz zwiadowca (rzecz jasna, czyhał) – to rozwinął uszy jak żagle fregaty, by nie umknęło mu nawet słowo.

## PIĆ CZY NIE PIĆ?

– A więc, opowiem ci tę historię. Opowiem bez upiększeń, prostymi słowami, bo my z Kansas inaczej nie potrafimy. Ponieważ nie lubię mówić o sobie, może wystarczy, jeśli wspomnę, że dzieciństwo spędziłem w środkowym Kansas, jako syn niebogatych wprawdzie, lecz ogólnie poważanych rodziców. Ich to była zasługa, że otrzymałem staranniejsze wykształcenie, niż zazwyczaj w tych stronach się otrzymuje. Wcześniej jednak osierociałem. Na szczęście nie mam teraz dość czasu, by ci opisać zgon swych bliskich, do którego, niestety, się przyczyniłem. Krewni, którzy się mną później opiekowali, nie starali się już tak o dopełnienie moich wiadomości; nie zabraniali

mi harcować całymi dniami po prerii ani przyjaźnić się z Billem Reidlerem, synem ranczera z „Trzykroć odwróconego miękkiego w prostokątnym trójkącie równoramiennym”.

Billy Reidler! Jakaż to przedziwna historia! Urodziłem się tego samego dnia, o tej samej godzinie, ba, niemal w tej samej minucie, w jednym pokoju, kiedy moja matka odwiedziła panią Reidler na ranczu. Już to kładło na nasze przyszłe losy jakieś szczególne, tajemnicze piętno. Aby wszystko wyglądało jeszcze dziwniej, znaleźli się ludzie, którzy twierdzili, że ja i Billy zostaliśmy omyłkowo zamienieni przez mamkę. Toteż nie wiem nawet, czy ja nie jestem właściwie Billym, a Billy mną. Ale to nie jest takie ważne. Chcę ci tylko powiedzieć, że staliśmy się nierozłącznymi przyjaciółmi, i to już w wieku, kiedy wydawaliśmy jedynie nieartykułowane dźwięki, nie umiając jeszcze mówić. Wzrastaliśmy razem i nic nas nie mogło rozdzielić. Potem chodziliśmy do szkoły, złączeni przyjaźnią tak silną, iż uczuciem naszym nie zdołała zachwiać nawet ogromna różnica postępów w nauce (ja stałem się wkrótce ulubionym i jednocześnie zienawidzonym prymusem, podczas gdy Billy szybko dopracował się wręcz przeciwnej opinii). Pewnego ranka Billy opowiedział mi sen, jaki miał tej nocy. Śniło mu się, że harcuje na naszym nauczycielu jak na mustangu. Surowy starszerek cwałował wokół pobrudzonych ścian klasy, kopał w ławki, aż kałamarze spadały, rżał i wyprawiał najróżniejsze diabelskie historie, daremnie usiłując zrzucić Billa z pleców. Przeraziłem się, bo mnie śniło się to samo i tylko szacunek dla

wzbudzającego strach pedagoga nie pozwolił mi opowiedzieć przyjacielowi tak gorszącego snu. Pojąłem, że wiążą nas ze sobą jakieś tajemnicze pęta, które tylko śmierć może przerwać, i to jeżeli...

Mamę niezbyt cieszyła ta przyjaźń, co zresztą rozumiałem, bo Billy ze wszystkich sił odciągał mnie od tajników wiedzy i kultury, ukazując nieokiełznaną wspaniałość przyrody prerii i piękno życia na niej. Za to, kiedy matka umarła i dostałem się pod opiekę krewnych, którzy ani trochę nie dbali o dopełnienie moich wiadomości i zostawili mi więcej swobody, przebywałem z Billym niemal bez przerwy. Billy – wychowywany w tej dziedzinie przez swego ojca niemal od pieluszek – wtajemniczył mnie przede wszystkim w arkana wybornego strzelania, zarówno z rusznicy, jak i z rewolweru. I wyobraź sobie, że w tym przedmiocie robiłem równie szybkie postępy, jak przedtem w szkole, tak że i tym razem nauczyciel, to jest Billy, miał ze mnie prawdziwą pociechę. Mając siedemnaście lat, z taką wprawą posługiwaliśmy się pukawkami, że mógłby nam niejeden ostrzelany (acz nie poprzestrzelany) rewolwerowiec pozazdrościć. Zawdzięczaliśmy to bardzo starannemu, choć osobliwemu treningowi. Jeden z naszych przyjaciół był konduktorem na miejscowej linii kolei żelaznej. Codziennie sadowiliśmy się z Billym przy nasypie i kiedy przelatywał ekspres, waliliśmy zapamiętane w okna, celując w kapelusze przerażonych pasażerów. Potem przeganialiśmy konno pociąg i czekaliśmy na najbliższej stacji na jego przyjazd. Tam nasz

przyjaciół konduktor zdawał relację, ile cylindrów, stetsonów i meloników zestrzeliliśmy, żebyśmy wiedzieli, czy nasze wyniki w porównaniu z poprzednimi dniami polepszyły się, czy pogorszyły. Niekiedy zastępowaliśmy kapelusze trudniejszymi tarczami, wytrącając podróżnym z ust cygara, fajki i smoczki. Wesołe to były chwile... Wiadomo – młodość to radość!!! Kiedy jednak moi krewni pod naciskiem pewnych okoliczności musieli się przenieść do środkowej Dakoty, a ja, będąc niepełnoletni, musiałem im towarzyszyć, nadeszła chwila rozstania z Billym. A jednak żegnaliśmy się tak, jakbyśmy za parę godzin znowu mieli się spotkać, bo byliśmy niezłomnie przekonani, że Wszechmogący złączył nasze losy pod znakiem jednej gwiazdy i że związku tego żadna ziemską siłą nie zdoła rozerwać.

Dakota! Surowa kraina, gdzie blada twarz czerwieniała na myśl o czerwonej, i odwrotnie. Surowa kraina, surowi ludzie. Jasne, że w takim środowisku szybko kiełkowało nasienie, zasiane przez lekcje strzelania na ranczu „Trzykroć odwrócony miękki w prostokątnym trójkacie równoramiennym”. Toteż gdy dorosłem, daleki byłem od drogi wytyczonej przez pobożne życzenia rodziców. Zarabiałem na życie jako łowca bizonów, zwiadowca rządowy, pomocnik szeryfa i tym podobnie. W końcu rzuciłem kotwicę w pewnym mieście na południu Wyoming, gdzie dostałem dobrze płatne i odpowiedzialne stanowisko zbrojnego konwojenta przesyłek pieniężnych w Pierwszym Banku Narodowym.

Na ziemiach Stanów żyją setki tysięcy dziewcząt, noszących proste, lecz miłe imię Mary. Ale przy MARY, w której się zakochałem, wszystkie inne Marysie bladły (tak mi się wówczas zdawało) niczym kozie bobki przy diamencie. Myślałem o niej bez ustanku, wciąż miałem ją przed oczami. Trupy grasujących na gościńcach i w pociągach bandytów, którym moje pistolety niemal codziennie wskazywały najkrótszą drogę na cmentarz obutych, wszystkie te trupy znaczone były czerwoną literą wypisaną na czole lub piersiach przez moje smith&wesson, ta bowiem skromna litera, przypominająca trochę wielbłąda, wyczarowywała w mej wyobraźni jej twarz. Ale, niestety, do miłości potrzeba dwojga! Mówię: niestety, bo Mary ani trochę nie odwzajemniała mych uczuć, lecz obdarzyła swą sympatią pana Habakuka Sheidlera, forsiastego właściciela knajpy Pod Rogiem Obfitości. Jej uporczywa obojętność przywiodła mnie do takiej rozpacz, że zacząłem – och, wstydzę się o tym mówić – zacząłem pić! Wlewałem w gardło istne wodospady ohydnej gorzalki z nadzieją, że wygnam z myśli jej obraz. Na próżno. Oprócz tego z przerażeniem zauważyłem, że z dnia na dzień tracę pewność ręki. Tak, często, bardzo często zdarzało się teraz, że tego czy innego łotra w masce trafiałem nie między oczy, ale trochę dalej, nad prawą albo lewą brwią. Ach, droga Winnifredo, do jakiego niewiarygodnego końca może doprowadzić rutynowanego strzelca obrzękły demon alkoholu! W końcu pojąłem, że jeśli nie chcę zwariować, muszę opuścić to przekleństwo, odzie nieczułość okrutnej



między opłakaną w przerażeniu matką, gdzie nieznajomo obrzydliwy Mary i szczęście Habakuka ćwiartowały, szpikowały i obracały me serce na ruszcie piekielnych mąk. Przeto pewnego ranka spakowałem rzeczy w węzełek, osiodłałem swą ukochaną klacz Giocondę (nazwaną tak od popularnego portretu najlepiej płaconego włoskiego malarza Leonarda da Vinci) i z rozdartym sercem odwróciłem się plecami do tego nieszczęsnego miasta. Wkrótce duszę moją ogarnął przedziwny spokój i usnąłem na kolebiącym grzbiecie rumaka, nie dbając, w jakim kierunku mnie niesie.

Kiedy się ocknąłem, słońce stało już wysoko na widnokrzęgu i smażyło mnie na patelni ziejącego żarem stepu niby kotlet. Straszliwe gorąco stwarzało doskonały pretekst, by uważnie zajrzeć do manierki napełnionej mocną wódką. Jej wyśmienite właściwości tak mnie wkrótce zainteresowały, że ust nie mogłem oderwać. Nagle ku memu przerażeniu Gioconda odwróciła łeb, spojrzała na mnie z wyrzutem i przemówiła ludzkim głosem: „Tak, tak, dogadź sobie, wstrętny pijanico! Wyciągniesz w końcu kopyta, jak je już wyciąga twój udany koleżka!“. Mówiąc to, znacząco zastrzygła uszami, po czym nie zwracała już na mnie uwagi. Całkiem zrozumiałe, że nie zachowywałem się w tej chwili naturalnie. Przeważenie sparaliżowało mi członki, manierka wypadła ze zdrtwiałej dłoni. Zesztywniałem cały jak mokra bielizna na mrozie, tak że nie byłem w stanie powodować koniem. W takim letargu dojechałem pod wieczór do jakiegoś miasta i wciąż niezdolny uczynić ruchu przejeżdżałem, a raczej byłem więziony ulicami. Gioconda bowiem, jakby prowadzona

Utyłem wieziony ułkami, Gioconda uwięzioną, jakoby prowadzona ręką samego losu, kroczyła z wolna, lecz bez wythnienia do nieznanego mi celu. W końcu zatrzymała się przed jakimś szynkiem, u którego drzwi i okien cisnął się milczący tłum gapiów; zachłannie wyciągali szyje, aby nie stracić nic z tego, co się działo wewnątrz.

W tej chwili zniknęła niezwykła drętwota mych członków. Zeskoczyłem z Giocondy, gnany okropnym przeczuciem, przedarłem się brutalnie przez tłum i wpadłem do szynku. Otoczony kręgiem milczących ponuro ludzi na zalanym wódką i krwią stole leżał jakiś mężczyzna. Twarz miał zsiniałą i zamknięte powieki. Podeszedłszy bliżej, poznałem – o, ja to przeczulem – Billa! Kiedy stanąłem przy jego głowie, otworzył oczy. Twarz mu się ożywiła – poznał mnie. Nie okazywał jednak zdziwienia, jakby był najzupełniej pewny, że przybędę. Dał mi znak, a ja nachyliłem się aż ku jego ustom. Wtedy słabym, ale wymownym gestem poprosił otaczających nas ludzi, aby się trochę odsunęli, po czym zaczął mówić gasnącym głosem:

„Ani przez chwilę nie wątpiłem, że przyjdiesz. Teraz umrę spokojnie, bo wiem, że krew moja, tak wstrętne rozrzedzona na tym stole wódką – o, przekłety alkohol, to on jest wszystkiemu winien! – że ta krew zostanie pomszczona. Słuchaj uważnie: życie szybko ze mnie ucieka, nie będę ci więc opowiadał, co się ze mną działo, nim przybyłem do tego miasta. Ponieważ poprzedzała mnie fama znakomitego strzelca, zostałem natychmiast zaangażowany przez tutejszy oddział Pierwszej

Banku Narodowego jako zbrojny konwojent przesyłek  
pieniężnych. Zakochałem się na śmierć w pięknej Nelly, córce  
miejscowego koronera. Początkowo wszystko zapowiadało się  
jak najlepiej. Sam zresztą powiedz: czy kto inny mógłby  
okazywać swą sympatię w tak oryginalny sposób? Kiedy  
na przykład leżała w cieniu rozłożystej czereśni, obsypanej  
dojrzałym owocem, zestrzeliwałem go z drzewa wprost do jej  
ust, w locie drelując kulką pestki. Już się zdawało, że dobiegnę  
do wymarzonej mety, gdy przybył do miasta czarno odziany,  
ulizany obieżyświat, a przy tym szuler.

Jego wygląd zewnętrzny i obrotny język tak podbiły serce  
dziewczyny, że na mnie nie zwracała już najmniejszej uwagi.  
Najpierw usiłowałem pozbyć się tej brudnej konkurencji tak,  
by nie splamić rąk krwią. Na przykład pewnego wieczoru  
zabłądziłem do uroczej dolinki w pobliżu miasta i kogóż tam  
ujrzałem – fircykowatego szulera, zawracającego Nelly  
w główce swą miłosną paplaniną! Jej zapłoniona buzia  
dowodziła, że bajdurzenie tego uwodziciela wcale nie wydaje jej  
się tak idiotyczne jak mnie, skrytemu w gąszczu krzaków. W tej  
chwili przyleciał śliczny dudek i bujając się na gałązce nad  
ramieniem galanta, nastroszył rozkosznie czubek. Mój rywal,  
dostrzegłszy ptaszka, zawołał kokieteryjnie:

«A teraz będziemy podziwiać dudka!».

Ale, gdy wypowiadał ostatnie słowo, wyciągnąłem kolta

i wypaliłem bez namysłu. Tym sposobem odstrzeliłem łądakowi od ust pierwszą jego zgłoskę, więc okrzyk, którym chciał zwrócić uwagę na żartobliwe zachowanie się stworzonka, nabrał innego sensu. Dziewczyna mogła pomyśleć, że chce ją wprawić w zmieszanie, mówiąc o jej wdziękach. Ale nawet ten mistrzowski wyczyn nic nie pomógł. Wymowność tego węża i jego wielkoświatowe manieri zwyciężyły. Wtedy zacząłem pić, pić dniem i nocą, bez przerwy! Jasne, że z każdą szklanką znikala pewność mej ręki. Toteż wkrótce doszło do katastrofy.

Któregoś wieczoru wszedłem do szulerni Goddała, gdzie mój rywal przy faraonie trzymał akurat bank. Muszę, niestety, powiedzieć, że miałem wtedy (jak też, niestety, nie tylko wtedy) dobrze w czubie. I nagle padłem ofiarą delirycznej halucynacji – zobaczyłem nie jednego, ale dwóch elegantów, bliźniaków.

„Sprowadził na mnie brata – pomyślałem. – Nie szkodzi! I tak mu rozbiję nie tylko bank, ale i gębę!”. Do awantury doszło od razu, jak tylko ten typ zaczął rozdawać karty. Zaprotestowałem, aby robiło to dwóch naraz, zwłaszcza że łączy ich tak bliskie pokrewieństwo. Od słowa do słowa, aż wreszcie mój kolt i derringer szulera wyskoczyły z kabur. Ja oczywiście byłem szybszy, ale zdecydowałem się strzelić najpierw do tego z lewej strony, bo mi się wydawał niebezpieczniejszy. Niestety, strzeliłem do niematerialnej zjawy, czyli – w powietrze. Nim jednak zdołałem oddać drugi strzał, karciarz naszpikował mnie trochę ołowiem ze swej rozkosznej zabawki i tym sposobem

na dobre wyeliminował ze współzawodnictwa o Nelly. Łotr natychmiast wziął nogi za pas i nie wierzę, żeby się jeszcze znajdował w mieście. Gdybym chciał, mogłem umrzeć już godzinę temu. Ale ja czekałem na ciebie, bo ty musisz mnie pomścić. Ten typek jest bladej, szczupły, ma czarne włosy i oczy, orli nos i mówi z wyraźnym południowym akcentem. Wiem, że wiele ci to nie powie, ale nie wysilam się na dokładny portret, bo mogę ci podać znak szczególny, po którym poznasz go lepiej, niż gdybyś miał jego fotografię: chociaż nie jest mańkutem, cygare zawsze trzyma w lewej ręce i zawsze między serdecznym a małym palcem!”

Tu Billy umilkł, nie mając siły mówić dłużej.

Droga Winnifredo, to jest właśnie ta przysięga, która nie pozwala mi na twoje słodkie pytanie, kiedy weźmiemy ślub, odpowiedzieć upragnionymi słowami: Choćby jutro, kochanie! Tak, najdroższa, u śmiertelnego łoża, a raczej ściślej mówiąc, u śmiertelnego stołu przyjaciela przysięgłem, że nie spocznę, póki krwią wroga nie okupię spokoju jego duszy. Jedyne w ten sposób mogłem odejście Billa do krainy cieni uczynić lżejszym. Ręka Śmierci, tego straszliwego rzeźbiarza, złobiła w zsiniałej twarzy wyraźne rysy zaniku. Wtem Billy jeszcze raz otworzył usta, ale głos już tylko wionął, jak podziemny wietrzyk na łąkach Asfodelu.

„Joe — szepnął — wiesz przecież, czego kiedyś potrafiłem

dokazać pukawką; a widzisz, skończyło się tym, że ginę z ręki jakiegoś durnia, który może nie jest godny butów mi czyścić. Ale to się nie mogło skończyć inaczej... tyle piłem! Jeżeli ty chcesz oglądać świat tylko przez dno kieliszka – nie, nie zaprzeczaj, twój oddech wyraźnie o tym świadczy – to od razu kup sobie na cmentarzu jakieś ładne i suche miejsce, gdzie złożą twój podziurawiony szkielet. Ale jeśli chcesz dotrzymać przysięgi i odstawić duszę tego łajdaka do składu firmy Belzebub i S-ka, to strzeż się alkoholu, bo inaczej będę się przewracał w trumnie, jakbym się przejadł pieczoną gęsią!”

Na jego twarzy odbił się głęboki ból, bo uświadomił sobie, że nigdy już nie skosztuje tej wspaniałej strawy, a ja złożyłem jeszcze jedną przysięgę: nie wezmę do ust ani kropli alkoholu, dopóki nie nakarmię jego mordercy taką porcją ołowiu, że nie będzie mógł jej zapić niczym innym, tylko własną czarną krwią. Gdy to mówiłem, Billy zapadał już w śmiertelny sen, a słowa mej przysięgi rozbrzmiewały w jego uszach spoza coraz gęstszej zasłony nieświadomości jak słodka kołysanka. Umarł z uśmiechem na ustach, bosy, to znaczy tak, jak umiera nieustraszony i przyzwoity mężczyzna. Lecz Ten, który tak ściśle związał nasze losy, iż stały się one podobne w najdrobniejszych szczegółach, bez wątpienia życzył sobie, by związek ów przetrwał aż za grób, bo chcąc mi pomóc w dotrzymaniu przysięgi, postawił na mej drodze butelkę lemoniady Kolakoka, która szybko przywróciła mej ręce i umysłowi pewność i opanowanie. Ale to już inna historia... Tak, kochanie, teraz

wiesz wszystko!

Na pewno potraficie sobie wyobrazić, jakie ta wzruszająca, ba, wstrząsająca spowiedź wywarła wrażenie na córce dziennikarza. Tak, zgadliście! Panna Winnifreda istotnie przez kilka chwil nie była w stanie wymówić słowa. Jedynie wielka łza niby perła z Baśni tysiąca i jednej nocy ukazała się w jej oku, chwilę karkołomnie balansowała na rzęsach, a potem spadła na falujący kaftanik. W końcu jednak mężna dziewczyna, bohatercko pokonując wzruszenie, wyszeptała:

– A więc idź swoją drogą, miły! Będę na ciebie czekała, dopóki nie spełnisz przysięgi!

Spiętrzona fala uczucia zalała rewolwerowca od stóp do głów. Zerwał się gwałtownie i wyrzwał głową o daszek kuchni, aż echo poszło. Winnifreda wstała również, ale ponieważ była niższa, nic jej się nie stało. Dusze ich zespoliły się w upajającym pocałunku...

Oślepiane ciemnością gwiazdy lśniły matowo, a na czole Lemoniadowego szybko rósł wielki guz...

Miłość jest nie tylko ślepa, ale i głucha. Inaczej Joemu nie uszedłby podejrzany szelest, dobiegający spod pobliskiego namiotu. Ponieważ jednak, jak już powiedzieliśmy, miłość głucha jest jak pień, Joe nic nie słyszał. Prosimy jednak miłego czytelnika, aby ten podejrzany odgłos dobrze zapamiętał. Nie

chodzi tu bowiem o byle jaki szelest, lecz o szelest mający doniosłe znaczenie dla naszej historii...

## SYTUACJA SIĘ WYJAŚNIA WKRACZA MAGIK

Grakchus Podloc, redaktor i wydawca „Fortmahońskiego Herolda”, z satysfakcją żuł trzecie tego dnia cygaro. Bądź co bądź udało mu się zdobyć sensację nie tylko na dziś, lecz także szereg kolejnych dni, jako że obrona kingsleyowskiego dylizansu przez dwu reprezentantów strzeleckiej ekstraklasy stanowiła kąsek zbyt tłusty, by mógł go strawić pojedynczy czterokolumnowy numer „Herolda”. Jeszcze czego! Takiego jesiotra wyssać trzeba do ostatniej ości! Każdy okruch się nada, nim wybuchnie w całej pełni sezon ogórkowy i pan Podloc uzna się zmuszonym nawiązać najbliższą współpracę z niezastąpionym podręcznikiem profesora O.K. Donkeypumpa: COŚ TAKIEGO! SKARBNIKA WSZYSTKIEGO, dzięki któremu szpały „Herolda” wypełnią tak wstrząsające kwestie, jak: Z ilu kamiennych bloków składa się Chiński Mur? lub: Ile sekund liczy przestępny rok świetlny? i tak dalej. Z tych to przyczyn opracował pan Grakchus Podloc dylizansową sensację naprawdę szczegółowo. Każdy z uczestników musiał przejść krzyżowy ogień prowadzonego przezeń wywiadu, co pogorszyło skądinąd stan rannych. Porzućmy jednak perłę fortmahońskiego dziennikarstwa i spójrzmy raczej, co porabia jeden z jej ostatnich informatorów. A zatem – miast sycić się wizją



informowanej perły (rzecz jasna, chodzi o pana Podloca), wstąpmy do baru Pod Wyrżniętym Apaczem. Znajdziemy tam przy szynkwasię profesora Darę Shikoha, który obracając między palcami zdrowej dłoni opróżniony kieliszek, z uwagą słuchał, co półgłosem mówił pan Greenwood. Obandażowani byli obaj dżentelmeni nieco solidniej, niż to się zdarza po zacięciu w palec przy szatkowaniu cebuli, lecz – wyjąwszy skutki wywiadu Podloca – prezentowali się już nieźle.

Wreszcie Horacy umilkł. Magik jeszcze go o coś zapytał i otrzymał jakąś odpowiedź, lecz ostatnie pytanie pozostało już bez odpowiedzi. Karciarz spojrział przez drzwi baru na przeciwległy chodnik, nie dbając o to, co mówi długopalcy. Potem skinął mu na pożegnanie, właściwym sobie światowym gestem przyklepał cylinder i nie mniej światowym krokiem opuścił bar. „Dżentelmen w każdym calu” – wycodził Dara Shikoh przez zęby, spoglądając za nim. A zęby miał tak dziurawe, że cedzenie przyszło mu bez żadnego trudu.

Po małej chwili do baru wszedł Lemoniadowy Joe... Krokami rewolwerowca towarzyszyła cisza, choć fama jego wyczynów rozeszła się tymczasem po całym mieście, wyprzedzając, niestety, o pół dnia dodatek nadzwyczajny „Fortmahońskiego Herolda”. Na widok gibkiej postaci strzelca milkły i najzawziętsze gaduły, a głowy obecnych wykonywały obrót, na jaki tylko zezwalał przyrodzony mechanizm ich karków. W tej chwili jednak Wyrżnięty Apacz ział, by tak rzec, pustką,

ponieważ wszyscy mieszczanie i wałkonie tłoczyli się właśnie w saloonie Harrimana wokół Wyatta Earpa, który był tylko nieco mniej oblegany niż Lemoniadowy Joe. Ten ostatni jednak, jak wkrótce ujrzymy, spędzał czas na zajęciu ważniejszym od zadziwiania fortmahońskich darmożjadów relacją z wczorajszych zawodów strzeleckich. A zatem, gdy nasz rewolwerowiec wkroczył do baru, znalazł tam prócz pana Dary Shikoha i meksykańskiego kelnera tylko jakiegoś kowboja w całkiem seryjnym typie, do którego zaliczały się i nogi, zagięte w przesadnie wykręcony inicjał „O”. Joe podszedł do szynkwasu i zamówił lemoniadę Kolakoka. Meksykanin, który z miejsca poznał, z kim ma zaszczyt, zwinął się dosłownie z bolesnego zmieszania.

– No, señor. Lemoniady Kolakoka nie mamy na składzie.

A zwinął się jeszcze bardziej, gdy zebrawszy w sobie całą odwagę i spojrzawszy Joemu w twarz, nie ujrzał tam nic ponad przygnębiającą mieszankę wzdargy i żalu. Strzelec oznajmił, że wobec tego zadowoli się mlekiem. Kiedy znalazła się przed nim szklanka zamówionego napoju, oparł się łokciami o ladę i nachylił do kelnera, któremu unizony szacunek zgiął plecy w kabląk, a ciekawość zwinęła ucho w trąbkę. Jeżeli sądził, że słynny strzelec zwierzy mu jakąś straszliwą tajemnicę, musiał być ogromnie rozczarowany. Sami zresztą zrozumiemy to rozczarowanie, gdy usłyszymy pytania strzelca.

– Długo tu już jesteście?

– No, tak ze sześć godzin, señor.

– Myślę, żeście mnie nie zrozumieli. Pytam, jak długo tu, Pod Wyrzniętym Apaczem, pracujecie w swoim bezspornie szlachetnym zawodzie?

– Trzy lata, señor!

– Wybornie, niezwykle bystry z was chłopak. Hm, a dobrze patrzycie ludziom na ręce?

– Tak, señor. Dobrze zauważyłem, że przeważająca większość klientów naszego baru ma u każdej ręki pięć palców, czyli że na każdego przypada, biorąc pod uwagę liczbę rąk, dziesięć palców!

– Świetnie, chłopcze, bajecznie! Widzę, że jesteście nie tylko bystry, ale i wykształceni. I macie wspaniałe zdolności obserwacyjne, a takiego właśnie człowieka potrzebuję! Nie widzieliście przypadkiem jakiegoś jegomościa, karciarza, który trzymałby cygaro w bardzo szczególny sposób, tak, w bardzo niezwykły sposób? Nie trzymał go przypadkiem w lewym ręku, między małym a serdecznym palcem?

Biedny Joe stawiał to pytanie już od kilku lat, niemal codziennie, a niekiedy i kilka razy na dzień, kelnerom, rewolwerowcom i kowbojom, ale dotychczas zawsze otrzymywał odpowiedź

i kowbojom, ale dotychczas zawsze użyłszywał odpowiedz przeczącą. Tym razem też nie powiodło mu się lepiej, bo bystry Meksykanin, po kilkuminutowym intensywnym zastanawianiu się, potrząsnął z ubolewaniem głową i odparł:

– No, señor!

Pan Dara Shikoh stał w pobliżu Joego. W chwili kiedy twarz strzelca przesłonił kir rozczarowania, magik podszedł i spojrzał mu w oczy. Następnie niesłychanie powolnym i godnym ruchem wyjął z kieszeni na piersiach tanie cygareto, odgryzł i wypłuł czubek, nieopisanie dostojnym gestem potarł zapalnik o zelowkę i zapalił cygareto z powagą kapłana otwierającego święte misteria eleuzyjskie. Wypuścił przez fantastycznie zakrzywiony nos obłok gęstego dymu, za którego nieprzeniknioną zasłoną skryła się jego szatańska twarz. Iście piekielny fetor rozszedł się dokoła, tak że Joe, ze zdumieniem obserwujący czarodzieja, uczył, że jest bliski omdlenia. Wtem obłok przemówił:

– Ja znam tego człowieka!

## MAGIK PUSZCZA FARBE

Machnięciem ręki pan Dara Shikoh rozproszył smrodliwą chmurę i odsłoniwszy w ten sposób twarz, ciągnął spokojnie:

– Tak, znam tego człowieka. Ale niech mi pan wybaczy, że się odzywam niepytany.

Zrobił przeproszającą minę, chcąc znowu usunąć się na bok, by z niepojętą perwersją nadal rozkoszować się ohydnyim cygarem. Lecz żelazna dłoń, która spadła na jego ramię, uniemożliwiła ten zamiar.

Rewolwerowiec daremnie usiłował ukryć wzruszenie. Piersь wzdymała mu się niczym miech kowalski, a powietrze z taką siłą wydobywało się przez nozdrza, że końce krawatki drżały przy każdym wydechu.

– Niech pan mówi – wysapał glucho, miotając z oczu snopy iskier. Pan Dara Shikoh przelknął głośno ślinę, zdetonowany dzikim wyglądem strzelca. Zebrał jednak całą swą odwagę, tak że udało mu się przemówić suchym, rzeczowym tonem.

– Proszę bardzo – powiedział. – Cieszę się, że mogę się panu jakoś przysłużyć. No więc, tego człowieka spotkałem ze trzy tygodnie temu w Buffało. To taki elegancki, szczupły jegomość, tak?

– Tak. Dalej. Co dalej?

– No więc, grałem z nim partię chuck-a-lucka w zakładzie Hara... nie, to chyba było w hotelu Union... albo raczej...

– Ech, mniejsza z tym! Co dalej! Jak się nazywał?

– No. oczywiście. to było u Hara. Od razu zauważyłem iak

ekstrawagancko trzyma cygaro. Przedstawił się... Hmm, jak on się przedstawił?...

Szklanka, ściskana w ręku strzelca torturowanego tak wyrafinowanie, rozprysnęła się, zdradzając jego straszliwe duchowe napięcie. Jego krew zmieszała się z krowim mlekiem. Magik, przesłoniwszy oczy dłonią, wytrwale koncentrował niewierną pamięć na zapomnianym nazwisku. Raptem podniósł głowę i zawołał radośnie:

– Na pępek Cagliostro! A od czegoż natura obdarzyła mnie cudownymi zdolnościami? Nie na darmo chyba płaciłem takse egzaminacyjną w kalkuckim ośrodku wiedzy tajemnej?

Z tymi słowy wyciągnął spod poły surduta kryształową kulę i przysunąwszy ją pod sam nos, począł straszliwie mrugać, przy czym jego krzaczaste brwi skręcały się i zwijały jak dwie czarne pijawki.

– To wprawdzie mały, podróźny format – mrucał, wwiercając smoliste spojrzenie w kryształ – ale na nasze potrzeby wystarczy... Mam! – Wzniósł zwycięsko ogromny nos, zdumiewająca kula zaś zniknęła w głębinach surduta. – Hatfield... Nazywał się Hatfield. Przynajmniej mówił, że tak się nazywa... – dodał przezornie. – Sądzę – ciągnął, ruchem ręki powstrzymując wybuch podziękowań rewolwerowca – że będę mógł powiedzieć, gdzie się teraz znajduje.

Tu profesor Dara Shikoh umilkł i wolno, okropnie wolno strząsał szary słupek popiołu z cygara. Joe mało nie pękł z niecierpliwości. Rozumie się, że jego niepokój utrudniał samarytańskie czynności usłużnego kelnera, który natychmiast przyniósł rolkę gojącego plastra i teraz bandażował krwawiącą dłoń strzelca. W końcu jednak magik strząsnął popiół i wsadziwszy cygaro w lewy kącik ust, podjął życzliwie:

– Hm, no więc ten pan... powiedziałem Hatfield, prawda? Więc pan Hatfield zwierzył mi się wtedy, że ma zamiar jak najszybciej spróbować szczęścia w Tombstone. Nie znam tego miasta, ale jak słyszałem, dla dżentelmenów jego zawodu to wymarzona miejscowość.

– Bez wątpienia – uśmiechnął się Joe łagodnie, teraz bowiem, kiedy już wiedział wszystko, był w znakomitym nastroju. Tombstone, niedawno założona osada górnicza, zaćmiło w tym roku swą krwawą sławą nawet najpiekniejsze miasta Zachodu. Całkiem naturalne, że człowiek pokroju Hatfielda postanowił odwiedzić Tombstone, gdzie przez karciane stoliki przepływały rzeki złota, często czerwone od krwi.

Joe przymknął oczy. Jego myśli, opuściwszy nieprzytulny szynk Pod Wyrżniętym Apaczem, poszybowały ku dwu tak mu drogim duszom, z których jedna przebywała na tym, a druga na tamtym świecie. Winnifreda i przyjaciel Bill... Już niezadługo, już tylko natrzeć. kochany chłonce. iak wrócisz do niej. bo wreszcie

...pomścisz jego śmierć. Koniec miesiącom i latom uganiania bez chwili odpoczynku, koniec smutnemu życiu samotnego wilka. Przyszło to tak nagle, nie dziw się więc, miły czytelniku, że nasz bohater trochę zboczył z toru pomnikowego spokoju, którego spiż mogła roztrzaskać tylko miłość (jak to już zresztą widzieliśmy) albo radość z opisanego wyżej odkrycia. Wreszcie krew w jego żyłach krążyła spokojniej! Chwycił profesora serdecznie za ramiona i wykrzyknął:

– Jak mam pana wynagrodzić, szlachetny człowieku?

Pan Dara Shikoh, czyniąc odmowny gest, aż zgiął się w pół z istic wschodnią uprzejmością, której trochę się napatrzył w chińskiej dzielnicy rodzimego San Francisco.

– Pańska radość jest dla mnie największą nagrodą – wymamrotał słodko, kłaniając się z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uzupełniając w ten sposób swój stylowy wschodni numer. Lecz Joe, pragnąc gorąco odwdziżyć się mu natychmiast za cenne wskazówki, chociażby jakąś drobnostką, wyjął pudełeczko swych ulubionych pastylek owocowych i z uśmiechem poczęstował magika. Ten naturalnie nie pogardził nimi i odłożywszy cygaro, począł chrupać cukierki z takim zapalem, aż mu wąsy falowały, jakby wstrząsane trzęsieniem ziemi.

– Kelner, kiedy odchodzi dyliżans do Lordsburga? – zwrócił się



Joe do Meksykanina, który z otwartymi ustami obserwował to zdumiewające zjawisko. Młodzian zamrugał zaskoczony, jakby słowa Joego wyrwały go z jakiegoś fantastycznego snu, po czym szczęśliwy, że może przysłużyć się słynnemu strzelcowi chociaż zwykłą informacją, powiedział skwapliwie:

– Jutro rano koło ósmej, señor!

– To się świetnie składa. Pojutrze będę w Lordsburgu... Tak, a za cztery dni jestem w Tombstone.

Pan Dara Shikoh ożywił się nagle.

– Ależ to cudownie! – zapiszczał, przewracając z zachwytem oczami. – Mam w kieszeni list do mego przyjaciela w Tombstone, a bardzo mi zależy, żeby był oddany jemu bezpośrednio. To bardzo poufny list, nie może się dostać w niepowołane ręce. No, strzelcze, jeśli naprawdę chce mi pan jakoś pomóc, to proszę o doręczenie tego listu; pańska osoba jest dla mnie najlepszą gwarancją, że wszystko będzie w porządku.

Kiedy Joe wydał kilka nieartykułowanych okrzyków na znak, że z entuzjazmem się zgadza, pan Dara Shikoh sięgnął do kieszeni na piersiach, wyjął stamtąd białą kopertę i podał rewolwerowcowi. Joe mimo woli rzucił okiem na adres i brwi podskoczyły mu ze zdumienia.

– Doc Holliday! – wykrzyknął.

– Pan go zna? – spytał szybko magik. Źrenice mu się zwężyły.

– Nie, słyszałem o nim tylko – odparł Joe, nie spuszczać wzroku z nazwiska słynnego strzelca. – Opowiadano mi o nim w Dodge. Jakiś czas tam przebywał. Świetnie włada pistoletami, ale podobno zbyt często po nie sięga.

– Wiedz pan, rewolwerowcze – podjął Dara Shikoh – że mogłem ten list powierzyć Wyattowi Earpowi, który też jedzie do Tombstone i jest przyjacielem Doca – ale wołałem panu. Niech pan odda ten list tylko Hollidayowi, nikomu innemu; znajdzie go pan na pewno w saloonie Boba Hacha.

– Może pan na mnie polegać, profesorze – uśmiechnął się Joe, wsuwając ostrożnie list do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Zapewniam pana, że...

Jupiiii! Juhuuuu! Bach! Tatata!!! Bach!

Skądś z drugiego końca ulicy zbliżał się, nie, leciał z szybkością huraganu straszliwy ryk. Jakby brygada medyków z pierwszego roku operowała bez narkozy stado kojotów. Mieszał się z tym trzask wystrzałów i wściekły werbel końskich kopyt... Wichura uciszyła się tuż przed Wyrzniętym Apaczem. Brutalnie ściągnięte konie rżały, tańcząc na zadnich nogach; dzwonienie strzemion,

stłumione przez warstwę pyłu uderzenia wysokich obcasów zeskakujących ludzi, poklepywanie dłonią o spocone końskie szyje, ostre głosy, splunięcia, hiszpańskie przekleństwa... Drzwi otwały się gwałtownie i do baru wszedł smukły, jasnowłosy chłopak. W dziurce od guzika kurtki miał bukietik preriowych kwiatów.

Twarz Meksykanina spopieliała, oczy wyszły z orbit. Bezkrwiste wargi szeptały:

– El Chivato! Billy Kid!

## DRAPIEŻNE I PUSTE FIGLE MORDERCZEGO SMARKACZA

Za eleganckim młodzieńcem weszło siedmiu czy ośmiu ogorzałych mężczyzn ubranych po kowbojsku, z szerokimi chaparreras objijającymi się przy każdym kroku o łydki, bez kurtek, jedynie w rozpiętych kamizelkach, w stetsonach na głowach lub zwisających na plecach. Nadgarstki niektórych z nich opinały skórzane mankiety, wszyscy zaś u wytartych pasów mieli sześciostrzałowce.

Joe dużo słyszał o tym dziewiętnastoletnim desperado, mimo to w dalszym ciągu zachowywał się spokojnie i niewymuszenie. Tak samo zachowywał się krzywonogi kowboj. Za to na magiku imponujące efekty dźwiękowe, którymi przybysze oznajmili swoją wizytę, zrobiły takie wrażenie, a potem tak się wystraszył

na ich widok, że cygaro mu zgasło, a on wcale tego nie zauważył. A to już coś znaczyło!

Bar rozbrzmiewał głośną gadaniną kompanów Kida, on sam jednak mówił bardzo cicho i mało. Lemoniadowy, chrupiąc leniwie ulubione cukierki, obserwował spod oka tego jasnowłosego chłopca; był niewysoki – miał zaledwie sześć stóp wzrostu – o jasnobrażowych, dość długich włosach, szarych oczach, smagłej twarzy. Na pierwszy rzut oka wyglądał wątłe, ale zaraz można się było zorientować, że to tylko pozory. To początkowe wrażenie sprawiały chłopięce rysy twarzy, wąska talia i biodra, szczupłe ramiona i niezwykle małe ręce i nogi, raczej nogi tancerza niż kowboja (dziewczęta z Fort Summer oddałyby wszystko za jeden jedyny taniec z tym lekkonogim chłopakiem!). Ale pierś jego była szeroka i silnie sklepiona, a barki prawdziwie męskie. Ubrany był skromnie, ale starannie. W przeciwieństwie do swych kamratów nosił kurtkę, kamizelkę miał przynajmniej na kilka guzików zapiętą, spodnie bez nieodzownych ochronnych chaparreras, tylko ze skórzanym lamowaniem nogawic. A przecież kilka szczegółów zdradzało jego fircykowate upodobania. Jasnoczerwona, starannie zawiązana chustka na szyi, bielusiński stetson, koszula, której błękit (ulubiona przez kowbojów barwa koszul) był nieco za żywy, buty z miękkiej skóry na bardzo wysokich obcasach, wreszcie bukiet kwiatków – wszystko to świadczyło, że troskliwie dba o swój wygląd. Łagodny ton głosu, uprzejmy wyraz twarzy, powściągliwe zachowanie chłopaka wywierały

bardzo miłe wrażenie na każdym, kto na niego spojrzał, tak że i wylęknięty magik w końcu się uspokoił.

Ale było w nim coś złego, jakiś ledwo dostrzegalny, lecz odstręczający cień, który kaził niewątpliwie sympatyczną postać. Joe przyjrzał się młodzieńcowi uważniej i natychmiast odkrył przyczynę tego nieprzyjemnego uczucia. Przednie zęby Kida, trochę krzywe, unosiły lekko górną wargę, która przy najbliższym nawet uśmiechu obnażała je jak wilcze kły. I to zimne, dziwne nieruchome spojrzenie szarych źrenic!

Nagle zdarzyło się coś niezwykłego.

Gdy Billy Kid popijał, cicho żartując z kolegami, krzywonogi kowboj odwrócił się od szynkwasu i kołyszącym się krokiem ruszył ku drzwiom, zapalając papierosa. Źrenice Kida zwęziły się. Nie spuszczać oczu z mijającego go właśnie kowboja, sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął stamtąd szczyptę tytoniu i żółtą bibułkę. Nagle dwoma lekkimi krokami dopadł kowboja. Dotknął jego ramienia prawą ręką, podczas gdy lewa niezwykle zręcznie skręcała papierosa, złotego meksykańskiego papierosa. Kowboj odwrócił się zdziwiony.

– Jak się nazywacie, Tekszańczyku? – spytał Kid cichym, miękkim głosem.

Kowboj nie miał ochoty odpowiadać, ale spojrzenie szarych oczu rozwiązało mu język

OCZU ROZWIĄZAŁ MU JĘZYK.

– Bennet Howell.

– A dla kogo pracujecie?

– Dla Johna Chisuma.

Kid przypatrywał mu się uporczywie, niesłuchanie wolno śliniąc zwiniętą bibułkę. Papieros był gotowy, żółty meksykański papieros.

– Masz pecha, przyjacielu – powiedział Kid cicho, wyszarpnął pistolet z kabury i strzelił Howellowi prosto w pierś. – Wiecie przecież, że nie lubię Chisuma – dodał, zwracając się do swych kamratów, jakby się usprawiedliwiał. Schował pistolet, podszedł do szynkwasu i poprosił o ogień.

Bestia zrzuciła jagnięcą skórę i zaryczała...

William H. Bonney, alias Antrim, przez Amerykanów nazywany Kid, przez Meksykanów El Chivato (co w obu wypadkach znaczy Brzdąc), urodzony nowojorczyk, przybył z rodzicami na Zachód jeszcze jako dziecko. Pierwszego człowieka zastrzelił, mając dwanaście lat. Zanim się zjawił w Lincoln, miał na swoim sumieniu już około dwunastu ludzi, ale dopiero Lincoln położyło podwaliny pod jego sławę. W miasteczku tym toczyła się zaciepka walka między dwoma potężnymi przeciwnikami. Od czasu do czasu na obu stronach padały trupy, aż wreszcie

Od czasu do czasu po obu stronach padły trupy, aż wreszcie rozgorzała bitwa uliczna, regularna bitwa trwająca trzy dni, która pochłonęła tyle ofiar w obu obozach, iż zdawało się, że walka pozostanie nierozstrzygnięta. W końcu przeciwnicy obozu, do którego należał Bonney, otoczyli i podpaliли dom ich szefa. Gdy zaczęły się walić krokwie, przyjaciele Kida jeden po drugim wybiegali z budynku. Wybito ich jak zające. Wreszcie i Kid przeleciał tą ognistą ulicą, zostawiając sobie jeszcze tyle czasu, aby przedziurawić kulami kilku skrytobójców. Nawet niezadrażnięty zniknął w ciemności. Przywódcy obu stron zamknęli na zawsze oczy, ale lincolńska wendeta trwała nadal. Zwłaszcza Kid gorliwie się starał, aby nie wygasła. Na stolcu gubernatora Nowego Meksyku siedział wówczas mąż wybitny, generał Lew Wallace, autor znakomitej powieści humorystycznej Jak sobie mały Jaś wyobraża starożytny Rzym, bardziej znanej pod tytułem Ben Hur. Gubernatorowi-literatowi tak dojadły wiadomości o panoszeniu się Kida, że wybrał się z Santa Fe, gdzie rezydował, do Lincoln, aby przemówić rewolwerowcowi do rozumu. Ale i ojcowskie perswazje Wallace'a nie pomogły. Kid nadal kradł bydło, nie oszczędzając nawet stada swego byłego protektora Johna Chisuma, nadal mordował: w otwartej walce, z zasadzki i z konieczności – częściej jednak dlatego, że mu to sprawiało rozkosz. Stał się bożyszczem Meksykanek i białych dziewcząt, wobec kobiet bowiem zachowywał się zawsze jak prawdziwy caballero... Taki był Billy Kid.

Wróćmy jednak do Wyrzniętego Apacza. Towarzysze Kida odebrali tuż po Hovella i pokłóżyli go na kilku krzesłach

ociekającą upa nowela i porzucił go na kilku kieszkał w najdalszym kącie, przykrywszy nieruchomą twarz stetsonem. Nie grzeszyli wprawdzie delikatnością, ale nie było im miłe uczucie, że nieboszczyk okiem w słup wpatruje się w nich z podłogi. Pan Dara Shikoh ledwo się trzymał na nogach, a musimy przyznać, że i Joe czuł się trochę nieswojo, bo diabelsko zimna perwersyjność tego morderstwa wywarła na nim głębokie wrażenie. Nie znaczy to, żeby kielkowało w nim coś podobnego do strachu. Boże broń! Ale nieuzasadnione okrucieństwo Kida wstrząsnęła jego sercem, oczywiście w najmniejszym stopniu nie osłabiając słynącego szeroko męstwa, w które zresztą nie wątpimy.

W pewnej chwili magik pociągnął naszego bohatera nieznacznie za łokieć i wysyczał cichutko kącikiem ust:

– Może byśmy się stąd ulotnili?

Lecz Joe wziął szklankę z mlekiem, drugą szklankę, którą zamówił jeszcze przed przyjściem Kida, i nie poruszywszy głową, odpowiedział w ten sam sposób:

– Teraz nie można! – po czym uniósł do ust szklankę z białym napojem; jego dobroczynne działanie miało przywrócić nerwom potrzebny spokój...

Trach! Szklanka rozprysła się, a mleko chlusnęło na brodę rewolwerowca, ilustrując pewne przysłowie, w tym wypadku



niemające absolutnie żadnego uzasadnienia. Joe odwrócił nieco głowę i ujrzał, że jeden z kompanów Kida, czerwonogęby chłop z ogromnymi obwisłymi wąsami, bawi się dymiącym jeszcze sześciostrzałowcem. Odwrócił się w stronę szynkwasu i zauważył spokojnie:

– No, tego mleka już chyba nie wypiję. Hej, kelner, jeszcze jedno mleko! Za tę szklankę płaci tamten pan! – wskazał palcem wąsacza.

Wszyscy umilkli. Kid postawił kieliszek, który właśnie niósł do ust, i z zaciekawieniem spojrział na Joego. Lekki uśmiezek obnażył jego wilcze kły. Bandyta zaśmiał się, a raczej mówiąc dokładniej, zarechotał.

– Ma rację, panie nieznajomy, tego mleka już pan nie wypije. Nikt nie śmie splamić obecności Billy’ego Kida jakąś ohydną lurą, która dobra jest najwyżej dla niemowlaków. I to też nie wiadomo!

– Święta prawda – zawołał Joe – całkowicie się z wami zgadzam. Mleka rzeczywiście nie można nazwać napojem przyzwoitym. Piję wyłącznie lemoniadę Kolakoka, ale zdaje się, że w tej dziurze nikt jeszcze o niej nie słyszał.

– Pierwsza runda dla obcego – wtrącił sucho Billy Kid, nie przestając szczerzyć w uśmiechu kłów.

Będzie bardzo twarzowo, gdy głowę bandyty porównamy do łba byka, patrzącego na purpurową chustę toreadora. Chustą tą była odpowiedź Joego, niewinną zaś uwagę Kida uznać możemy za ten budzący wściekłość, zdobny we wstążki dzirynt, jaki wbija dłoń banderillera.

– Do diabła z lemoniadą, nieznajomy – wycharczał napastnik – przepijcie teraz do Billy’ego Kida, i przepijcie kieliszkiem gorzalki!

– Żałuję, ale pańską uprzejmą propozycję muszę, niestety, odrzucić. Z zasady nie piję alkoholu, bo uważam, że jest wyjątkowo szkodliwy dla zdrowia. Ale, ale, żebyśmy nie odeszli od tematu – zdaje się, że zapomniał pan zapłacić za tę rozbitą szklankę – zamachał szkarłatną chustą Don José.

– Druga runda dla obcego! – wbił nowy dzirynt banderillero El Chivato.

Nie byłoby zgodne z prawdą, gdybyśmy rzekli, iż wąsaty byk jął grzebać kopytem. Nie zrobił tego, bo nie miał kopyta. Za to skierował wylot swej czterdziestki czwórki w stronę płuc Joego i wyciągnął doń rękę z kieliszkiem.

– Jakem Dave Rudabaugh, nie widzę żadnych przeszkód, żebyś pan wypił ten kieliszek.

– Zaraz zobaczy pan tę przeszkodę! – odparł Joe.

Jakby cudem w prawicy naszego bohatera znalazł się groźny smith&wesson. A nie tylko się znalazł, lecz także zagrzniał – kula trafiła w kolbę rewolweru bandyty i przekręciła mu go w rękę o osiemdziesiąt stopni, akurat w momencie, gdy naciskał spust. Dzięki temu strzał desperado padł w zupełnie inną stronę i z takim impetem roztrzaskał szklankę, którą Rudabaugh trzymał w ręce, że whisky chlusnęła mu na zjeżone zdumieniem wąsy.

– Zwycięstwo jest pańskie, mi amigo – zaśmiał się Kid. – Sądzę, że teraz już spokojnie wypije pan swoje mleko.

Podał mu rękę i rzekł uprzejmie:

– Jestem Billy Kid, a pan, o ile się nie mylę, Lemoniadowy Joe. Przeczynałem to od samego początku, ale pozwoliłem Dave’emu paplać. Bawiło mnie, jak się to skończy. No, ale musi pan moim przyjaciółom wybaczyć. To nieokrziesani chłopcy.

Pan Dara Shikoh dzięki swym talentom jasnowidza zorientował się, że nikt z obecnych nie zamierza już sięgać do biodra, toteż uznał, że wprost nie wypada, aby się nadal trzymał na uboczu; hałaśliwie przedstawił się zdumionym desperados, nie zapominając przy tym zwrócić uwagi na swoje nadprzyrodzone zdolności, które podobno już wczoraj wieczorem objawiły mu wynik spotkania Lemoniadowy Joe versus Dave Rudabaugh. Pan Dave nie sprawiał wrażenia, żeby się martwić z powodu tej ośmieszającej go norażki. Chwilami marszczył tylko brwi. iakbv

jakaś uparta myśl nie dawała mu spokoju. Mówił, że od dłuższego czasu nie wychodzi mu z głowy jakiś szczegół mający związek z Joem, ale nie może sobie przypomnieć, co to takiego. Aha! Mniej więcej przed rokiem, kiedy jeszcze pracował w Dodge (przemilczał oczywiście, że brał udział w napadach na pociągi), spotkał tam niejakiego Hardina, który strasnie się za Joem uganiał. Podobno ma mu coś oddać, jakiś testament czy coś takiego.

Dobry Dave nie powiedział rewolwerowcowi nic nowego. Od czasu do czasu Joe dowiadywał się, że Hardin – ten budzący postrach zabijaka z Arkansas, liczbą nacięć na kolbach mogący współzawodniczyć nawet z Kidem – poszukuje go, i to z podanych przez Rudabaugh'a powodów. Tylko że Opatrzność dotychczas nie wyraziła zgody na spotkanie.

Tymczasem Kid świetnie się bawił w towarzystwie Dary Shikoha. W końcu wyraził życzenie, aby magik wyczytał w swej czarodziejskiej kuli, czy umrze jak przez Boga wyklęty desperado – to znaczy w butach. Shikoh wyciągnął więc kryształ i chwilę gapił się w niego. Potem wymamrotał uroczystym głosem:

– Wzniosłe usta Przyszłości powiadają: „Billy Kid umrze nieobuty”.

Desperado zaśmiał się miękko.

– Wierzy pan w duchy, profesorze? – spytał po chwili.

– To moje służki!

– A więc, jeśli pańskie proroctwo się nie spełni, mój duch rozwali panu z pozagrobowych sześciostrzałowców wszystkie kule, nie wyłączając tej, którą nosi pan pod turbanem.

Profesor Dara Shikoh, skrzyżowawszy ręce na piersiach, skłonił się.

– Kismet! Co po naszymu, a właściwie w waszym ojczystym języku, znaczy Los! – wymamrotał pod wąsem.

Wkrótce Joe opuścił Wyrżniętego Apacza. Tegoż wieczoru pożegnał się z Winnifredą. Rozstanie kochanków nie było smutne; dziewczyna tak była przeświadczona o rychłym powrocie Joego, iż kiedy zniknął w ciemności, pannie wydawało się, że ukochany wyskoczył tylko na swą nieodzowną szklanekę lemoniady Kolakoka...

## SUPLEMENT WIZJONERSKI

A teraz na chwilę, tylko na krótką chwilę opuścmy Joego i na skrzydłach czasu przenieśmy się o kilka lat w przyszłość.

Jest piękna księżycowa noc, a my znajdujemy się w Fort Summer. w chacie nieknei muchachv Celsv Gautierrez. Na iei

łóżku leży jasnowłosy chłopak. Jest to Billy Kid. Złapano go i skazano na śmierć, ale zabił strażników i uciekł, a teraz ukrywa się u swej kochanki. Nie śpi jeszcze. Nagle bierze go apetyt na kawałek wędzonego mięsa, które wisi w wędzarni po drugiej stronie podwórka. Celsa proponuje, że je przyniesie, ale on odrzuca tę propozycję: nie, sam odkroi sobie cienki płatek. Wstaje, bierze długi kuchenny nóż, wtyka za spodnie rewolwer. Tylko tak z nawyku. Potem odchodzi w światło księżyca, na wpół rozebrany, klaszcząc bosymi stopami o płyty podwórka.

Celsa zobaczyła go dopiero następnego dnia, wyciągniętego na podłodze u Pete'a Maxwella.

Jedna kula z kolta szeryfa Garretta starczyła, by leżał teraz z trochę wyszczerzonymi zębami i małymi nieobutymi stopami. Pan Dara Shikoh może spać spokojnie.

## OPOWIEŚCI TOMBSTOŃSKIE JAK ED SCHIEFFELIN NIE ZNALAZŁ SWEGO NAGROBKA I CO Z TEGO WYNIKŁO

Poszukiwacz Ed Schieffelin orientował się świetnie w górach Arizony. Przemierzył wzdłuż i wszerz Smocze i Juczne Szczyty, Góry Karborundowe, a także Huachucas. Apacze tych okolic z pewnością nie byli altruistami, a jednak Eddy zawsze wracał ze skórą na głowie. Pewnej wiosny wyruszył znowu w góry.

Przedtem powiedział przyjaciółom, dokąd idzie, zaklinając się, że zdobędzie tam miliony, które tylko czekają na wykopanie. Kamraci zasypali go dobrodusznymi kpinami – jeżeli co wykopie, to chyba tylko nagrobek dla siebie. Ale w końcu śmiał się Schieffelin, bo natrafił na bogatą żyłę srebra. Chcąc potem dokuczyć kpiarzom, nazwał to miejsce Tombstone, co znaczy Kamień Grobowy. Za nim przyszedli inni, osiedlili się tam, i tak powstała jedna z najsłynniejszych metropolii Dzikiego Zachodu – spowite krwawymi legendami miasto Tombstone, które dla wielu rzeczywiście stało się nagrobkiem..

Może jest to legenda, ale jeśli weźmiemy pod uwagę atmosferę tej epoki i tego kraju, przyznamy, że legenda urocza, a także i bardzo prawdopodobna. W każdym razie w punktach dotyczących Eda Schieffelina na pewno jest prawdziwa, bo Ed istotnie ma zasługi nie tylko względem Tombstone, lecz także całego hrabstwa Cochise.

Ed spłodził miasto w najwłaściwszym czasie. Stare Kansas przestawało być tym, czym było dawniej. Bizony i Siuksowie byli na wymarciu, dla Dodge i Abilene wybiła dwunasta i romantyka kładła się do snu. Kwiat rewolwerowców z tych diabelskich miejscowości napłynął do Tombstone. Przybył Bat Masterson, przybył Luke Short, Doc Holliday, przybyło pięciu Earpów ze słynnym Wyattem na czele, a z nimi tłum innych, których pistolety pluły ogniem równie często. Dzięki temu Mark Smith, długoletni reprezentant Arizony w Waszyngtonie,

w krótkim czasie naliczył w mieście czterdziestu profesjonalnych zabijaków. Życie ludzkie nie było tu drogie. Opinia publiczna najtaniej szacowała życie Meksykanów; martwy greaser nie był martwym człowiekiem. Poszukiwacze złota na pewno nie grzeszyli delikatnością obyczajów, ale tutaj rozpanoszył się element, który przewyższył ich nieokiełznanym temperamentem. Byli to przemytnicy kradzonego bydła, szmuglujący stada kanionami Guadalque i Skeleton do doliny San Simon. W Tombstone odpoczywali po swej niezbyt wyczerpującej pracy, a ponieważ w większości pochodzili z Południa, wyładowywali w strzelaninach swą nienawiść do Meksykanów i Jankesów. Z pierwszymi bez trudu dawali sobie radę, za to od drugich często dostawali okrutne lekcje. Ludzi o charakterze Wyatt Earpa lepiej było nie drażnić. Ta wściekła rywalizacja dwu obozów przynosiła prawdziwie krwawe owoce, które zakonserwowane – bardzo zresztą niedbale – można było znaleźć na głębokości kilku stóp pod ziemią na miejscowym cmentarzu obutych.

W końcu Earpowie uciekli się do brutalnej przemocy i dwudziestego szóstego października osiemdziesiątego pierwszego roku wspólnie z Hollidayem zmasakrowali w Alei Fremonta swych przeciwników, i to dosłownie na oczach szeryfa Johnny'ego Behana. Wówczas nieznani mściciele podstępnie zamordowali Virgila Earpa, kiedy grał w bilard. Jego pogrążeni w żałobie kompani, wracając z pogrzebu, zastrzelili z okien pociągu (oczywiście stojącego) domniemanego mordercę, który



przechadzał się akurat po tucsońskim peronie. Wtedy jednak musieli opuścić Tombstone, bo inaczej nie uniknęliby zlinczowania. Podczas tej ucieczki postrzelali się jeszcze, tak mimochodem i z dużej odległości, z grupą przemytników bydła i zabili ich słynnego prowodyra Kudłatego Billa. Ale wkrótce silne ręce chwyciły cugle prawa w Tombstone i dla przemytników i kowbojów wybiło podzwonne. Tombstone przycichło.

Autor ma nadzieję, że czytelnik wybaczy mu tę wycieczkę w historię Tombstone, wycieczkę tym bardziej nieusprawiedliwioną, że przytoczone fakty zaszły w długi czas potem, jak nasz bohater przybył do tego miasta. Lecz właśnie takie autentyczne fakty przemawiają daleko żywszym językiem niżli beletrystyczny okres najbardziej nawet mistrzowskiego pióra.

Dobrze poinformowani mieszkańcy Pogranicza twierdzili, że Kudłaty Bill w rzeczywistości nazywa się William Graham. Inni, nie mniej dobrze poinformowani, uważali to za głupią gadaninę; prawdziwe nazwisko Billa brzmi podobno William Broccius. Ten niemający dla naszej historii znaczenia szczegół autor przytacza tylko dlatego, abyście sobie uświadomili, że miasto tego rodzaju co Tombstone było prawdziwym Eldorado dla wszelkiego rodzaju ciemnych typów, kryjących swą tożsamość za przezwiskami, niejednokrotnie bardzo barwnymi.

Ludzie, którzy nie cenili zbyt wiele życia (cudzego oczywiście!), cenili za to zabawę. O tę zaś znakomicie się starał cały legion obrotnych kupców. Aleję Allena – istne targowisko próżności – bramowały z obu stron bary, teatry i domy gry, gdzie za żeton płaciło się wyłącznie złotą dwudziestodolarówką. Wszystkie te music-halle i tingel-tangle nie były oczywiście niczym innym, jak krzykliwie ozdobionymi spelunkami, lśniącymi fałszywą pozłotą, która nie potrafiła jednak zamaskować niefałszowanej wulgarności tych miejsc, chociaż ich nazwy usiłowały przekonać naiwnych, że są to wspaniałe, przyzwoite lokale. Osądźcie zresztą sami: Cristal Palace, Alhambra, Cosmopolitan, Oriental – nie brzmi to źle. Naturalnie każdy z nich miał swą specjalność. Can-Can Restaurant słynęła z wyśmienitej kuchni (zwłaszcza fricassée z kurczęcia było bezkonkurencyjne!). Salę Schieffelina dzień w dzień wypełniała do ostatniego miejsca niewybredna publiczność, śmiejąca się do rozpuku z drastycznej farsy panów Warda i Hanforda pt. Damon i Pythias, ale prym wiodł bezsprzecznie teatrzyk Ptasia Klatka, w którym gościł niedający się zdetronizować król amerykańskich komików, okryty wawrzynami Eddie Foy. Poza tym prosperowały jeszcze dziesiątki knajp, otwartych dzień i noc, gdzie jasnowłose dziewczęta o figurach Junony, z bujnym, podniesionym przez gorset biustem, uśmiechały się kokieteryjnie do zamawiającego szampana przybysza.

Tak wyglądało miasto, do którego wkroczył nasz apostoł

Imię: K... ..

## NA COŚ SIĘ ZANOSI

W tłumnie odwiedzanym saloonie Dallinga siedzieli dwaj mężczyźni, wyraźnie odbijający od otoczenia wyglądem i mową.

Pierwszy z nich, krwisty i spocony, około pięćdziesiątki, z obwisłym, podkreśnionym na końcach wąsem, tkwił w uniarkowanym usmolonym fraku, choć wczesna godzina nie usprawiedliwiała tego stroju. Drugi zwracał na siebie uwagę niemiłe afektowanym angielskim akcentem. Gdyby ktoś z obecnych studiował w Oksfordzie, na pewno ucieszyłby się z tak nieoczekiwanego spotkania z uniwersyteckim kolegą. Ponieważ jednak żaden z obecnych kowbojów nie uzupełniał wykształcenia w wymienionej sławnej uczelni, więc wymowa nieznanego ścierała nań tylko zdumione lub ironiczne spojrzenia. Również jego ubiór, który w Londynie dawałby mu wstęp do najwytworniejszych salonów, tutaj, wśród krzyczącej barwy strojów, twarzy i ścian, wywoływał jakieś pogrzebowe – i to nieprzyjemnie pogrzebowe – wrażenie.

Cudzoziemiec był dość jeszcze młodym, ale dojrzałym mężczyzną sporego wzrostu; jego nalana, blada, neronowska twarz wzbudzała lekki wstręt. Rozglądał się po sali leniwie spod ciężkich, opadających powiek. Od czasu do czasu jednak nerwowy błysk migający w wyrazistych źrenicach dowodził, że ta pełna znudzenia ospałość jest tylko wystudowaną pozą.

Człowiek we fraku postawił szklanę, której zawartość wlał w siebie z głośnym gulgotem, po czym odezwał się, na próżno usiłując mówić literackim językiem:

– Domniemywam się, panie Wilde, żeś pan zostawił krótkie spodnie i jedwabne pończochy w walizie. Nie chce pan zwracać na ulicy uwagi, nieprawdaż wszak? Oczywiście jutro włoży je pan na scenę, wszak prawda?

Oscar Wilde z niezwykłą u siebie żywością podniósł wzrok; zdumienie wyгнаło z jego oczu zblazowany wyraz, przesłaniający je dotychczas niby opar mgły.

W jaki sposób nieśmiertelny viveur znalazł się w tombstońskiej knajpie? To całkiem proste: aby nakarmić wychudły nieco portfel, zorganizował sobie tournée z odczytami po Stanach Zjednoczonych. Siedzącym z nim tutaj wyfraczonym jegomościem był Tytus Mossman, właściciel dobrze prosperującego teatru Ptasia Klatka, który za pomocą budzącego szacunek honorarium zapewnił sobie jego jeden występ na wyżej wymienionej scenie.

Kiedy pan Mossman ujrzał, jak Anglika zdziwiły jego słowa, pośpieszył z wyjaśnieniem: ma na myśli spodnie do kolan i cienkie pończochy, w których pan Wilde przyszedł na jedną ze swych premier. Przecież pisano o tym w gazetach! Krótko mówiąc: on Tytus Mossman jest zdania, że publiczność Ptasiei

nie wiążę. On, rytm Mossmana, jest zadumy, ze powściągliwością i walecznością. Klatki życzliwie przyjmie wesoły odczyt, w którym szanowny autor propagowałby noszenie krótkich spodni. Ten żartobliwy wykład zakończy występ sześciu pulchnych blondynek w obcisłych, pikantnych spodenkach. Dziewczęta wezmą potem pana Wilde'a między siebie, z każdej strony po trzy, i zaśpiewają trochę nieobyczajne kuplety o wygodach tak zreformowanego stroju; tekst piosenki szanowny pan pisarz będzie ilustrować dowcipnymi gestami, które tancerki będą powtarzać. Dziewczęta i pan Wilde mają przy tym kołysać się w rytm kupletów i wyrzucać trochę nogi. Tak, w ten sposób przygotowanego numeru Ptasia Klatka się nie powstydzi. Zdaniem pana Mossmana będzie to świetne pendant do występu Eddiego Foya, a to już coś znaczy.

Gdy dowcipny właściciel dobrze prosperującego teatru skończył mówić, Wilde już znowu przybrał pozę znudzonego dandysa. Przechyliwszy do tyłu wielką głowę, nad której wysokim czołem rozpościerała się zasłona artystycznie ułożonych w kędziory włosów, spojrzął spod przymkniętych powiek na Mossmana z tak subtelną ironią, że ów dobry człowiek nawet jej nie odczuł. Po chwili milczenia niezrównany Oscar podziękował swemu towarzyszowi za wygłoszone w najlepszej wierze rady. Jeśli jednak chodzi o wspomniane premiery, na których występował w krótkich spodniach, to musi panu Mossmanowi przypomnieć, że w czasie całego przedstawienia trzymał jeszcze w ręku lilie. Prawda, że ten efektowny kwiat nadzwyczajnie by podniósł poziom projektowanego numeru? (Pan Mossman notaknieł

poziom projekcyjnego punktu: (i all iwoosham potakną z zachwytem). Mimo to nie można się zgodzić na ten spodniowy temat, bo przecież przyjechał do Stanów Zjednoczonych z odczytami o sztuce, nie o tak prozaicznych częściach odzieży. Owszem, uszycie spodni (mniejsza tu o ich długość) to także swego rodzaju artyzm, lecz on chce zapoznać amerykańskich słuchaczy z innym jego rodzajem. Ponieważ większość obywateli w tych stronach ma do czynienia ze złotem, chciałby tym razem mówić o człowieku, który również pracował w tym szlachetnym kruszcu i stworzył zeń prawdziwie artystyczne dzieła. Przeczyta też z jego własnej biografii kilka wesołych historii, co publiczność nie tylko ubawi, lecz także przekona, że artysta wcale nie musi być ani śmiesznym wariatem, ani sentymentalnym romantykiem. Tu pan Wilde wyciągnął z kieszeni małą, grubą książkę, jeden z tych solidnych, pięknie wydrukowanych tomików, jakie umieją wydawać tylko Anglicy. Był to słynny Żywot Benvenuto Celliniego. Przyjemnym głosem zaczął czytać niektóre fragmenty z burzliwego życia złotnika. Pan Mossman słuchał z prawdziwym zainteresowaniem. Te hecne, a zarazem krwawe kawalki bardzo mu się podobały. Kiedy pisarz skończył, słuchacz spytał go pośpiesznie, czy nie mógłby tego postrzelonego Włocha przyprowadzić ze sobą. Wilde z żalem pokręcił odmownie głową: nie, nie może, pan Cellini bowiem zmarł już jakiś czas temu. Na co pan Mossman spytał ciekawie:

– A kto go zastrzelił?

Przy takiej rozmowie czas płynął szybko i wreszcie przusła

...tyż takiej rozrywki czas płynął szybko i wreszcie przyszedł  
godzina, kiedy wieczorowy strój pana Mossmana zdobył prawa  
towarzyskie. Obaj panowie podnieśli się, bo dyrektor Ptasiej  
Klatki zaprosił Wilde'a do teatru, chcąc, aby zobaczył program,  
którego częścią miał się jutro stać. Odchodząc, Oscar zauważył  
wiszący nad pianinem napis:

**BĄDŹCIE ŁASKAWI NIE STRZELAĆ DO PIANISTY!**

**ROBI, CO MOŻE!**

Uśmiechnął się, ale bardzo leciutko, aby nie zmiąć wspaniałej  
maski zblazowanego salonowca, której nie zdejmował nawet  
w najintymniejszych momentach.

– To jedyna racjonalna metoda krytyki artystycznej, z jaką się  
kiedykolwiek spotkałem! – rzekł, wskazując laską napis.  
Powiedział to raczej do siebie, bo nie oczekiwał, aby pan  
Mossman zdolny był zgłębić iskrzący esprit tej uwagi, która  
wydała mu się tak dowcipna, że postanowił ją zapamiętać,  
by olśnić tych słuchaczy, co należycie oceniają produkty jego  
słynnej inteligencji.

Jeśli nazywalismy dotychczas Ptasią Klatkę teatrem, czynilismy  
to tylko dlatego, że tego rodzaju lokale rozrywkowe tak  
w owym czasie w Stanach nazywano. W rzeczywistości był to  
nieokreślony zlepek music-hallu, tancbudy i baru,  
przypominający drewnianą stodołę, przeładowany draperiami

z zamtuza rodem, straszliwymi rzezbami, krzykliwymi tapetami, wulgarnymi obrazami – krótko mówiąc, był to ekstrakt burdelowej tandety. Mimo że program miał się zacząć dopiero za godzinę, salę wypełniał barwny tłum cisnący się przed kurtyną, ozdobioną malowidłem, na którym parowce płynęły w świetle księżyca po Missisipi. Wszyscy chcieli widzieć Eddiego Foya, śpiewającego Kalamazoo w Michigan, i to chcieli go widzieć z bliska.

– Oprócz pana mam jeszcze jedną sensację – oznajmił Wilde’owi Mossman, siadając z nim przy zarezerwowanym stoliku. – Zaangażowałem w Saint Louis prima dziewczynę. Co za kąsek, mężczyźni będą dla niej wariować! Ekstra, głosu nie ma, ale za to ciało...

Młasnął lubieżnie i rękami nakreślił w powietrzu kształt basetli. Nagle umilkł zawstydzony, bo uświadomił sobie, że wyraża się w obecności tego wykształconego Anglika jak ulicznik. Natychmiast więc powrócił do tego, co uważał za wytworny sposób wyrażania, i wyjaśnił Wilde’owi, że jego rewelacja w Saint Louis nazywała się Melitta Rosé i szcudrze szafowała francuskim akcentem oraz słowami. Ale na Tombstone to się nie nadaje, toteż tutejszej publiczności przedstawi pannę Rosé jako Tornado Lou. Wiele sobie po niej obiecuje, bo ta dziewczyna umie sprzedąć swój numer, co do tego nie ma wątpliwości!

Nagle pan Mossman zerwał się i zawołał na mężczyznę, który saczał przy barze brandy z surowym żółtkiem. Stoiący w pobliżu



sęczył przy każdej okazji z surowym zerkaniem stojący w pobliżu niego ludzie z uśmiechem pełnym sympatii, ba – entuzjazmu, obserwowali każdy jego ruch, uważając je, jak się zdaje, za nieporównane. Nieznajomy, usłyszawszy głos Mossmana, odwrócił się i skinął mu przyjacielsko. Kiedy zobaczył, że jest zapraszany do stolika, ruszył ku nim, z dobroduszną jowialnością ulubieńca tłumów odpowiadając na pozdrowienia skwapliwie usuwającej się gromady. Był to człowiek nieokreślonego wieku, w jaskrawym kraciastym ubraniu, w jasnym meloniku, o twarzy zniszczonej żrącym działaniem złych szminek.

– Pan Eddie Foy, pan Oscar Wilde – przedstawił ich sobie Tytus Mossman.

– Myślę, że już się gdzieś z panem spotkałem – rzekł Foy, serdecznie potrząsając ręką pisarza. – Aha, już sobie przypominam. Czy nie jest pan tym połykaczem żab, który pracował ze mną w Denver w noworocznej rewii-monstre?

Pan Wilde odpowiedział, że jak żyje, nie połykał żab w całości, najwyżej udka, ale nigdy w Denver. Kiedy pan Mossman oznajmił komikowi, że pan Wilde jest angielskim pisarzem, Foy spytał jeszcze, jaki dochód przynosi w Anglii pisarstwo, po czym zakończył konwersację, tłumacząc się, że już późno i musi iść do garderoby.

– Pana występ nastąpi zaraz po numerze Eddiego – szeptał Mossman, nachylając się znacząco do Wilde’a. Zdaje się, że był

trochę rozczarowany, nie znalazłszy w twarzy artysty ani śladu zachwytu ni wdzięczności.

„To ci nadęty Anglik” – pomyślał ze złością.

Piękny Oscar czuł się dotknięty, że mógłby być podobny do jakiegoś połykacza żab z Denver. Dlatego też oblókł złotogłów najwynioślejszego spojrzenia, które wykluczało jakąkolwiek pomyłkę z zawodowym żabojadem, i wzrokiem imperatora zaczął błądzić po przepelnionej sali. Nagle zatrzymał go na przystojnym młodzieńcu stojącym przy barze. Początkowo Wilde'a zainteresowała nie tyle sympatyczna twarz kowboja, co raczej zamówiony przez niego napój. Czyż mogło nie wywołać zdumienia, gdy pośród trującej powodzi najmocniejszych alkoholi młody, silny mężczyzna popijał nieszkodliwą lemoniadę? Dopiero teraz Wilde spostrzegł jego wdzięk efeba i z rozkoszą (która później w czasie słynnego procesu miała go drogo kosztować) obserwował szlachetne oblicze i harmonijne ruchy młodzieńca, ciesząc się, że piękno nie zginęło nawet w tak okropnym środowisku.

Joe nie przeczuwał, jak genialne oczy się weń wpatrują. Miał głowę nazbyt zaprzątniętą własnymi kłopotami, by troszczyć się o czyjeś oczy, choćby i genialne. Już przeszło tydzień włóczył się po barach i ulicach Tombstone, na próżno węsząc za śladem tajemniczego gracza, który od lat nie dawał spokoju ani jego, ani Billa duszy; nie doręczył jeszcze nawet listu magika, bo jak się dowiedział od Fomóru Deo Holliday, przyjaciela ze średnio

dowiedział od Earpów, Doc Holiday wyjechał na krótko z miasta. Błędna pogoń za cieniem gracza przywiodła dziś Joe'go w to miejsce, gdzie kiedy indziej na pewno by nie wszedł. Rozglądał się teraz po tłumie, znikającym chwilami za obłokami tytoniowego dymu, którego odór, zmieszany ze wstrętnym słodkawym zapachem rozlanych alkoholi, podnosił rewolwerowcowi żołądek do gardła. Nagle Lemoniadowy Joe spostrzegł grupę mężczyzn o dzikim wyglądzie, brutalnie przedzierających się między stolami. Prowadził ich niewysoki kowboj o śniadej, porytej bruzdami twarzy i niskim czole, nad którym niby gniazdo węzów wily się kruczoczarne kędziory. Na plecach kołysało mu się meksykańskie sombrero; w ogóle wiele szczegółów ubrania i broń tych ludzi było meksykańskiej roboty. Twarz kędzierzawego przybysza, jak również twarze jego czterech kamratów cechował wyraz dzikości. Joe spostrzegł, że większość obecnych zerka spod oka na przybyszów, co dowodziło, że chodzi o osobistości popularne. Nasz rewolwerowiec zwrócił się więc z pytaniem do swego sąsiada, jakiegoś dobrodusznego kopacza złota, który przyglądał się wojowniczym nieznajomym z nie mniejszym zainteresowaniem.

– To Kudłaty Bill – brzmiała odpowiedź. – Obok Johna Ringa najszynniejszy przemytnik bydła na pograniczu. Ten wstrętny mieszaniec w skórzanym ubraniu z frędzlami nazywa się Indiana Kid, a tego Meksykanina za nim, no tego, który akurat zdejmuje sombrero wyszywane w złote róże, nazywają porucznikiem

Benem. Podobno niedawno zdezerterował z kawalerii. Do diabła, cudzoziemcze, ta wizyta wcale mi się nie podoba. Myślę, że na coś się zanosi! Żebyś tylko wiedział na co! Earpów przecież tu nie ma, na kogo więc zagięli parol?

Przemytnicy usiedli, jednakże nie przy jednym stole, lecz w różnych punktach sali. Lemoniadowemu wydało się to dziwne, ale wkrótce przestał się nimi zajmować i wrócił do swych poszukiwań, rozglądając się za człowiekiem, który by trzymał cygaro między małym a serdecznym palcem. Upłynął jeszcze kwadrans i nad salą zawisła groźba, że lada chwila rozpocznie się program. Joego jednak nie interesowały przygotowywane przez Ptasia Klatkę atrakcje, nie wyłączając Eddiego Foya. Jego duch przebywał daleko stąd, unosząc się nad drogą główką, która...

Nagła cisza wyrwała go ze słodkich marzeń. Tak właśnie śpiący we młynie budzi się, gdy zatrzymają się koła młyńskie. Coś złowieszczonego przegnało wesoły gwar, beztrąsko szumiący wokół rzeźbionych kolumn i zakurzonych draperii. Wreszcie umilkło brzęczące pianino i nic już nie przerywało ciszy. Wszystko znieruchomiło, skamieniał nawet dym, skamieniały także spojrzenia, zwrócone w jednym kierunku. Joe poszedł za ogólnym przykładem i zwrócił wzrok na drzwi. Ujrzał stojącego w nich czarno odzianego strzelca. Umbrelki lamp, niedopuszczające, aby światło rozpraszało się we wszystkie strony, zanurzały jego twarz w mroku, tak że wyglądał jak

suraszliwa bezgłowa zjawia. Nagle zrodził krok do przodu. Cien odcinał mu teraz czaszkę, wydając na pastwę światła tylko bezkrwiste wargi i zapadnięte policzki – oblicze trupa. W końcu w krąg światła wpłynęła cała twarz o złych szarych oczach, zapadniętych głęboko w czarne jamy. Bezbarwne włosy układały się w fale wokół woskowych skroni. Mężczyzna stał bez ruchu, wpatrując się uporczywie w smagłą, pobrużdżoną twarz, spoglądając na niego od zalanego wódką stołu. Kudłaty Bill wytrzymał ten bazylijski wzrok, odpierając go bezczelnym uśmiechem, bo przecież dumny syn Południa nie spuści oczu przed byle jakim Jankesem. Atmosfera gęstniała z każdą sekundą, brzemienią oczekiwaniem nieuniknionej burzy. Za plecami kowboja szeleściły lekkie kroki mężczyzn, szybko opuszczających niebezpieczną strefę, która w każdej chwili mogła się zmienić w bieżnię bzyjących kul. Nikt jednak nie przemówił ani słowa. Nagle ponurego gościa chwycił atak strasznego kaszlu. Skulił się, wstrząsany kurczowymi drgawkami rozpadających się płuc, i febrycznie przycisnął do ust chustkę. Kiedy ją wreszcie odjął od popielatych warg, Joe ujrzał na niej ślady krwi. Jednakże to smutne intermezzo rozładowało napięcie, chociaż tylko na pewien czas. Czarny rewolwerowiec nie zwracał już uwagi na Kudłatego Billa i podszedłszy do baru, zażądał szklanki mleka. Oczywiście, że zamówienie to napełniło Joego głęboką sympatią do suchotnika. Już się chciał spytać swego informatora, kto to, gdy ten sam się pochylił do jego ramienia i szepnął:

– A więc mieli je przygotowane dla Hollidaya!

– To jest Doc Holliday? – spytał Joe szybko.

– Owszem, on we własnej osobie. Wprawdzie nie wygląda najlepiej, ale starczy mu jeszcze sił, żeby posłać kilku ludzi tam, gdzie się ich osobami zajmą robaczki. Bo on, tak jak i Earpowie, zabija kowbojów i przemytników przy każdej nadarzającej się okazji.

Joe jednak nie słuchał już jego jędrnych wyjaśnień, ale wyciągnąwszy z kieszeni zmięty i zbrudzony list (nosił go stale przy sobie), podszedł do Hollidaya, z pochmurną miną popijającego mleko.

– Nie chciałbym panu przeszkadzać, ale muszę doręczyć ten list – z tymi słowy podał zdziwionemu zabijace usmoloną epistołę.

Doc podziękował nerwowym mruknięciem i natychmiast otworzył kopertę. Szybko przebiegł pismo wzrokiem, po czym wpił w Joego dziwne spojrzenie. Chwilę patrzyli sobie w oczy; w końcu Lemoniadowy Joe, któremu ta sytuacja nie sprawiała zbyt przyjemności, postanowił wrócić do niedopitej szklanki lemoniady Kolakoka. Ale wtedy Holliday chwycił go za ramię.

– Zostań chwilę, nieznajomy. Chciałbym z panem pomówić.

Chude palce wpijały się w ramię Lemoniadowego jak pazury  
lasi. Złocisty obrazek słońca w oku słońca i...

KANIL. ZŁOWIESZCZY PŁOMIENIK ZADYŚI W OKU ZADYJAKI I ZGASI...

Na scenie rozsunała się kurtyna.

## JUŻ SIĘ ZACZYNA

Scena z namalowanym na płótnie francuskim parkiem była pusta. Po chwili wszedł pan Tytus Mossman (jego frak przy sztucznym świetle wyglądał trochę lepiej), prowadząc z galanterią otuloną płaszczem z piór rajskiego ptaka dziewczynę. Pan Mossman wyjął z ust cygaro i przedstawił PPT. tombstońskiej publiczności pannę Tornado Lou, ulubienicę Pól Elizejskich, która wróciła właśnie na ukochany Złoty Zachód z paryskiego tournée. Bez wątpienia zdobędzie sympatię FÎT. szanownych gości Ptasiej Klatki, tak jak zyskała sympatię doborowej publiczności nadsekwańskiej metropolii. Najpierw panna Tornado Lou zaśpiewa znaną, ulubioną piosenkę Szklanka wyżej, dziewczę bliżej. W tym momencie pan Mossman efektownym ruchem zdjął płaszcz z ramion dziewczyny i, aby rozniecić aplauz widowni, począł klaskać w dłonie okryte skórkowymi, niegdyś białymi rękawiczkami. Ale tym razem ta być może potrzebna w innych wypadkach interwencja okazała się zupełnie zbyteczna, bo widzowie, ujrawszy takie ciało, sami zgotowali artystce burzliwą owację.

Wdzięki pulchnej brunetki, ujęte w obcisły kostium, były tak prowokujące, że płomienne żądze rozpały do białości atmosferę Ptasiej Klatki, i tak już dość gorącą. Czarny, ściśle przylegający do gorsetu trvkot. nasztyv błyszczacymi cekinami. niyv

rozkoszny pancerz zwierzał cudowne piersi, biodra, pośladki. Równie miłego widoku dostarczały obnażone ramiona i nogi w czarnych jedwabnych pończochach, sięgających aż do bioder. A jeszcze do tego ta śliczna buzia! Krótko mówiąc, Francuska Lola wyglądała jeszcze lepiej niż wówczas, gdyśmy ją widzieli malowniczo upozowaną na sofie buduaru w Saint Louis.

Joe, mający stale przed oczami obraz ukochanej Winnifredy, pozostał nieczuły na tę istotnie szczodłą porcję kobiecych powabów. Bawiło go podniecenie mężczyźni, płonącym wzrokiem wpatrujących się w rozkosznie zaokrąglone zjawisko, któremu ręce Mossmana tak trafnie nadały kształt basetli. Zwłaszcza Holliday klaskał jak szalony. Ciemny rumieniec okrył jego papierowobiałe policzki, a źrenice płonęły gorączkowo w głębi wpadniętych oczodołów. Przypominająca basetlę istota odwróciła jego myśl od czyhającego zewsząd niebezpieczeństwa. Wreszcie oklaski umilkły, muzyka zagrała wrzaskliwie kilka taktów grzmiącej introdukcji, a kiedy się trochę uspokoiła, panna Tornado Lou zaczęła śpiewać. Na szczęście głos miała słaby, tak że nie przeszkadzał w pełnym namiętności rozmarzeniu, z jakim widzowie obserwowali podniecającą grę wdzięków wprawionych w ruch gestami dziewczyny. Złote frędzle, stanowiące oprawę obnażonych ramion, powiewały, pierś unosiła iskrzące cekiny, a deski sceny jęczały pod ciężarem ciała Junony, miotającej się w tanecznych skrętach i podskokach. Joe zauważył ze zdumieniem, że kilka wymownych mrugnięć i gestów przeznaczonych było dla



wybuchy i gęstym przelazonym brym na Hollidaya. On zaś wpatrywał się w dziewczynę jak lunatyk, nie spostrzegając ironicznych spojrzeń, rzucanych ukradkiem przez Kudłatego Billa i jego świtę.

Kiedy dziewczyna unilkła, muzyka wrzasnęła fortissimo, bez miłosierdzia powtarzając refren. Wtedy zza kulis wypadło sześć roślących dziewcząt, a Tornado Lou zaczęła fuszerować sztukę taneczną, której zresztą nie przewyższały jej talenty śpiewacze. Teraz dopiero podłoga cierpiała! Toteż skarżyła się rozpaczliwym trzeszczeniem i skrzypieniem, co razem z tupotem siedmiu par okazałych nóg niemal zagłuszało orkiestrę, z której zupełnie wyraźnie wybijał się jękliwy głos puzonu, prowadzącego melodię na własną rękę. Ale wszystko ma koniec. Gdy Tornado Lou ze swym zespołem zastygła w finałowej figurze, dzikie oklaski i gwizdy wstrząsnęły Ptasią Klatką aż do fundamentów. Lola kłaniała się, a wytrzeszczone gały Hollidaya były najlepszym dowodem, że w powiedzeniu o oczach wychodzących z orbit nie ma żadnej przesady.

Wtem zaszło coś nieoczekiwanego.

Indiana Kid, bijący dotychczas brawo, złapał nagle szklankę i cisnął nią w pannę Lou; rzut był celny, ale szklanka z taką siłą odbiła się od jędrnego biodra uroczego dziewczęcia, że wpadła do orkiestry i uderzyła o wielki bęben, aż zadudnił. Holliday błyskawicznie sięgnął do pasa. Jego ręka nie zdążyła dotknąć niklowanej kolby, gdy od przeciwległej ściany zagrzmiał

wystrzał; jednocześnie kula utkwiała w drewnianej listwie nad głową Doca. Wybuchła wrzawa. Stojący najbliżej wyjścia wypadli na ulicę, a inni śpiesznie rzucali się na ziemię, przewracając w zamieszaniu krzesła i stoły razem ze szklankami. Kobiety krzyczały histerycznie. Wilde, który zamierzał akurat wygłosić jeden ze swych słynnych bon motów, przyłgął zwinnie do podłogi i wtulił nos między deski. Do głosu czterdziestki piątki, która zapoczątkowała tę pełną dynamizmu scenę, przyłączyły się wkrótce inne, zagłuszając okrzyki przerażenia. Do Hollidaya paliło teraz siedmiu mężczyzn, bo do Billa i jego towarzyszy przyłączyło się jeszcze dwóch vaqueros, którzy mieli z rewolwerowcem jakieś dawniejsze porachunki. Doc stał przed szynkwasmem w szerokim rozkroku, gardząc jakąkolwiek osłoną. Prawa ręka tkwiła u pasa, ściskając kolbę rewolweru, lewa zaś z błyskawiczną szybkością naciskała bez przerwy kurek. Wystrzały padały tak gęsto, że buchający z lufy płomień nie gasł ani na chwilę. Mordercza palba kowbojów zmiatała z półek za plecami Doca rzędy szklanek, roztrzaskiwała baterie butelek; fontanny szkła były w górę, kolorowe fajerwerki alkoholu tryskały aż pod sufit. Ale Holliday, stojąc nieporuszenie wśród deszczu ołowiu i okruchów szkła, z posępnym spokojem kosił otaczających go szerokim półkolem przeciwników. Z sześciu nabojów, które w nieprawdopodobnie krótkim czasie opuściły bębenek jego rewolweru, trzy trafiły do celu. Pracował niezwykle metodycznie, eliminując pierwszymi strzałami najbliższych, a zarazem najniebezpieczniejszych rywali. Indiana Kid runął z przestrzelonym czołem akurat w chwili, gdy naciskał

...kula z przesadzonymi celami akurat w chwili, gdy kowboj spuścił. Jego kula wyryła w podłodze głęboką rysę. Fircykowaty Meksykanin, trafiony ułamek sekundy później, chwycił się kurczowo draperii. Padając, ściągnął na siebie jadownicę zielony kawał aksamitu, który niczym sztandar bojowy przykrył jego ciało. Ale chudego kowboja, starannie ukrywającego się za drewnianą kolumną, dosięgła dopiero trzecia kula. Doc z pewnością zlikwidowałby po kolei wszystkich przeciwników, gdyby nagle nie chwycił go atak morderczego kaszlu; wstrząsany nim, nie mógł celnie strzelać. Nie wypuszczając dymiącego kołta, zgął się wpół, charcząc okropnie. Dopiero teraz zza okrągłego blatu przewróconego stołu wyjrzała smągła twarz Kudłatego Billa. Łotr mierzył w Hollidaya z zimną krwią urodzonego mordercy. Nie ulega wątpliwości: jego strzał mógł przesądzić los rewolwerowca. Lecz w chwili kiedy muszka kołta przykryła głowę Doca, gwizdnęła kulka i wytrąciła przemytnikowi broń z ręki. Bill szybko cofnął się za zbawczą osłonę stołu, bo pojął, że do gry włączył się nowy, diablo niebezpieczny partner, który mógł mieć w zanadrzu atutowego asa.

Gdy tylko padł pierwszy strzał, Joe skrył się przezornie za szynkwasm, skąd obserwował przebieg potyczki. Cóż ujrzał? Samotnego mężczyznę, bez pomocy stawiającego czoła siedmiu podstępnych mordercom. Jego rycerskie serce nie wahało się ani przez chwilę. Wyciągnął smith&wesson'a akurat w momencie, gdy Doca chwycił fatalny atak kaszlu. Najprzód, jak już widzieliśmy, opróżnił dłoń Billa, po czym skierował uwagę na pomocnika Rena, który korzystając z bezsilności

uwagę na porucznika Deana, który korzystając z bezsilności Hollidaya, wyskoczył z ukrycia i zbliżał się krok za krokiem do zwiniętego w kłębek suchotnika. W jego oczach świecił czerwony płomień mordy. Już-już podnosił kolta, kiedy Joe zestrzelił mu na głowę ciężki, mosiężny żyrandol. Porucznik Ben najpierw wypuścił z ręki rewolwer, a potem, zezując potwornie, cicho osunął się na podłogę. Nie przeczuwał, że w następnej chwili ten sam los spotka rudego Teksanczyka, który stał pod wielkim obrazem Lemoniadowy Joe zaznajomił ciemną kowboja z masywną ramą, posyłając w ten sposób rudzielca do krainy snów. Pozostał już tylko mały Meksykanin, kulący się za pianinem. Jego ręka wysunęła się z ukrycia ze zwinnością jaszczurki – padł strzał, który mógłby przeciwnikowi zatruć życie. Podstępny ten czyn przejął Joego wstrętem, zrezygnował więc z humanitaryzmu i gdy ręka skrytobójcy znowu zrobiła błyskawiczny wypad w niebezpieczną strefę, przestrzelił ją bez skrępowań. Wykładany kością słoniową sześciostrzałowiec wyleciał z zakrzywionych palców i zatoczywszy mały łuk, uderzył o kant stołu. Szczęknął odciągnięty spust i zagrzmiał wystrzał, który przyniósł zadziwiający epilog bitwie. Kula roztrzaskała nad głową wroga spirytualiów flaszkę brandy, która potężnym strumieniem zalała jego twarz, wdzierając się do uszu, oczu i ust; jednocześnie w nozdrza uderzył go zapach alkoholu i oszołomił mózg nieprzejednanego abstynenta. Szykwasy, trup mieszańca, przewrócone stoły, zielone jak absynt draperie – wszystko to jęło przed nim wirować jak na zawrotnie pędzącej karuzeli. Przez watę szumiącej mgły słyszał Joe zbliżającą się strzelaninę

i straszliwe jęki, potem w ogromnej, ogromnej dali rozległ się jeszcze brzęk rozbijanego okna – i koniec. Obłok woni alkoholu ukołysał go do słodkiego snu i dusza Joego rozplynęła się w nirwanie. Ciało miękko osunęło się na zapluta podłogę, gdzie uplasowało się w komicznej trochę pozie.

Lemoniadowy Joe zapadł w kamienne omdlenie.

## JOE DYSKRETNIE CZKA

Zanurzony w jeziorze ciemności...

Leżał na samym dnie, na które kładły się smugi słabego światła, a w nich jawiły się jakieś niewyraźne postacie i wydarzenia... Jak długo tak leżał? Godzinę? Tydzień? Nie wiedział. W końcu mrok zaczął rzednąć i Joe z wolna wypłynął na powierzchnię świadomości.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał, że leży na otomanie, a obok siedzi pulchna, uśmiechająca się powabnie czarnulka. Dziewczyna nie tylko się uśmiechała, lecz także podawała mu pełną szklankę lemoniady Kolakoka. Rewolwerowiec przyssał się spragnionymi wargami do brzegu szklanki i łapczywie pił ulubiony napój. Dopiero gdy wysączył ostatnią kroplę, poczuł, że dawna świeżość znowu zagościła w jego ciele, darząc mięśnie siłą, zmysły bystrością, a nerwy żelazną odpornością. Wtem spostrzegł, że znajduje się nie w swoim hotelowym pokoju, lecz w jakimś innym, zupełnie do tamtego niepodobnym. Bielizna,

suknie, jak również rozmaite przedmioty, rozrzucone w nieładzie i zapełniające pokój, nie pozostawiały wątpliwości co do płci mieszkającej w nim osoby. Tak, była to kobieta. Spojrzenie Joego znowu ześliznęło się na dziewczynę siedzącą u wieszaka otomany i trzymającą w pulchnej ręce butelkę lemoniady Kolakoka. Zalotna buzia i bujny, podniesiony gorsetem biust wydały mu się znajome. Gdzież on tę lemoniadową Hebe widział? Dopiero teraz uświadomił sobie, że już dłuższą chwilę wodzi ogłupiałym wzrokiem po pokoju, milcząc jak zakłęty, co na pewno nie robi na młodej kobiecie dobrego wrażenia. Dlatego też, jękając się lekko, bo przenikliwe spojrzenie pięknej nieznamymy wprowadziło go w okropne zmieszanie, powiedział z możliwie największą galanterią:

– Dziękuję, bardzo dziękuję za łyk tego smacznego, a zarazem niezwykle wzmacniającego napoju, panno, panno... panno...

– Proszę mnie nazywać Lolą, szlachetny rewolwerowcze. Występuję tutaj jako Tornado Lou, ale to oczywiście tylko artystyczny pseudonim. Dla swych przyjaciół zawsze jestem Lolą, Francuską Lolą!

Joe natychmiast sobie przypomniał czarno-złoto-różowe zjawisko, rozplamieniające publiczność Ptasiej Klatki swymi nieporównanymi wdziękami.

– A więc dziękuję pani, panno Lolu! – rzekł gorąco. – Ale czy może mi pani powiedzieć, gdzie dokładnie jestem i w jaki

może mi pani powiedzieć, gdzie właściwie jestem i w jaki sposób tu się znalazłem?

– Oczywiście, Joe, że możemy to panu powiedzieć!

Lemoniadowy obejrzał się zdumiony, chcąc zobaczyć mówiącego, o którego obecności nie miał pojęcia. Nim jednak ujrzał człowieka, który wypowiedział powyższe słowa dziwnie głuchym głosem, przypomniał sobie, że głos ten słyszał przed godziną (a może przed tygodniem?) u szynkwasu Ptasiej Klatki, między dwoma atakami rozdzierającego kaszlu, który zniszczył jego dźwięczność, tak jak pęknięcie niszczy ton dzwonu. Tak, to Doc Holliday. Ochocho wypełnił teraz lukę w pamięci naszego rewolwerowca, spowodowaną przez ten przeklęty alkohol.

Joe dowiedział się więc, że w chwili gdy zapadał w alkoholowe zamroczenie, do wnętrza wtargnęli bracia Earpowie i definitywnie rozstrzygnęli sytuację na korzyść Doca. Mimo to Kudłatemu Billowi udało się uciec oknem, ale to nie szkodzi, bo Earpowie solennie obiecali, że mu nie darują. Joe, sztywny jak kłoda, został odniesiony do garderoby panny Loli, gdzie leżał kilka godzin nieprzytomny. Wyatt tymczasem objaśnił Hollidaya, z kim ma honor, toteż gdy Lemoniadowy się ocknął, suchotniczy zabijaka przemówił do niego z należytym respektem. Oczywiście, że szacunek Doca wzbudziły przede wszystkim cudowne wyczyny smith&wessonów; Holliday natychmiast się zorientował, że ma przed sobą kogoś wybitniejszego od tuzinkowych rewolwerowców. I takich od czasu do czasu

wysłał na cmentarz obutych.

Wysłuchawszy opowiadania Doca, Joe spróbował wstać, ale zaledwie dotknął stopami podłogi, zrozumiał, że nie doceniał działania straszliwej brandy, przecenił natomiast swoją obecną kondycję. Podłoga, która dotychczas zawsze zachowywała się wobec niego solidnie, nagle zakołysała mu się pod nogami, aż rozpaczliwie jęknął. Holliday i Lola przyskoczyli szybko, tak że udało im się uchronić go od dotkliwego zetknięcia z ziemią. Przy pomocy kilku jeszcze chętnych ramion odprowadzili Joego do jego pokoju w hotelu, gdzie miał strawić dni rekonwalescencji.

Nazajutrz Earpowie i Holliday odwiedzili przychodzącego do zdrowia rewolwerowca. Towarzyszyła im gromadka przyjaciół, którzy pałali pragnieniem uściśnięcia dłoni tak wybitnej osobistości. Barczyści mężczyźni w stetsonach na głowach, z sumiastymi wąsami zwisającymi aż do kanciastych, gładko wygolonych bród, tłoczyli się w niewielkim pokoiku, napelniając go serdecznym gwarem. Niektórzy z nich – to słynne zabijaki. Luke Short i Bat Masterson, którego poznaliśmy na samym początku tej historii, przed laty grywali główne role w krwawych dramatach niezapomnianej ery rozkwitu Dodge. Szeryf Johnny Behan, Bob Paul i Sherm McMasters także godni byli uwagi. W innych szerokościach geograficznych i w innej dobie prawo z pewnością oddzieliłoby to towarzystwo od spokojnych



obywateli całym systemem krat i solidnych zamków. Ale tutaj, na Pograniczu, uważano ich za ludzi uczciwych i nie ograniczano ich swobody ruchów ani działalności kultów. Może tylko Holliday nie cieszył się najlepszą opinią, lecz jego przyjaźń z Earpami – z których Virgil sprawował funkcję miejskiego, a Wyatt federalnego marszałka – była najlepszą legitymacją, chroniącą go przed przykrościami w razie przekroczenia kodeksu praw Pogranicza.

Wszyscy wyżej wymienieni panowie składali teraz u łóża Joego baterie butelek lemoniady Kolakoka, niezbędnej dla przywrócenia naszemu bohaterowi sił. Ponieważ Wyatt uprzedził ich, że Joe jest stuprocentowym abstynentem, zostawili cygara w kieszeniach, a ostentacyjnie cmokali jego ulubione cukierki. Mówili głośno, ale dobrodusznie, używali szorstkich, lecz trafnych i barwnych porównań, niczym malownicze fontanny tryskających charakterystycznym humorem Zachodu. Niektórzy fachowym żargonem jeszcze raz oceniali wczorajszy wyczyn Joego, inni na głos czytali szczegółowe sprawozdanie ze strzelaniny, wydrukowane na pierwszej stronie miejscowej gazety, strojąc sobie żarty z kwiecistych frazesów, jakimi reporter okraszył opis walki.

Bat Masterson, smukły młody mężczyzna, szarooki i jasnowłosy, imponował spokojem i godnością ruchów. Mając lat osiemnaście, był już łowcą bizonów, zwiadowcą generała Milesa i w ogóle wiodł życie prawdziwego mieszkańca Pogranicza.

Potem, kiedy zasłynął jako rewolwerowiec, został wybrany w Dodge szeryfem, co oczywiście nie przeszkadzało mu nadal wyrównywać za pomocą czterdziestki czwórki prywatnych rachunków. Później pozyskał przyjaźń wpływowego polityka Teodora Roosevelta, który żywo się nim interesował. Przyszły prezydent Stanów zaproponował Batowi stanowisko urzędnika policji w Nowym Jorku, a Bat je przyjął. Koniec z romantyką Zachodu, żegnajcie stetsony, żegnaj zakurzona prerio, czerwieniejąca w purpurowej mgle krwawego słońca, które z wahaniem znika za dalekim, płaskim horyzontem..

Potem Masterson zszedł na psy. Został dziennikarzem. Jak widzicie, im dalej, tym bardziej przesiąkał cywilizacją. Umart w końcu całkiem naturalną śmiercią, z piórem w ręku. W trumnie nie różnił się niczym od uczciwego obywatela... Cóż za koniec! Lecz w czasie, kiedy rozgrywa się nasza opowieść, Masterson jest jeszcze straszliwym mistrzem kolta i nikt nie przeczuwa, jak ponury los go czeka. Rozmawia właśnie serdecznie z Joem i jedynie obecność Hollidaya psuje mu trochę humor. Nienawidzi tego kłótliwego desperado i często wymawia Wyattowi przyjaźń z Docem. Ale Holliday w Dodge uratował Earpowi życie, a Earpowie takich rzeczy nie zapominają.

Bat Masterson mówi:

– W Leavenworth urządziliśmy z majorem Northem zawody w strzelaniu z czterdziestki czwórki na pięćdziesiąt i trzysta

jardów. Strzela znakomicie, ale w porównaniu z wami, Joe – ech!...

Słowo „ech”, poparte pogardliwym uśmiechem i bagatelizującym gestem, mówiło za całe tomy książek – wyrażało śmieszność jakiegokolwiek próby porównania Northa z Lemoniadowym. Oznaczało to, że Masterson umieszcza Joego na niezwykle wysokim piedestale, bo major Frank North, dowódca pomocniczej jednostki Pawnisów, słynnego indiańskiego oddziału armii Stanów Zjednoczonych, był ogólnie uznany za najlepszego strzelca Zachodu. Opinię tę potwierdzali nawet jego rywale. Luke Short mówił, że kilkakrotnie widział zawody między Northem a Dzikim Billem. Pułkownik Hickok zawsze przegrywał, ale nic sobie z tego nie robił: powiadał, że jeśli chodzi o trafienie w kawałek papieru, chętnie pozostawi pierwszeństwo Frankowi. Jeśli jednak będzie miał przed sobą żywą tarczę – na pewno on, Dzikie Bill, odniesie zwycięstwo na całej linii. Słynny rewolwerowiec miał słuszość. Zabicie człowieka z pewnością wymaga innych kwalifikacji niż niewinna sportowa zabawa.

A więc mówiono o tym i owym rewolwerowcu, z fachowym zainteresowaniem roztrząsano pewne specjalne przygotowania broni, przygotowania, które zapewniały zręczność i celność strzału. Ten przypiłował spust, aby szybciej spadał kurek, inny oszlifował lufę lub też kaburę zaopatrzył w stalowe pióra, które niemal rzucały kolbę wprost w dłoń. Tym rewolwerowym

ekspertom aż płonęły policzki, kiedy tak wymieniali swe doświadczenia. Później znowu mówiło się o głośnych na tombstońskim gruncie bijatykach. Całkiem naturalne, że rozmowa przeszła na gorączkowy wzrost tego nieszczęsnego miasta. Wspomnienia słynnych runów pogrążyły narratorów w ciągnących się bez końca opowieściach, co zresztą było dość zrozumiałe – przecież nazwy takie jak Abilene, Ogallala i Newton czas złączył nierozdzielnie z ich młodością.

Nasz bohater, znużony trochę przeciągającymi się odwiedzinami i hałasem czynionym przez gości, z wolna tracił zainteresowanie rozmową, kiedy nagle padło słowo Cowntown. Ożywił się natychmiast. Bob Paul opowiadał, że wczoraj wrócił z Powderville. Tamtejszych kupców ogarnęła panika. Południowo-Zachodnia Kolej Żelazna ma być przedłużona aż do tej zakurzonej dziury Cowntown, a to oznacza koniec Powderville. Już teraz do Cowntown ciągną karawany wozów, a Powderville opuszczają pieniądze i ludzie. Oczywiście, że Lemoniadowy Joe natychmiast pomyślał o Winnifredzie. Sam przeżył kilka takich runów i wiedział, co to jest. Teraz więc Winnie, ten subtelny kwiatusek, znajdzie się w samym środku ryczącego piekła, nieszanującego żadnych cnót, a zwłaszcza cnoty dziewiczej. Ta myśl tak go zaniepokoiła, że wcale nie słuchał wesołej historii Wyatta Earpa o nieudanej runie Buffalo Billa.

Pod koniec lat sześćdziesiątych pułkownik Cody założył w Kansas miasto. Istotnym elementem wielko-urbanizacji

w Kansas miasto, któremu prorokował wielką przyszłość. Z uwagi na te nadzieje nazwał je Nowym Rzymem. Niewątpliwie oczekiwał, że pod jego ręką wykluje się coś wspaniałego, coś w rodzaju Rzymu cesarów. Trzeba przyznać, że to pobożne życzenie miało pewne realne podstawy, bo domy na rzymskich ulicach rosły jak grzyby po deszczu, a osadników przybywało z każdym dniem. Pewnego ranka Bufallo Bill wyjechał zapolować na bizona. Kiedy po raz ostatni rzucił okiem na swoje miasto, z zadowoleniem podkręcił złotego węża, Nowy Rzym bowiem rzeczywiście wyglądał bardzo obiecująco. Nazajutrz wrócił.. W teatrze często widywał czarodziejów, którzy sprawiali, że ktoś z publiczności nagle zniknął. No, to mógł zrozumieć. Nie mógł jednak rozwikłać triku, który zdmuchnął z prerii Nowy Rzym. Tak, nie było go, nie było po nim śladu. Tam, gdzie się jeszcze wczoraj znajdował, rozpościerała się teraz bezludna preria, na której samotnie sterczał jeden jedyny drewniany dom, jego dom. Oczekująca go żona wyjaśniła tajemnicze zniknięcie tak wspaniale rozkwitającej osady. Towarzystwo zakładające miasta przy linii kolejowej Kansas-Pacyfik założyło w odległości niecałej mili od Nowego Rzymu miasto, obiecując kolonizatorom niepomiernie większe korzyści niż te, które mogła im przynieść metropolia Bufallo Billa. Obywatele Nowego Rzymu załadowali więc swoje drewniane rozbierane domki na wozy i do wieczora z miasta Cody'ego został tylko jego własny dom.

Rewolwerowcy uśmieiali się z tej historii, chociaż większość już ją

znała. W końcu szeryf Behan wyciągnął z kamizelki pozłacany zegarek wielkości rondla i przestudiowawszy cyferblat, oświadczył, że na niego już najwyższy czas. Wszyscy się podnieśli. Kiedy wychodzili, Sherm McMasters zwrócił się nagle do rekonwalescenta: dopiero teraz przypomniał sobie, że czternaście dni temu rozmawiał z niejakim Hardinem, słynnym rewolwerowcem z Arkansas, który... Lemoniadowy przerwał mu: tak, wie wszystko. Ten człowiek ugania się za nim po całych Stanach. Zdaje się jednak, że los nie chce, aby się spotkali.

Ledwie zamknęły się drzwi za ostatnim strzelcem, znowu rozległo się ciche pukanie. Był to Doc Holliday. Podszedł aż do łóżka i sucho zakaszławszy, spytał Joego, jak to właściwie jest z tym Greenwoodem. Joe spojrzał nań zdumiony, bo wcale sobie Horacego nie przypominał. Podczas podróży dylizansem prawie nie zwracał na niego uwagi, gdyż zajęty był bez reszty – tak jak i gracz – panną Breakenridge. Toteż teraz nie kłamał, mówiąc Hollidayowi, że pana Greenwooda w ogóle nie zna. Zresztą kiedy spytał Doca, czy nie słyszał o szulerze nazwiskiem Hatfield, desperado również dał mu przeczącą odpowiedź. Minę miał jednak zakłopotaną, bo nie mógł nic z tego zrozumieć. W końcu pożegnał się z Lemoniadowym, mówiąc, że wyjeżdża w interesach do Benson. Bez wątpienia miał ważne powody, aby ze wszystkich stron zapewnić sobie niezbite alibi – tego samego wieczoru kilku zamaskowanych bandytów napadło pod stacją Drewa na dylizans; od ich kul zginął woźnica Philpot. Bob Paul, który jako konwojent cennej przesyłki siedział na koźle

dylżansu, twierdził, że w jednym z rabusiów poznał Hollidaya, Earpowie jednak zatuszowali całą sprawę.

Ale ta historia nas teraz nie interesuje. A więc Holliday zbierał się do odejścia; stojąc już w drzwiach, odwrócił się nagle i rzekł:

– Uważaj pan na Horacego Greenwooda, Joe! Mam wrażenie, że wolałby, by go ukąsił grzechotnik, niż żebyś pan chodził po świecie!

Po tych słowach znikł. Definitywnie.

Joe spojrzął za nim osłupiały. Co za Horacy? Co za grzechotnik? Pokręcił głową, otworzył flaszkę lemoniady Kolakoka i pociągnął tak łapczywie, że miłe bulgotanie odmieniło atmosferę nieprzytulnego pokoju. Potem, czknąwszy dyskretnie (był przecież sam), zapadł we wzmacniający sen.

## SZKLANKA LEMONIADY – OCEAN NAMIĘTNOŚCI

Kiedy Joe otworzył nazajutrz rano oczy i przeciągnął się, aż stawy głośno zatrzeszczały, czuł się jak rybka. Ponieważ słońce stało już wysoko, skoczył na równe nogi z łóżka, ekonomicznie unył kilka decymetrów kwadratowych powierzchni ciała i starannie się ubrał. Następnie, dokładnie sprawdziwszy mechanizm smith&wessonów, zapiął pas i zszedł do jadalni. Można powiedzieć, że połysk wyczyszczonych cholew jego butów rozjaśnił salę, przyjemnie pachnącą kawą

i smażoną słoniną. Zjadłszy obfite śniadanie, rewolwerowiec wypił codzienną ranną szklankę lemoniady Kolakoka i wyszedł na ulicę, wzmocniony jakąś szczególną, świeżo zaczerpniętą nadzieją, że dziś wreszcie dopadnie tajemniczego gracza, trzymającego cygaro między małym a serdecznym palcem.

Wąłęsał się właśnie po alei Fremonta, kiedy nagle poczuł, że plecy parzy mu czyjeś uporczywe spojrzenie. Ponieważ kurtka między łopatkami już się zaczynała tlić, odwrócił się, chcąc zobaczyć źródło promieniowania tego potężnego fluidu. W tej chwili usłyszał trzask pękających desek, pełen złości krzyk i ochocze rzenie rumaków. Joe stwierdził, że sprawcą palącego spojrzenia oraz ludzko-końskiego zgielku była panna Tornado Lou. Pełna temperamentu dziewczyna wyjechała tego rana na przejażdżkę w lekkiej, eleganckiej kolasce, zaprzężonej w parę wspaniałych, pełnej krwi kłusaków w ozdobnych szorach z żółtej skóry. Powóz, konie i szory wypożyczył pan Mossman. Uczynił to z ochotą, bo taką przejażdżkę po zatłoczonych ulicach uważał słusznie za znakomitą reklamę nie tylko dla panny Lou, lecz także dla swego przedsiębiorstwa... Nie musimy czytelnikom mówić, że Joe już przy pierwszym spotkaniu wywarł na śpiewaczce bardziej niż sympatyczne wrażenie. To prawda, że przyjmowała zalecanki Hollidaya, ale skłoniły ją do tego czysto rozumowe powody: po pierwsze bała się Doca, po wtóre jego sympatia zapewniała dostawę drogich podarków, których jej miłujące przepych serce nie mogło odrzucić. Z Lemoniadowym sprawa wyglądała



zupełnie inaczej. Twarz strzelca, jego postać, głos, ruchy, wszystko, co składało się na tę zadziwiającą osobowość, wprawilo w drżenie struny serca Loli, wydobywając z nich wzruszający miłosny akord. Teraz, kiedy znowu go ujrzała, jak lekkim, a jednocześnie tak dzielnym krokiem przemierza drewniany chodnik alei Fremonta, rozmarzył ją widok jego szerokich pleców i dała się ponieść rozkosznym wyobrażeniom. Jego mężna postać tak ją zajęła, że całkiem zapomniała o kierowaniu cugantami, które ni z tego, ni z owego, znudzone monotonią jezdni, zboczyły na chodnik i lekkim klusem wjechały do zakładu fotograficznego Sly'a, wywołując tam pewne zamieszanie. Pan Sly, schylony nad skrzynką olbrzymiej kamery, z głową zanurzoną w czarnej płachcie, zauważył ich obecność dopiero wówczas, gdy jeden z koni wilgotnymi chrapami zrzucił mu na ramię wielką japońską wazę. Zdenerwowany w najwyższym stopniu fotograf zaczął ordynarnie wymyślać. Tornado Lou, tak niespodzianie wyrwana ze słodkich marzeń, bardzo się przełękała i teraz usiłowała zmusić ciekawskie zwierzęta do wycofania się: ponieważ jednak powoziła tylko raz w życiu, i to drewnianym koniem na karuzeli, osiągnęła zaledwie tyle, że rumaki zdemolowały tekturową balustradę i zżarły sztuczne czereśnie z kapelusza nieopatrznej klientki, która nie opuściła w czas pola bitwy. Bez wątpienia zniszczyłyby systematycznie wszystko, gdyby nagle przy żółtych uździenicach nie znalazł się Joe, który zręcznie wyprowadził konie z zakładu. Trudno opisać wściekłość fotografa. Złość tak nim rzuciła, że wciąż jeszcze nie mógł się wzmotać z czarnego prześcieradła.

co bardzo śmiesznie wyglądało. Lola ułagodziła go wreszcie, odsyłając do kasy pana Mossmana, który z pewnością chętnie pokryje te nieprzewidziane koszty reklamowej przejażdżki.

Joe chciał odejść, lecz dziewczyna delikatnie go zatrzymała. Byłaby mu niezmiernie wdzięczna, gdyby jej pomógł kierować tymi kapryśnymi zwierzętami. Chyba że śpieszy w jakiejś ważnej sprawie, to oczywiście... Nie, takiej prośbie Joe nie mógł odmówić. Słaba kobieta potrzebowała pomocy, zresztą nie miał żadnej ważnej sprawy. Wskoczył więc na kozioł i cmoknąwszy lekko na konie, wydostał się z kręgu gapiów, których tymczasem zgromadził się już spory tłum.

Dokąd ma jechać? Tornado Lou odparła, że chciała wyjechać trochę za miasto. Na to Joe: – Taki spacer dla młodej damy jest diablo niebezpieczny, przecież w okolicy jest pełno Apaczów... Lola: – O, gdyby nawet było ich i dziesięć razy tyle, ani trochę by się nie bała, jeśli on siedziałby u jej boku!... Joe: – Żywy rumieniec oblewa mu uszy. Lou, widząc jego zmieszanie, pojęła, że teraz nie wydusiłaby z niego ani słowa. Żeby więc dodać rewolwerowcowi odwagi, sama zabrała głos i opowiedziała o swym sukcesie w Tombstone. Doprawdy – przybyła, zaśpiewała i zwyciężyła. Jej fenomenalny debiut skłonił pana Mossmana do tego, by natychmiast dał jej jeszcze jeden numer w programie, zaraz po Eddiem Foyu.

Prawdziwe powody decyzji Mossmana były oczywiście trochę

inne. Strzelanina w Ptasiej Klatce takie zrobiła wrażenie na Wildzie, że wyjechał z Tombstone najbliższym dylizanssem. Wtedy Mossman postanowił zastąpić pantalonowy skecz pisarza występem panny Loli, której wartość, a raczej wartość jej obfitych kształtów, szybko odgadł. Jej talenty artystyczne nie zaważyły zbytnio na tej decyzji. Na jej pociechę rzecz można, iż co prawda niełatwo o artystę – lecz i o hoże dziewczę także.

Lola, rozgrzana sukcesem, nie ograniczyła się do plastycznego opisu tego triumfu. Nie tylko w Tombstone zrobiła taką konkiętę; najsłynniejsze miasta Zachodu dobijają się o jej osobę. Teraz na przykład zaproponował jej fantastyczne engagement właściciel najbardziej ekskluzywnego teatru w Cowntown – obecnie najlepiej się rozwijającego miasta Południowego Zachodu – prosząc, żeby zaszczyciła swymi występami jego najprzedsiębiorstwo. O Cowntown nie powinna była wspominać – Joe po tej uwadze zamknął się w sobie na siedem spustów. Nie można było wydusić zeń ani słowa, siedział na koźle jak mruk i wcale nie dostrzegał jej diablo pięknego wdzięku. Zaczęło ją to w końcu trochę irytować, czemu się zresztą nie dziwimy.

Tymczasem wyjechali już za miasto i znaleźli się w nieprzytulnej, surowej i spalonej słońcem okolicy. Wreszcie dobrnęli do rozległej doliny, wyglądającej bardziej świeżo dzięki źródelku, które ożywiało zbocze odrobiną zieleni. Lou oznajmiła, że chciałaby tu odpocząć. Joe zatrzymał konie i zszedł z koźla, aby pomóc Lou wysiąść.

Dziewczyna już to miała zrobić, kiedy zauważyła, że miejsce, na którym chciała postawić nóżkę, usiane jest dużymi, ostrymi kamieniami. Z pewnością podarłaby cienki pantofelek i zraniła delikatną stopę. Lemoniadowy niewątpliwie spostrzegł jej zalękniony wzrok, bo zaproponował młodej kobiecie, że przeniesie ją na gładką drogę. Dziewczynie oczywiście propozycja ta bardzo przypadła do gustu. Jej ciało uległo spoczęło w objęciach rewolwerowca, pulchne ramię otoczyło jego szyję, a oczy patrzyły z wyrazem, który burzył w nim krew. Tak uwodzicielskim sztuczkom nawet kamień by się nie oparł; nic dziwnego, iż Joe też w końcu poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Musimy przyznać, że ta nagła słabość miała jeszcze inną, uzasadnioną przyczynę. Jak już wiecie, panna Lou nie miała nic wspólnego z eterycznymi, filigranowymi kobietkami, które zresztą nie były w guście tej epoki. W doskonałej harmonii z jej solidnymi kształtami była równie solidna waga, co do której my zresztą nie mamy żadnych zastrzeżeń. Za to kolana Lemoniadowego – bądź co bądź kolana rekonwalescenta – miały poważne zastrzeżenia. Tak więc budząca się namiętność i usprawiedliwione przebytą niedawno chorobą osłabienie spowodowały, że kiedy Joe złożył Lou w wysokiej trawie, odetchnął głęboko. Niebezpieczna uwodzicielka spojrzała nań ze zdumieniem, które jeszcze się zwiększyło, kiedy Joe, czerwony i spocony jak mysz, wy dobył z kieszeni płaską flaszkę i pociągnął kilka łyków. Potem, spytawszy w pierw uprzejmie o pozwolenie, usiadł obok panny Lou. Ona oczywiście skinęła

przyzwalając głową i nie spuszczać oczu z manierki, spytała, czy jest w niej ta słynna lemoniada. Joe potwierdził. Wtedy Lola poprosiła, aby opowiedział, co uczyniło z niego tak niezłomnego abstynenta.

– Ech – mruknął Joe – to długa historia i chyba zbyt ponura dla pani delikatnych uszek.

– Ponura? Dla mnie? Ach, drogi przyjacielu, moje życie nie płynęło po różach!

– Znudziłoby to panią, a poza tym ja nie umiem opowiadać, wolę, żeby mówiły za mnie moje sześciostrzałowce!

– Na Boga! Wiem to aż nazbyt dobrze. Ale bardzo proszę, niech pan opowie, płonę z ciekawości!

– No dobrze, opowiem pani tę historię. Opowiem bez upiększeń, prostymi słowami, bo my z Kansas inaczej nie potrafimy. Ponieważ nie lubię mówić o sobie, może wystarczy, jeśli wspomnę, że dzieciństwo spędziłem w środkowym Kansas, jako syn niebogatych wprawdzie... i tak dalej.

To „i tak dalej” jest tu zupełnie na miejscu, ponieważ czytelnik zna już dobrze historię młodości Joego, śmierci Billa i tajemniczego szulera.

Kiedy rewolwerowiec opisywał ów znak szczególny, po którym

poznać można karciarza-mordercę, oczy Loli dziwnie zaświeciły. Ale Joe tak był pochłonięty opowiadaniem, że tego nie zauważył. Historia Lemoniadowego naprawdę dziewczynę wzruszyła, bo siedziała w milczeniu, choć Joe skończył mówić już dobrą chwilę temu. Wreszcie odezwała się: „Teraz (ona) już wie, dlaczego (on) nie znosi nawet zapachu alkoholu. Ale cygara są przecież mniej szkodliwe. Dlaczego więc przedkłada nad nie owocowe pastylki, jeśli cygaro tak bardzo pasowałoby do jego męźnych ust?”

– Dlaczego? Cygaro, panno Lolu, przyprawilo o śmierć moją matkę.

– Co takiego? Cygaro?? Zabiło??? Matkę????

– Tak. Cygaro. A trochę także ja. A trochę stryj Bud.

– Błagam, niech pan mówi! Nie pisnę już ani słowa!

– Stryj Bud jest w moim opowiadaniu figurą całkiem nową. Przemilczałem jego istnienie, bo nie rzuca zbyt dobrego światła na naszą rodzinę. Ale mimo to jestem dziś przekonany, że Natura obdarzyła jego zbzikowanego ducha nadzwyczajnymi zdolnościami. Do dziś błyszczy w moich wspomnieniach jego łyśa jak kolano czaszka. Nosił starannie wypomadowany wąs à la Napoleon III. Ten wyrafinowany kształt wąsów dziwacznie kontrastował ze skórzanym odzieniem tropiciela, którego nie zdejmował nawet w miastach cywilizowanych okręgów. Tak,

stryj Bud był zwiadowcą, i to zwiadowcą znakomitym. A przecież nie wyrósł jak dziczka. Rodzice dali mu solidne wykształcenie, lecz awanturnicze usposobienie wyгнаło go wkrótce z ciepła bezpiecznego ogniska domowego w prerię i góry, rojące się wówczas od podstępnych czerwonoskórych. Ten szczególny człowiek opętany był przez konika, na którym harcował we wszystkich wolnych chwilach, nawet wtedy, kiedy obłókł legginy: namiętnie interesował się mechanizmem broni palnej i stale coś w związku z tym majstrował, choć niekiedy mógł pracować tylko przy słabym świetle obozowego ogniska. Twierdził, że pracuje nad wspaniałym wynalazkiem, który wywoła rewolucję w produkcji rewolwerów. Ponieważ znaleźmy go jako wartogłowa i gadulę, plotącego, co mu ślina na język przyniesie, nikt nie wierzył jego słowom. Zresztą podejrzany charakter Buda najlepiej ukazuje historia, którą on sam mi z wielką dumą opowiedział. Pewnego razu został wzięty do niewoli przez przeważającą liczbę Indian. Przywiązany do pala, pożegnał się już w duchu ze światem i ze swym skalpem, kiedy zobaczył, że czerwoni oprawcy z zatroskanymi twarzami roztrząsają jakiś palący problem, rzucając przy tym zakłopotane spojrzenia na jego nagą czaszkę. W końcu jeden z nich, najprawdopodobniej naczelnik, zbliżył się i powiadomił go o rezultacie narady. Szczep, w którego ręce stryj wpadł, pogardza łysymi skalpami. Rada starszych skłonna jest więc puścić jeńca wolno, ale pod jednym warunkiem: musi się zobowiązać słowem honoru, że do roku i dnia przybędzie znowu w to miejsce z cieniem pokrętym możliwie najcięższymi

w to miejsce z cieniem pokrytym możliwie najgęstszą czupryną. Jeniec może podziękować naczelnikowi, dzięki którego poparciu ta decyzja zapadła i który podaruje mu niezawodny środek na porost włosów, wyprodukowany w laboratorium najwybitniejszych czarowników szczepu. Niech więc pociera co dzień łysinę tym preparatem, a rezultat nie da na siebie długo czekać. Za rok wróci na umówione miejsce i dopiero wówczas zostanie oskalpowany jak należy.

Stryj bez wahania dał dzikusom słowo honoru, po czym, uwolniony z pęt, otrzymał butelkę z lekarstwem.

Ledwie jednak zniknął czerwonoskórym z oczu, prasnął buteleczką o ziemię, a obietnica wywietrzała mu z głowy. Pojmuje pani, że człowiek, który tak cynicznie pogardzał słowem honoru, nie mógł być wiele wart. Ale z pewnością pojmie pani także, jak ogromnie imponowała małemu chłopcu, to znaczy mnie, smukła, w jelenią skórę odziana postać mężczyzny, który przyjaźnił się z Kitem Carsonem i Kalifornijskim Joem.

Moja matka, chociaż łagodna z natury, nie darzyła go szczególną sympatią. Ta stateczna, pełna obywatelskich cnót kobieta nie lubiła tego awanturnika, który w swych włóczęgach zapędzał się daleko na północ, polował na zwierzęta futerkowe, konwojował przez prerię karawany, walczył z Indianami, powoził dyliżansami i przez pewien czas był kurierem słynnego transkontynentalnego Pony Expressu Saint Joseph-Sacramento. Później, jak się



dowiedziałem, był zwiadowcą Shermana, Carra i Milesa, pracował u boku Teksańskiego Jacka, Dzikiego Billa, Baptysty Pourierra i innych wybitnych zwiadowców. Lecz nawet te nazwiska nie imponowały mamie, która przyjmowała rzadkie wizyty stryja z chłodną twarzą. Przede wszystkim z całej duszy nienawidziła jego namiętności do tytoniu. Palacz – nie, to słowo w najmniejszym stopniu nie oddaje obłądnej namiętności stryja. Myślę, że palił nawet, gdy spał. Jak sam mówił, już jako niemowlę kategorycznie odmawiał ssania matczynej piersi, gdy tylko zobaczył cygaro. Starał się być w dobrych stosunkach z Indianami, aby tylko jak najczęściej móc palić z nimi pakowną fajkę pokoju. Oczywiście, że gdy nas odwiedzał, ani mu przez myśl nie przeszło zgasić wiecznie płonące cygaro. Ćmił je bez przerwy, zasnuwając wszystkie pomieszczenia, od piwnicy aż po strych, smrodliwym dymem, niepomyślny bowiem stan finansów pozwalał mu kupować jedynie najgorsze gatunki. Szczypiący dym wciskał się podstępnie w każdą szparę mebli, wsiąkał w każdy materiał i przesycił fałdy ubrań tak ohydny fetorem, że upływało dużo czasu, nim ten wstrętny zapach zginął. Mamie w takich razach mało nie trafiała apopleksja. Czyż było jej to potrzebne, aby damy z kółka kościelnego, kwiat miejscowej śmietanki towarzyskiej, podczas cotygodniowego piątkowego śniadania kręciły czcigodnymi nosami, wietrząc ze wstrętem ślady tego wulgarnego zapachu? W końcu przelał się puchar goryczy. Pewnego niedzielnego poranka matka prasowała akurat krochmalony, ozdobny gors mej świątecznej koszuli, której anielska biel miała tego popołudnia wzmożnić

KOSZULI, KTOREJ ANIEŚKA DŁUGO MIAŁA tego popołudnia wzniesiony blask mego opisu przed miejscową śmietanką. Kółko kościelne bowiem zorganizowało małą dziękczynną uroczystość na cześć właściciela prosperującego domu publicznego, pana Rufusa Terrytona, który ofiarował kościołowi piękne organy. Złotym gwoździem programu miał być wiersz, nie tylko wyrecytowany, ale i ułożony przeze mnie. Matka upatrywała w tym występie pierwszy kamień milowy na drodze mego życia, na której końcu błyszczał fantom prezydenckiego stolca. Nagle wszedł stryj, wytrząsając z załomów ubrania kurz na świeżo wytrzepane dywany. Jego zjawienie się brutalnie stargało przedzę matczynych rojeń. Toteż przywitała go bardziej niż chłodno i przygotowała mniej niż skromny poczęstunek. Ja przerwałem natychmiast mruczenie, którym utrwaląłem wiersz w pamięci, i zasypałem stryja pytaniami o przygody z ostatniej podróży. Odpowiedział mi wprawdzie dopiero, gdy spałaszował nędzną przekąskę, ale za to nie szczędził liczby zabitych Indian. Aby te łgarstwa łatwiej mu przechodziły przez usta, wyciągnął się na kozetce i zapalił straszliwe cygaro. Ten zdumiewający człowiek w ciągu paru minut zdołał wyczarować z obszernej jadalni zakopconą wędzarnię. Sądzę, że dopiero wtedy poczuł się jak w domu. Jego sjesta nie trwała jednak długo. Za najwspanialszy szczegół urzędnika mieszkania, za bezcenne curiosum uważała mama portret prezydenta Lincolna, wykonany z motyli skrzydeł. Otóż kiedy stryj skończył opowiadać, jak stawiał czoła całemu jubileuszowemu zjazdowi plemion Nawajów, naśladując za pomocą nadmuchiwanym papierowych

torebek palbę oddziału regularnego wojska, a więc na zakończenie tej historii wydmuchnął wspaniałe kółko dymu; przypominało wielki precel, tak było nieprzejrzyste i zwarte. Fantastyczny pączek z dymu uroczyście płynął przez jadalnię, aż dożegłował do bieliźniarki. Wtedy – może mi pani wierzyć lub nie – ze zdumieniem ujrzałem, że uderza o ramę drogiego portretu, rozbija ją i rzednie, a w tym samym momencie oblicze prezydenta rozsypuje się po podłodze, razem z okruchami szkła, w kupkę śmieci. Boże, co się potem działo! Jeszcze dziś huczy mi w głowie, gdy sobie to przypomnę. Przenikliwy głos matki (precz z mego domu, włóczęgo! itd.), burczenie stryja (no, no, przecież nic się nie stało! itd.), jego postać, osłonięta obłokiem dymu i trzaskająca za sobą drzwiami. Gniew matki wzrósł stokrotnie, gdy przywabiona złowieszczym śwędem stanęła twarzą w twarz z potężnym słupem dymu, buchającego z przepalonej koszuli, która dzisiejszego popołudnia miała jaśnieć na mej piersi podczas występu przed miejscową haute volée. Nieszczęsna załamała z rozpaczą ręce, nie przeczuwając, że dzień dzisiejszy nastarczy jej okazję do jeszcze rozpaczliwszych gestów. Nie uprzedzajmy jednak wypadków. A więc po obiedzie wyszedłem na ulicę, wystrojony i wypomadowany jak elegant ze Wschodu. Mama poszła już dużo wcześniej, ponieważ miała na pieczy bufet imprezy. Akurat przepowiadałem sobie wiersz, po raz ostatni szlifując interpretację, kiedy nagle stanął przede mną stryj Bud. Wiedział on, że jestem dla jego słabostek o wiele wyrozumialszy niż matka. Przyjaźnie porozmawialiśmy o przedpołudniowym

nieszczęściu. Stryj przypisał je dalekosiężnym poczynaniom któregoś z wybitnych nawajskich wojowników, dającego wyraz niezgodzie na przesadę w użyciu papierowych toreb. Na koniec stryj, aby mnie całkowicie pozyskać, poczęstował mnie swym ulubionym cygarem. Zaślepiiony chłopięcym zarozumiałstwem udałem, że dla młodego mężczyzny w moim wieku nie ma większej przyjemności niż wypalenie mocnego cygara. Niech pani nie pyta, co się działo z moim żołądkiem, gdy głębokimi zaciągnięciami skracałem życie temu czarnemu, grubemu na palec jegomościowi, który konał w kłębach fantastycznie niebieskiego dymu. Krótko mówiąc, wypaliłem cygaro w niecały kwadrans. Ale bezwstydną próżność szybko poniosła zasłużoną karę. Przyszedszy na uroczystość, uczułem, że źle ze mną. Mglisty tuman przesłonił moje zmętniałe oczy, do uszu docierał tylko niewyraźny, głuchy szum. Do dzisiaj nie wiem, jakim cudem – kiedy ktoś zawlókł mnie na podium – w ogóle utrzymałem się na nogach i wystękałem początkowe wiersze, z których, jak sądzę, wciąż jeszcze mogę być dumny:

Teraz usłyszysz i myślisz

tych nowych organów ton,

które darował nam – słysz –

pan Rufus Terryton.

W tym momencie struty żołądek zatkał mi usta. Kiedy

W tym momencie słyszy szepty z cienia... Kiedy przytomniałem, mama leżała zemdlona. Nie, nie mogę opisywać szczegółów tego strasznego skandalu, nie umiem grzebać rozpalonym pogrzebaczem w do dziś otwartej ranie. Powiem pani tylko, że po tak okropnym wstrząsie matka już nigdy nie przysłała do siebie. I właśnie u wezglowia jej łoża śmierci złożyłem trwalszą od spizu przysięgę: „Niech umrę w butach jako wyklęty wyrzutek społeczeństwa, jeśli kiedykolwiek wezmę do ust szczyptę tytoniu”. Tak, my dwaj zabiliśmy tę nieszczęsną niewiastę: ja i cygaro mego stryja...

Ostatnie słowa Joe wymówił zdławionym głosem. Och, jest mężczyzną, mężczyzną w każdym calu, ale jego szlachetne, wyjątkowo wrażliwe serce nie mogło oprzeć się wzruszeniu, kiedy ożyły tak okrutne wspomnienia. Kryje czoło w dłoniach i z całej siły zaciska szczęki, by drżenie brody nie zdradziło jego wzruszenia. Ten dramatyczny wyraz twarzy jest bardzo udany, nie dziwny się więc, że Tornado Lou jeszcze bardziej zaczyna palić się do rewolwerowca. „Jest taki silny, a jednocześnie tak uczuciowy! – myśli. – Jest zupełnie inny niż wszyscy, którym dotychczas udało się zdobyć moje serce. Tamci pragnęli tylko zmysłowych rozkoszy. A ten! Ten niczego takiego nie pragnie. Niestety! Ale właśnie dlatego wydaje mi się to szczególnie urocze! Kiedy stoi twarzą w twarz ze śmiercią, nawet nie drgnie, a wspomnienie matki rozczuła go jak dziecko! To pewne, że skoro tak gorąco potrafi kochać matkę, równie namiętnie ubóstwiaćby kochankę. Boże, kiedy na niego teraz patrzę, muszę wiedzieć, że ten widok wzruszałby nawet śnieżnego bakana

powiedzieć, że ten widok wzięszyby nawet śnieżnego bałwana (oczywiście bałwana płci żeńskiej)! Ta gra smukłych, długich mięśni pod czystą koszulą, ten czarujący męski profil! Doprawdy, istny piec męskości, w którym buzuje siła i dziarskość, buchając gorącem nie do wytrzymania. I ten upał wokoło! To podniecające brzęczenie owadów! Ach, to zbyt wiele na słabą dziewczynę!”.

Tu Tornado Lou omdlała i zwała się na rewolwerowca, który dzielnie stawiał czoła temu uderzeniu, przytomnie podtrzymując masywne ciało. Nasuwa się trafne porównanie, że padła mu w ramiona jak zwiędły, delikatny kwiat, ale ponieważ określeniem „zwiędły” obrazilibyśmy to świeże dziewczę, a słowo „delikatny”, biorąc pod uwagę jej proporcje, jest nie na miejscu, musimy z porównania tego zrezygnować.

Zdesperowany Joe przekładał piękne ciało z ręki na rękę, daremnie usiłując sobie przypomnieć wskazania pierwszej pomocy, jaką należy stosować w podobnym wypadku. Nagle zemdlona Lola wyszeptała: – Gorset! Niech pan rozsznuruje gorset! To mi wróci przytomność! – Lemoniadowy Joe usłuchał ochoczo i płonąc z zakłopotania, jął się przebijać przez armię guziczków i haftek do gorsetu; kiedy w końcu doń dotarł, całkiem stracił głowę. Skomplikowany system tej dyskretnej części damskiej toalety uczynił go zupełnie bezradnym. Zaciekle walczył z przekłętymi tasiemkami, obracając zemdloną z boku na bok jak tobolek. Nieboga wciąż jeszcze miała nadzieję, że tak nikantra sytuacja roznieci w rewolwerowcu należyty żar

z tak pikantną sytuacją roznieci w rewolwerowca kłóczyły zaś. Ale się diablo omyliła. Joe myślał tylko o swym samarytańskim posłannictwie. W końcu widząc, że nie da sobie ze sznurówką rady, postanowił ułożyć Lou w powozie i odwieźć do miasta, gdzie doświadczony fachowiec wyswobodziłby biedaczkę z cisnącego pancerza. Chwycił więc dziewczynę w ramiona i lekko sapiąc, potoczył się do wehikułu, przeprowadzany zdumionym wzrokiem obu rumaków. Nagle przypadkiem spojrział w górę.

Spojrzął i stanął jak wryty, zobaczył bowiem coś zdumiewającego.

## SPADA ZASŁONA TAJEMNICY ORAZ TORNADO LOU

Na jaśniejącym niebie pomału, ale wyraźnie występował odwrócony obraz starannie utrzymanego ogródka. Na posypanej piaskiem ścieżce można było dostrzec mężczyznę i dziewczynę, oczywiście także do góry nogami. Ukazanie się obrazu wcale nie zaniepokoiło Joego. Wiedział, że ma do czynienia z zadziwiającym zjawiskiem przyrody, fatamorganą, inaczej zwaną złudzeniem wzrokowym, które w tym kraju w pewnych warunkach meteorologicznych występuje dość często. Niestety, interesujący ten fenomen pod naciskiem żelaznych praw optyki wystąpił, być może wbrew woli, w obrazie odwróconym, Joe nic mógł więc dobrze rozpoznać obu postaci, które wydały mu się bardzo frapujące.

Nagle, niemal w ułamku sekundy, zakiełkowało w nim straszliwe podejrzenie.

– Dobry Boże – zaszepotały jego pobladłe wargi – to niemożliwe!

Bez żadnego ostrzeżenia upuścił Lolę na ziemię. Pokażne poduszki tłuszczu złagodziły skutki upadku dziewczyny, a w tymże samym momencie Lemoniadowy Joe zręcznie stanął na muskularnych rękach, by się upewnić w swym okropnym przecuciu pod lepszym kątem widzenia.

W przejrzystym powietrzu toczył się tymczasem dramat, będący odbiciem wypadków rzeczywistych, acz oddalonych o setki mil stąd. Ledwie rewolwerowiec rzucił na nie okiem, z jego gardła wydarł się okrzyk najpierw zdumienia, potem żądzy zemsty, a w końcu wściekłości.

Cóż zobaczył?

To:

Dziewczyna, idąca ogrodową ścieżką, istotnie okazała się panną Breakenridge. Trzymała oburącz wielki garnek melasy, smakołyku dla królików, których pomieszczenia widać było w głębi. Tuż za dziewczyną szedł wystrojony elegant. Joe z irytacją spostrzegł w jego oczach, spoglądających ukradkiem na dziewczynę, lubieżny błysk. Długo się zastanawiał, gdzie widział już tego typka? W końcu przypomniał sobie: wszak to



nikt inny, jak ów czarno odziany elegant z dylizansu Kingsleya! On to skradał się za Winnifredą, zerkając nieskromnie na jej talię i pałac przy tym wielkie cygaro. Lemoniadowego uderzył właśnie jego sposób palenia. Przyjrzał się lepiej i nagle dostrzegł, że elegant trzyma cygaro w lewej ręce, między małym a serdecznym palcem! Wspomniany wyżej mściwy okrzyk był jedynie przyczynkiem do tego odkrycia. Lecz cóż to? Co się dzieje dalej!! Zidentyfikowany akurat morderca Billa chwycił nagle nic nieprzeczuwającą Winnifredę z tyłu za ramiona i usiłował wycisnąć pocałunek na jej śnieżnobiałej szyi. Dziewczyna jednak uskoczyła zwinnie i z rozmachem wpakowała rozpustnikowi na głowę garnek z melasą. Po czym pobiegła jak spłoszona sarna, nawet się nie oglądając, podczas gdy nikczemnik śmiesznymi ruchami usiłował wydobyć głowę z naczynia. W końcu jego usiłowania uwieńczone zostały sukcesem. Wyglądał przekomicznie, gdy tak stał, nieprzytomny z wściekłości, a na osłodzoną głowę zlatywały mu się chmury much. W tym momencie obraz zaczął blednąć, aż znikł zupełnie.

Joe powrócił do zwykłej pozycji z twarzą czerwoną jak krąg edamskiego sera. Nie musimy opisywać jego uczuć. Wystarczy powtórzyć, że widział swą najdroższą Winnifredę napastowaną przez mordercę Billa. Tak, to zupełnie wystarczy!

Nie tracąc ani chwili, wskoczył na kozioł i zaciął konie – zrozumiał, że co rychlej pragnął wyruszyć w drogę do Cowntown. O Tornado Lou całkiem zapomniał.

Fatamorgana oraz kilka nieartykułowanych okrzyków rewolwerowca zdradziły szansonistce wszystko. Siedziała teraz w kucki w pyle drogi, odtrącona przez tego, którego tak pożądała. Dość spojrzeć na jej ciskające błyskawice oko, by zrozumieć, że gorąca sympatia zmienia się w jej sercu w równie gorącą nienawiść. O nie, Tornado Lou nikt nie obrazi bezkarnie. Powinieneś teraz ujrzeć jej twarz, rewolwerowcze – zrozumiałbyś, że za ten ranek zapłacisz, ha, drogo zapłacisz..

Śmiertelnie blada młoda kobieta wstała z ziemi i otrzepała sobie turniurę.

W oddali cichł turkot powozu.

## GDY „CAR I CIEŚLA” BRZMI CICHO PAN HARDIN NIE LUBI CARÓW ANI CIEŚLI

Jerrold Creek – zapadła dziura na trasie dyliżansów Tombstone-Cowtown – mogło się pochlubić jedyną godną uwagi rzeczą: mechaniczną pianolą. Ów cud techniki stał w saloonie Benchleya, niemało przyczyniając się do popularności lokalu. Przeładowana rzeźbami, gzymsikami i kolumnkami, pełna ozdób z brązu, politurowana i wypolerowana świegocząca skrzynia stała akurat naprzeciwko baru, odbijając się we wprawionym w ładę wielkim lustrze. Doprawdy, w promieniu wielu mil nie znaleźlibyście takiej pianoli, chociażby z tego prostego powodu, że w najdalszej nawet okolicy nie

znaleźlibyście żadnej. Gdy nakarmiło się ją niklową monetą, grała coś ze swego wszechstronnego repertuaru. Ludzie będący w dobrym humorze najchętniej słuchali piosenek optymistycznych, jak na przykład: O Zuzanno, nie narzekaj na mnie albo Stary Dan Tucker, natomiast goście o nastawieniu patriotycznym domagali się Yankee Doodle. Jeśli owi patrioci pochodzili z Południa, dawali pierwszeństwo dziarskiemu marszowi Dixie-Land, podczas gdy samotni tułacze, bez względu na to, czy emerytowani unioniści, czy konfederaci, ze wzruszeniem pociągali osmaganymi wiatrem nosami przy melodii tkliwej pieśni Home, sweet home. Lecz i dla miłośników muzyki poważnej przygotowana była miła niespodzianka: pianola Benchleya oprócz wymienionych już melodii potrafiła zagrać także arię z opery Car i cieśla. Jesteśmy przekonani, że Lortzingowi nawet się nie śniło o tak niezwyklej interpretacji jego arcydzieła w tak odległej miejscowości.

Kiedy Joe wszedł tego popołudnia do saloonu Benchleya, było tam niemal pusto. Przy barze gadało kilku pijaków, za jednym z odrapanych i rozchwierutanych stolików trzej Teksaszczycy grali w seven-up. Dwaj z nich, starsi już mężczyźni, palący żółtawe papierosy, nie odznaczali się niczym interesującym, za to trzeci – jasnowłosy, mniej więcej dwudziestopięcioletni młodzieniec – przykuwał uwagę. Rzecz jasna, na Pograniczu włączyło się w owym okresie wielu dwudziestopięcioletnich blondynów rodem z Teksasu, ale ten niewątpliwie był osobistością słwna. odwz. obai dużo starsi nartnerz

zachowywali się wobec niego z pełnym rezerwy szacunkiem, który – jak łatwo stwierdzić – nie wypływał z jego stanowiska, lecz z ponurej sławy, otaczającej parę koltów w ozdobnych kaburach, spoczywających w tej chwili beczynnie na biodrach. Mogło się zdawać, że mamy do czynienia z nieszkodliwym, wesołym młodzikiem. Mówił i zachowywał się uprzejmie, grzecznie się uśmiechając; co i raz rzucał jakieś dowcipne uwagi. Lecz jego jasne źrenice kaziła dziwna, pozbawiona wyrazu, ale jakby czyhająca drętwota, wywołująca nieufność do mózgu, przesłaniającego to młode oko błoną jak u bazyliuszka, do zwyrodniałego mózgu, w którego najciemniejszych labiryntach czai się potworna żądza mordu. To spojrzenie dawało nam prawo sądzić, że obaj starsi vaqueros szanują swego towarzysza jako niebezpiecznego zabijakę.

Joemu oczywiście przez głowę nie przeszło analizować wyraz ślepiów jakiegoś tam rewolwerowca. Jeżeli myślał o czyichś oczach, to należały one do panny Breakenridge. Lecz – jak to wyraźnie wynikało z fatamorgany – chwila była zbyt poważna, aby rozmyślać o szczegółach postaci Winnifredy, skoro niebezpieczeństwo zagrażało całości. Postój dyliżansu Tombstone-Cowtown miał trwać około trzech kwadransów, a czas ten wystarczał naszemu bohaterowi na obfitą przekąskę, uzupełnioną oczywiście nieodzowną butelką lemoniady Kolakoka. Joe usiadł więc przy stole tuż obok pianoli i zamówił jaja na szynce. Nim przyniesiono mu posiłek, zajął się wyborem stosownego utworu, który by nie tylko odnowiadał jego

osobnego utworu, który by nie tylko opowiadał jego poważnemu nastrojowi, ale także pomagał trawić. Wydało mu się, że miłosny duet cara i cieśli z opery tejże nazwy spełnia oba warunki. Wykonawszy więc wszystkie czynności potrzebne do wprawienia w ruch muzycznego mechanizmu, wrzucił w otwór monetę i ze stęsknionym sercem czekał na muzykę i szynkę. Jedno i drugie przyszło niemal równocześnie. Jedno i drugie zachwyciło go. Toteż gdy ostatni kęs ześliznął się do żołądka, a w uszach przebrzmiał ostatni chrapliwy akord, zamówił znowu szynkę z jajami i znów nastawił arię z opery Car i cieśla. Szynka została zjedzona, car i cieśla umilkli. Wprawdzie nie zamówił już trzeciej porcji, ale za to znowu pozwolił grzmieć carowi i cieśli. Wówczas młody mężczyzna, grający w seven-up, obrzucił go spojrzeniem, którego przy najlepszej woli nie moglibyśmy nazwać uprzejmym. Ale nasz rewolwerowiec, pochłonięty słuchaniem podniosłej melodii, nie zauważył tego nieprzyjaznego zerknięcia. Kiedy pianola przestała grać, wprawił ją w ruch ponownie. Tym razem jednak rozryczał się w barze Stary Dan Tucker. Potem Joe zagrał sobie arię z opery Car i cieśla, wysłuchawszy bowiem pieśni Stary Dan Tucker, zrozumiał, że jedynie muzyka Lortzinga odpowiada jego obecnemu stanowi ducha. Jednakże młody Teksaszczyk był całkiem odmiennego zdania. Położył karty i zrobił taką minę, że jego twarz do złudzenia przypominała zapchany krater, w każdej chwili grożący wybuchem o stokrotnie silniejszej niż zwykła mocy. Mimo to po mistrzowsku udało mu się opanować, bo zmusił język do spokojnego wypowiedzenia ułożonego

z namysłem zdania:

– Moglibyście dać tej pianoli chwilę odpoczynku, mój nieznajomy – rzekł uprzejmie.

Joe spojrział nań niepojmującym niczego wzrokiem, duch jego bowiem dopiero zstępował z nieziemskich wyżyn, gdzie uniosła go uskrzydłona, porywająca operowa melodia, nie zrozumiał więc jasno sensu wypowiedzianych słów.

– Chcę przez to powiedzieć – ciągnął młody mężczyzna z chwalebłą cierpliwością – że ta pianola jest biednym, niemym instrumentem, który nie może wam powiedzieć, abyście pozwolili chwilę odpocząć zmęczonemu mechanizmowi. Ja jednakże nie jestem niemy i mogę was poprosić o trochę odpoczynku nie tylko dla pianoli, ale i dla moich maltretowanych uszu!

Joe był już zupełnie przytomny. Zmierzył mówiącego spojrzeniem pełnym nieopisanego zdumienia, bo nie mieściło mu się w głowie, jak taka wspaniała aria może maltretować czyjeś uszy. Toteż natychmiast wystąpił z jej obroną.

– Potrafię sobie wytłumaczyć wasz wstręt do tej muzyki, rewolwerowcze – powiedział uprzejmie. – Nie jest to przecież lekka piosenka, której łatwa melodia od razu się podoba, ale i równie szybko brzydnie. W tym wypadku macie do czynienia z wartościową, poważną muzyką, w którą trzeba się wsłuchać.

Dopiero po kilkakrotnym przesłuchaniu można zrozumieć jej wielkie wartości i doznać przy jej dźwiękach uczuć najwyższej rozkoszy. Posłuchajcie tylko, a jestem pewien, że przyznacie mi rację!

To mówiąc, wrzucił w otwór monetę. Pianola odkaszlnęła, po czym zaczęła grać, w ramach swych ograniczonych możliwości, arię z opery Car i cieśla. Przez kilka sekund na twarzy Teksańczyka zmagaly się we wścieklej walce diametralnie różne uczucia. Najpierw wyglądał, jakby zamierzał całe Jerrold Creek obrócić w kupkę gruzów, potem jednak przybrał taką minę, że nawet najłękliwsze dziecko nie bałoby się usiąść mu na kolanach. Zwrócił się do swych towarzyszy, którzy gapili się na Joego z otwartymi ustami, i powiedział:

– Muszę się przyznać, chłopcy, że już chciałem zaplombować mu gębę ołowiem, żeby nie plótł tyle, ale niech sobie bajdurzy. Grzechem byłoby mu przerywać, skoro może nas ubawić jeszcze kolosalniejszymi bzdurami. Zabraniam wam mu się sprzeciwiać. Sądzę, że należy do ludzi, którzy twierdzą, że są Juliuszem Cezarem czy Napoleonem, i nie wolno im tego perswadować, bo stają się niebezpieczni!

A do Lemoniadowego powiedział:

– Macie słusność, ta muzyka to prawdziwa rozkosz!

Niebieskawa żyła wstąpiła na szlachetnym czole naszego

rewolwerowca.

Umiał czytać między wierszami, a ze słów młodzieńca wyniósł wrażenie, że jest wyśmiewany. Dlatego zdecydował się bez owijania w bawełnę dać wyraz pogardzie dla muzycznej ignorancji Teksańczyka. Rzekł:

– Doprawdy, rewolwerowcze, zdaje się, że usiłując pozyskać was dla muzyki Lortzinga, rzucam perły przed wieprze. Żebyście jednak mieli z tego jakąś korzyść, wiedźcie, żeście słyszeli arię z opery Car i cieśla, która należy do żelaznego repertuaru najśłynniejszych oper świata!

Po tych słowach wyjął z kieszeni nikłową monetę i wrzucił ją w otwór, zapewniając sobie w ten sposób ponowne wysłuchanie arii z Cara i cieśli.

Teksańczyk spowaźniał. Jego ręce rzuciły kotwicę w niesympatycznej bliskości obu koltów, a opisany już błysk w oczach stał się ohydny. Spojrzał na Joego ostro i huknął:

– Nie lubię carów, a co do cieśli, to także nie pałam do nich sympatią. Ale nie o to teraz idzie. Chcę wam powiedzieć co innego: to, że macie w głowie o jedną klepkę mniej czy więcej, nie jest powodem, żebyście bezkarnie dręczyli ludzi i zmuszali ich do słuchania brzęków tej zachrypniętej skrzyni. Właściwie dziwię się, że tracę z wami czas na bezcelowej



gaulanie. Doprawdy, zdejmijcie kapelusz przed takim cudem anielskiej cierpliwości jak ja. Tak, powiadam wam, cudzoziemcze, zdejmijcie kapelusz!

W tym momencie trzymał już oba kolty i naciskał spusty. Huknął strzał i z głowy Lemoniadowego zleciał stetson. Joe podniósł go spokojnie i otrzepał, nie spuszczać przy tym z oczu Teksańczyka, który stał, uśmiechając się triumfująco, i okręcał wokół wskazujących palców, ze zręcznością urodzonego rewolwerowca, obie czterdziestki czwórki o dymiących jeszcze lufach. Joe uśmiechał się również. Przestrzelony kapelusz miał już na głowie i uparczywie spoglądał na strzelca, któremu w końcu, jak się zdaje, sprzykrzyło się popisywanie sztuczką z pukawkami. I wtedy nadeszła chwila, której bez wątpienia niecierpliwie oczekiwaliście, dowodziłoby bowiem braku charakteru autora, gdyby pozwolił jakiemuś fanfaronowi tak ośmieszyć swego bohatera.

A więc w chwili, kiedy Teksańczyk wpuścił kolty do kabur, pewien, że przestraszył Joego, w tym ułamku sekundy, gdy jego palce puściły kolby rewolwerów w przeświadczeniu, że wślizgną się one do swych skórzanych łózek – w tej chwili wypalił Lemoniadowy Joe z obu smith&wessonów i odstrzelił młodzikowi od pasa obie kabury, tak że kolty, nie znalazłszy oparcia, upadły na podłogę, a teksański rewolwerowiec pozostał żałośnie bezbronny.

Wszycy obecni. łącznie z noszkodowanym zastępcą

w bezruchu, jakby pozowali do fotografii z długą ekspozycją, o ile oczywiście poważny fotograf chciałby zdejmować obiekty o tak niewiarygodnie głupich minach. Joe naturalnie do nich się nie zaliczał, ponieważ nie miał głupiej miny. Zresztą, jakeście widzieli, nie miał do niej najmniejszego powodu. Skromnie się uśmiechając, w grobowej ciszy zagrał sobie jeszcze raz arię z opery Car i cieśla, po czym dźwięcznym głosem poprosił kelnera o szklankę lemoniady Kolakoka. Wówczas Teksańczyk, zamroczony dotąd zdumieniem, coś wreszcie zrobił, to jest nagle się ocknął. Zmrożone oblicze roztajało w uszczęśliwionym uśmiechu. Zapytał pośpiesznie:

– To pan jest Lemoniadowy Joe?

Nasz rewolwerowiec potaknął, trochę zirytowany nieoczekiwaną zmianą w wyrazie twarzy pytającego. Ale Teksańczyk zajaśniał jak wigilijne drzewko. Odetchnął z zadowoleniem i rzekł:

– Nareszcie pana złapałem! Tyle czasu węszę po pańskich śladach! Ale nie szkodzi! Najważniejsze, że pana znalazłem! Nazywam się Hardin. Pański stryj Bud polecił mi oddać panu pewien drobiazg!

## KILKA SUCHYCH FAKTÓW O PANU HARDINIE

John Wesley Hardin był naprawdę interesującą postacią. Sami

zresztą się o tym wkrótce przekonacie. Życie nie traktował go najlepiej, ale i on nie odniósł się w rękawiczkach do życia tych dwudziestu pięciu ludzi, których zabił.

Urodził się w latach pięćdziesiątych jako syn bonhamskiego (Teksas, hrabstwo Fannin) karczownika i nauczyciela. Mając lat szesnaście, uczył w szkole w Navarro County chłopców i dziewczęta, z których większość także święciła już szesnaste urodziny. Ale wodzowskie cechy jego charakteru nawet w najstarszych uczniach wpajały bezgraniczny respekt dla młodziutkiego nauczyciela. Ojciec, zagorzały konfederat, wychował go na zacieklego wroga Północy; pierwszym człowiekiem, którego John Wesley zabił, był pewien ideowy protegowany Jankesów na ziemiach pokonanego Południa. Krótko mówiąc, był to pewien Murzyn Mojżesz. Tą zbrodnią Hardin jeszcze jako dziecko wstąpił na drogę wyjętego spod prawa. Siedząca w nim bestia zmuszała go do zabijania. Strzelał do swych przeciwników z koltów i obciętych śrutówek, przy kartach, w przypadkowych sprzeczkach w saloonie, w obozowiskach pastuchów bydła. Nie można powiedzieć, by zabijał w krwiożerczym szale. Często robił tylko to, co ten drugi uczyniłby o ułamek sekundy później. Nie miał nic wspólnego – oprócz miłego, chłopięcego wyglądu – z takim Billym Kidem, który prawdę mówiąc, był patologicznym bandytą. Nigdy także nie rabował ani bydła, ani dylizansów, ani pociągów, ani banków.

Redac urodzonym jeźdźcem i desperado. Żył z tego, co zrobił

Będąc urodzonym jeźdźcą i desperado, żył z tego, co zarobił jako pastuch, albo z gry w karty. Szczególnie chętnie grywał w seven-up, dlatego też zwano go Mały Siedem na Górze.

Kiedy skończył lat dziewiętnaście, miał na swoim koncie piętnastu zabitych. Wtedy właśnie przybył do Abilene, gdzie w tym czasie funkcję szeryfa sprawował sam pułkownik Hickok. Johna Wesleya poprzedzała taka fama, że Dziki Bill ze wszystkich sił starał się być z nim w dobrych stosunkach. Ale nie przychodziło mu to łatwo. Wkrótce starli się w gwałtownej sprzeczce. Szeryf wycelował w Hardina z kolta i rozkazał mu oddać broń. Wówczas desperado istic czarodziejskim, przez siebie samego wynalezionym chwytem wyciągnął rewolwery i wziął Hickoka na muszki. Rozważne słowo Billa wszystko ostatecznie ułagodziło, ale od tego spotkania sławny szeryf już z Teksasńczykiem nie zadzierał. W końcu jednak Hardin musiał z Abilene uciekać. Dym jego straszliwych koltów otulił go wprawdzie obłokiem krwawej legendy, powoli jednak ziemia pod nogami paliła mu się coraz bardziej. Ranczerzy i strażnicy prawa urządzali nań wściekle nagonki. W końcu ujęli go, lecz im uciekł, zabijając szeryfa i kilku innych. Nienawiść do całego klanu Hardinów wzrosła do tego stopnia, że graniczyła z szaleństwem Brata Wesleya, Joego, poważnego prawnika, powieszono wraz z dwoma braćmi stryjeczными. Ten sam, ba – jeszcze gorszy los spotkał wielu dalszych jego krewnych i przyjaciół. Później John Wesley zastrzelił jeszcze dwóch czy trzech detektywów Pinkertona, lecz w końcu aresztowano go, kiedy jednak wreszcie postawiono przed sądem i skazano

kiedy jecnął pociągami, postawiono przed sądem i skazano na dwadzieścia pięć lat zakładu karnego. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat i zabił dwudziestu pięciu ludzi.

Więzienie nie od razu poskromiło jego dzikość. Bezustannie zastanawiał się nad ucieczką, planował niedorzeczne spiski, obmyślał szalone bunty, kopał długie podziemne chodniki, ale szczęście go opuściło. Karany chłostą, ciemnicami, izolatką i postem, pozostał niezłomny w swym oporze. Wsadzili go do beczki, do której bez przerwy ciekła woda. Nie chcąc się utopić, musiał bez chwili odpoczynku pracować przy pompie wyczerpującej wodę. On jednak skrzyżował ramiona i ani drgnął, podczas gdy woda wznosiła się coraz wyżej, sięgała mu piersi, szyi, ust, nosa, czoła, aż wreszcie zamknęła się nad głową. Wyciągnięto go półmartwego. Nowe próby, nowe kary. W końcu czas złamał ten nadludzki upór. Hardin jął teraz wiele rozmyślać, ale już nie o ucieczce. Zajął się matematyką, historią, teologią, gorliwie uczęszczał do szkoły niedzielnej, wodził rej w kółkach dyskusyjnych, jednym słowem – stał się wzorowym więźniem. Kiedy na koniec ukończył prywatne studium prawa, został przez gubernatora ulaskawiony. Do huntsvilskiego zakładu karnego przybył, mając lat dwadzieścia pięć; wyszedł stamtąd jako człowiek czterdziestojednoletni, przekonany, że rozpocznie nowe życie.

Osiadł w Gonzales z zamiarem prowadzenia praktyki adwokackiej. Cóż za szczególna historia! Człowiek, który negardzał prawem, wybiera sobie zawód, którego istota jest

pogauzał prawnik, wylicza sobie zawód, którego słowem jest jego komentowanie. Ale los podstępnie obrócił się przeciw niemu. Hardin nieszczęściem dla siebie wplątał się w spór prasowy z politykiem, który wkrótce wygrał wybory. Hardin musiał więc opuścić Gonzales. Zarzucił kotwicę w El Paso, jednej z ostatnich wysepek barwnego pogranicznego życia swej młodości. Tak, era wielkich rewolwerowców należała już do romantycznej przeszłości. Pułkownik Hickok i Billy Kid nie żyli od wielu lat, Buffalo Bill jeździł ze swoim cyrkiem jako zwykły przedsiębiorca. W El Paso jednak grzniały jeszcze kołty. Stare namiętności, które zdały się już głęboko pogrzebane, nagle budziły się ze złowieszczym pomrukiem. Hardin, rozgoryczony na społeczeństwo, które na nowej drodze życia rzuca mu kłody pod nogi, złamany przez nieszczęśliwe małżeństwo, wpadł znowu w szpony alkoholu i hazardu. Tymczasem za jego plecami przygotowywały się ohydne rzeczy. Zaraz po jego przybyciu do El Paso dwaj zabijacy, Selman i Scarborough, obaj będący na służbie prawa, pokłócili się, któremu z nich przypadnie przywilej zabicia słynnego Hardina. W rzeczy samej, nietrudno sprowokować do sprzeczki rozgoryczonego i z natury już kłótliwego człowieka. Wkrótce Hardin pokłócił się z Selmanem. Potem poszedł do saloonu Acme i grał przy barze w kości. Szeryf John Selman niepostrzeżenie wszedł do baru; w momencie, gdy kostki padały ze stukiem na szynkwias, a prawnik Hardin mówił: – Cztery szóstki wygrywają! – szeryf Selman bez słowa wpackował mu kulę w głowę, a w plecy jeszcze dwie. Człowiek, który zabił najwięcej ludzi ze wszystkich

rewolwerowców, uderzył czołem o ladę i z wolna osunął się wzdłuż mahoniowego bufetu. Gdy padł wreszcie na ziemię, był już martwy. Od tego wydarzenia nie upłynął rok, a Scarborough zabił Selmana; ale to już do niniejszej historii nie należy.

Jak wnet ujrzycie, John Wesley nie odegrał większej roli w przygodach Lemoniadowego Joego. Wolno więc zarzucić autorowi, że wikła się w zbyt długie dygresje. Jednak tragiczna postać Hardina stanowi tak wyborny materiał do studium z psychologii, jego losy zaś tak świetnie ilustrują czasy i miejsce, że nie sposób było odrzucić pokusę zaprezentowania czytelnikom tych paru faktów, choćby w stanie surowym.

A teraz szybko, obiema nogami wskoczmy w naszą pogmatwaną opowieść.

## STRYJ BUD NIE ZAPOMNIAŁ

– Nazywam się Hardin. Pański stryj Bud polecił mi oddać panu pewien drobiazg.

Po tych słowach Teksańczyk wybiegł na ulicę, zaraz jednak wrócił, niosąc wielkie troki, z których po krótkim szukaniu wyciągnął jakiś podłużny przedmiot owinięty w miękką skórę. Okazało się, że jest to rewolwer systemu przypominającego wyroby fabryki Colta.

– Stryj przekazuje to panu w spadku – wrzasnął Hardin,

przekrzykując hałas pianoli, brzęczącej arię cara i cieśli z opery Lortzinga pod tymże tytułem.

– Jak to... w spadku? Czy chce pan przez to powiedzieć, że mój stryj...?

– Tak, zrobi pan najlepiej, mówiąc o wszystkich jego poczynaniach w czasie przeszłym.

– Jakże to się stało?

– No cóż, miał pecha. Przyszedł do baru i zamówił sobie wódkę. Zachowywał się zupełnie cicho. Zresztą wszyscy zachowywali się cicho, bo siedzieli tam Ben Thompson i King Fisher, obaj dobrze podchmieleni, i nikt nie pragnął zaszczytu zwrócenia na siebie ich uwagi. Nawet kiedy byli trzeźwi, trzymały się ich wisielcze żarty, a cóż dopiero pod muchą. Pański stryj popijał całkiem spokojnie, ale światło lampy padało mu na łysinę, która błyszczała tak, że księżyc w pełni zzieleniałby z zawiści. Oczywiście zaraz przykuła uwagę Fishera. Był nią zachwycony. Powiedział, że aż rwie oczy. Że jest tak gładka, iż nawet kula rewolwerowa mogłaby się po niej ześliznąć. „Nie ześliznęłaby się” – stwierdził Ben Thompson, czkając. „Ześliznęłaby się” – ryknął King Fisher. Założyli się o pięćdziesiąt dolarów. King nakrył łysinę pańskiego stryja muszką sześciostrzałowca...

– I ześliznęła się? – wyszeptał Joe, nie mogąc oddychać



z emocji.

John Wesley zwiesił głowę.

– Nie ześliznęła się...

Joe, aby ukryć wzruszenie, wcisnął wściekłym gestem monetę w otwór pianoli, wznawiając w ten sposób carsko-ciesielskie orgie. Hardin milczał chwilę, nie chcąc zakłócać zadumy Joego, którego myśli z pewnością unosiły się gdzieś wysoko, w podgwiezdnych rejonach, u boku duszy stryja. W końcu jednak przerwał głuche milczenie.

– Tak, to był wspaniały chłop, pracowaliśmy razem przez jakiś czas i myślę, żeśmy się dobrze rozumieli. Pan mu chyba przyłgnał do serca, bo często pana wspominał. No i dał mi tę zabawkę, abym ją panu oddał, gdy go już na tym świecie nie będzie. Ale przecież pan, rewolwerowcze, jeszcze nie wie, co za cudo odziedziczył. Nie wie pan, że rewolwer, który trzyma pan w ręku, nie jest zwyczajnym rewolwerem. Skądże! Ten rewolwer jest rewolwerem stryja Buda, a to oznacza, że musi być trochę niezwykły. I jest!!! Jednym słowem, ten rewolwer strzela w bok!... Daj go pan zresztą!

Wyjął Lemoniadowemu z ręki sześciostrzałowiec Buda i wycelował w sennego barmana, który dotychczas z wyrazem nieuleczalnej nudy na twarzy obserwował rozgrywające się przed nim wydarzenia w największym stopniu wstrząsające

przez nich wyuczona, w najwyższym stopniu wszechając pozostałymi ich świadkami. Jednakże widok groźnie wymierzonej lufy ożywił znużonego młodzieńca tak bardzo, że bezgłośnie niby duch szedł pod ładą.

Trach!

Naprawdę, był to istny cud. Lustro za plecami barmana nie roztrzaskało się, ale kansaskiemu handlarzowi bydła, który stał o kilka kroków w bok od Hardina, odleciał wspaniale zakręcony lewy wąs. Naturalnie, wszyscy wybałuszyli oczy ze zdumienia. Poszkodowany Kansasczyk jął co prawda ordynarnie wymyślać, ale na szczęście w porę go uświadomiono, kto mu wyrządził opisaną wyżej krzywdę, toteż uspokoił się od razu i nie zrobił nic, co by Johna Wesleya upoważniało do wypitowania na kolbie dwudziestego szóstego nacięcia.

Joe miał diabelną ochotę zabawić jeszcze jakiś czas z Hardinem. Interesowały go losy zgasłego stryja, chętnie wydusiłby z zabijaki którąś z typowych Budowskich historii. Ale przelotne spojrzenie na kieszonkowy zegarek kazało mu się co szybciej zbierać, bo dylizans z pewnością nie będzie nań czekał. Pożegnał się więc serdecznie z Hardinem, który mimo dwudziestu pięciu grobów, bramujących drogę jego życia, wywarł na nim bardzo dobre wrażenie, i pośpieszył na stację, gdzie wszystko już było przygotowane do odjazdu. W kilka minut potem dwadzieścia cztery wypoczęte kopyta zmniejszały przestrzeń dzielącą go od ukochanego dziewczęcia i chwili zemsty. Lecz

Lemoniadowemu nic nie wydawało się wystarczająco szybkie, nawet fenomenalna szybkość światła oznaczała dlań tyle, co pełzanie ślimaka. A przecież całkiem widocznie zbliżał się do Cowntown. I właśnie na ostatniej stacji wydarzyła mu się przygoda, która omal nie skończyła się fatalnie. Wysiadając z dylizansu, zobaczył, że zza ogrodzenia wybiega osiodłany konik, złośliwie zezując za siebie. Te obłudne zerknięcia rzucające były na córkę dzierżawcy stacji; uciekający rumak należał do niej, ale umyślił sobie, że już dłużej należeć nie będzie. Joe, poznawszy opisane fakty, poprosił o lasso i wierzchowca, po czym puścił się w pogoń za uciekinierem, pewien, że złapie go, nim jeszcze przepręgna konie w dylizansie. Goniąc za nikczemnym czworonogiem, oddalił się znacznie od stacji. I wtedy przytrafiło mu się coś kompromitującego: manipulując lassem, tak się zaplątał w jego zwoje, że palcem nie mógł ruszyć. Dla człowieka o jego sławie sytuacja ta była wprost skandaliczna. Dlatego też nawet nie pisał i skrępowany jak niemowlę spędził noc pod gołym niebem. Dopiero rano przybyła pomoc, przywiedziona przez zbiegłego konia, któremu zrobiło się żal bezsilnego prześladowcy, pokłusował więc z powrotem na stację i za pomocą żywej gestykulacji zmusił dzierżawcę do udania się za nim na miejsce, gdzie leżał skrępowany, zmarznięty na kość strzelec. Kilka grzmiących kichnięć dowodziło wyraźnie, że nocleg ten opłacony będzie silnym przeziębieniem.

Ale daleko większe ciernienia od podwyższonej temperatury

sprawiły mu męczarnie duchowe, że stracił drogocenny dzień, dając w ten sposób mordercy Billa dalsze dwadzieścia cztery godziny, w czasie których mógł do woli narzucać się bezbronnej Winnifredzie. Ta myśl napelniała go nieopisaną rozpaczą. Dlatego też, nie bacząc na przestrogi kierownika stacji, wsiadł do najbliższego dylizansu, chociaż gorączka tańczyła w nim diabelskiego oberka. Do Cowntown dotarł dopiero wieczorem, tak że nikt niepożądany go nie zauważył. Kiedy pytał przechodniów o adres pana Breakenridge'a, drewniany chodnik fälował mu pod nogami. Kto szuka, ten znajdzie. Więc i Joe znalazł domek dziennikarza, choć jego niepewnymi krokami kierowało raczej stęsknione serce niż zamroczony gorączką mózg.

Panna Winnifreda siedziała akurat w bujanym fotelu, zajęta jakąś pożyteczną ręczną robótką, gdy konwulsyjne pukanie zatrzymało żywe ruchy drutów. Zdrętwiała na moment, potem jednak, dzielnie pokonując strach, podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zawołała trochę zdławionym głosem.

Chrapliwy głos wymówił nazwisko.

Dziewczyna z lekkim okrzykiem otworzyła drzwi i w ramiona jej padło pozbawione już niemal ducha ciało.

DZIEJE PEWNEGO MIASTA

CO MOŻE DAĆ COWTOWN MIŁOŚNIKOWI SIŁNYCI

## CO MOŻE DĄC COWTOWN MIŁOSNIKOWI SILNYCH WZRUSZEŃ

Cowtown należało do tych licznych miejsc globu ziemskiego, które Bóg niemiłosiernie pozbawił ożywczej wilgoci nieoczekiwanych wydarzeń i burzliwej przygody, przykrywszy je szarym wiekiem nudy. Ludzie, domy, życie – wszystko to rodziło się, istniało i umierało tu w sposób przypominający przeżuwanie krowy. Nie znaleźlibyście tu nic niezwykłego, nic, co by was zainteresowało. Właściwie nikt nawet nie wiedział, czemu osiedli tu ludzie. Nie było tu ani złota, ani nafty, ani nawet dobrej gleby. A jednak Cowtown zasługiwało na nazwę miasta. Miało jedną długą, przyzwoicie szeroką ulicę główną oraz cztery krótsze i mniej przyzwoicie szerokie ulice poprzeczne. Miało trzy bary, bank, kościół metodystów i gazetę. Nie leżało nawet daleko od ruchliwej trasy spędu bydła, lecz kowboje – zazwyczaj tracący chętnie pieniądze w byle jakiej dziurze – twierdzili, że pusta, płaska preria w porównaniu z cowntońskimi barami to wprost wesołe miasteczko, i unikali nieszczęsnego miasta jak morowej zarazy. Toteż jedynie z rzadka zawitało tu kilku Teksasńczyków, i to chyba tylko po to, żeby się przekonać, czy rzeczywiście nuda tutejsza wywiera na każdego zucha z sześciostrzałowcem tak zgubny wpływ, jak powiadają. Po kilku daremnych próbach zabawienia się w którymś z barów aranżowali jaką taką awanturę z jedyną miejscową czarną owcą, Samem Bee, którego zresztą obywatele Cowtown sami poniekąd sztucznie hodowali, nie chcąc splamić opinii miasta

smieszna nieskazitelnoscia, wzbudzajaca pogarde kazdego, kto pretenduje do miana przyzwoitego mieszkancza Zachodu.

Ale i te awantury przebiegaly jakoś ospale. Bee zostal wreszcie kiedyś w trakcie takiej bójkki zraniony, lecz nawet i ta rana odpowiadala niebohaterskiemu duchowi miasta, bo odbita rykoszetem kulka utkwila naszemu koncesjonowanemu łotrowi w lewym pośladku, co jak sami przyznacie, jest mniej efektowne, niz gdyby, na przyklad, przebila mu serce. Skrzywdzilibyśmy takze Cowntown, gdybyśmy nie wspomnieli o ulicznej strzelaninie między kilkoma pijanymi Meksykanami. Skonczyła się bardzo źle dla niejakiego Melquiadesa Semora. Jednakże umieral tak cicho i całkiem niedramatycznie, jak jakis mały urzédnik bankowy. Bardzo nam przykro, ale miłosnikom silnych wzruszeń Cowntown nie moglo dac nic, zupełnie nic.

I oto pewnego szarego popołudnia próżniacy, malowniczo garnirujacy fronton cowntowskiego urzędu pocztowego, ujrzeni lecacy z górnego konca glównej ulicy wielki oblok kurzu, grzniacy cwałem końskich kopyt i chrapliwym rykiem. Widok ten jednak nie sklonil ich nawet do tego, zeby przesunęli na pół zżute źdźbła słomy z lewego kącika ust w prawy, gdyż tajemniczy oblok nalezál do całkiem codziennego wydarzenia: nadjezdzal dylizans z Fort Mahon. Nasze leniuchy gnily w bagnistym spokoju nawet wtedy, gdy z arki z glósnym sapaniem wyszedł rumiany, o nieslychanie glupawym wyrazie twarzy mężczyzna i drobny jegomośc z atramentowoczarnymi wlosami. Ale w chwili potem Sam Bee... i pozostali też

wąsami. Ale w chwili potem Sam Bee – a i pozostali też – zmienili swą zmiętą postawę i spróbowali wyglądać tak, jak zgodnie z ich poglądami wyglądać winien mężczyzna, za którym kobiety szaleją. Brzuszyśko dylizansu bowiem wydało na światło dzienne niezwykle uroczą istotę – piękną, elegancko ubraną dziewczynę, która wysiadłszy, natychmiast z rozkosznym wdziękiem otworzyła parasolkę i skryła w jej cieniu śliczną twarzączkę, nie wiedząc, że nad Cowtown nawet rozpalony Helios traci temperament. Dziewczyna nie była sama. Zaraz za nią wysiadł imponującej postawy siwowłose pan, na którego ramieniu się wsparła. Parę tę niezwykle serdecznie powitał pan Brigham Young Pickaxe, wydawca gazety „Trąba Cowtown”; od razu zaprowadził gości do swego domku, w którym znajdowało się nie tylko mieszkanie redaktora, lecz także redakcja, drukarnia i biuro, co pana Breakenridge’a – bo z pewnością już się zorientowaliście, o kogo chodzi – nappełniło niemiłym zdziwieniem. Gdzież jest przytulny komfort zaplutek chicagowskich pokoi redakcyjnych! Brigham Young Pickaxe jeszcze tegoż wieczoru zaprowadził swego wielkowiejskiego kolegę do baru Hobbesa, gdzie codziennie zbierali się najszanowniejsi obywatele Cowtown, i przedstawił im swego następcę. Trzeba powiedzieć, że pan Breakenridge, dzięki swemu tchnącemu godnością wyglądowi oraz umiarkowanie konserwatywnym patriotycznym poglądom, podlanym kilkoma kufkami lekkiego piwa, wzbudził w czcigodnych mieszczanach zasłużone zaufanie i szacunek, otrzymał przeto obietnicę całorocznej prenumeraty, jak też

i pomocy finansowej dla swojej chwalebnej działalności. A gdy kwiat cowtownskiej śmietanki rozchodził się tego wieczoru do domu, nikt nie wątpił, że poznał dziś człowieka, który będzie miał ogromne znaczenie dla rozwoju miasta.

Mała pomyłka, panowie! Ten, któremu Los przysądził tę rolę, wstąpił wprawdzie na grunt Cowtown tego samego dnia, ale ani odrobinę nie był podobny do pana Breakenridge'a. Wyglądał niesłychanie dobrodusznie, miał wspaniale rumiane policzki i zamieszkał w hotelu Gwiazda Zachodu.

Nazywał się Shamus O'Meara.

## TRUSKAWKOWE PLANTACJE PANA O'MEARY I CO NA NICH WYROSŁO

Jak samo nazwisko wskazuje, kolebka pana O'Meary, a jeśli nie jego, to jego bliskich przodków, stała na zielonych brzegach Erinu.

Horacy spotkał go przed laty w Larned, kiedy jeszcze nieprzejrzone stada bizonów wzbijały pył Stake Plains, a obwieszone bronią zuchy w skórzanych ubiorach wyrzucały pieniądze garściami. Pod koniec lat siedemdziesiątych stada tak się jednak przerzedziły, że już się nie opłacało na nie polować, wobec czego szulerzy przestali patrzeć na łowców bizonów jak na dochodowe obiekty, z których tak długo pompowali złoto. Ale w czasie kiedy Horacy zawarł znajomość z panem



O'Meara, koniunktura Równiny dosięgła szczytu nie tylko dla łowców bizonów, lecz także dla zawodowych karciarzy.

Pan Greenwood wyszukał sobie wtedy obiecującą ofiarę w postaci jakiegoś jasnowłosego olbrzyma z Wisconsin; wiedział, że towarzystwo kolejowe zapłaciło mu właśnie za dostawę stu dwudziestu bizonich nieboszczyków. Dlatego wrogo patrzył na tłustawego, trochę obdartego jegomościa, który mu się wpakował na miejsce tego wisconsinieckiego wora pieniędzy. Różowy grubas, który wówczas siadł przy stoliku Horacego, tak pasował do środowiska larnedzkich saloonów jak Dzikie Bill do bajki Andersena. Wyglądał jednak na takiego głupca, że Horacy w końcu przedłożył pewny zarobek z jego chociażby nawet pustawej kieszeni nad wątpliwą nadzieję, jaką rokował świeżo wypchany worek łowcy bizonów, tym bardziej że jego zimne spojrzenie jakoś się graczowi nie podobało. Ale już po pięciu minutach gry Horacy ze zdumieniem stwierdził, że musiałby znać dziesięć razy tyle sztuczek, żeby być godny czyścić tłustemu rywalowi buty. Tak Horacy Jouett Greenwood z Tennessee znalazł swego mistrza. Kiedy więc obaj panowie w absolutnej ciszy, na oczach nieprzeczuwających niczego partnerów zaprodukowali najefektowniejsze numery swej sztuki, spojrzeli sobie w oczy jak augurowie i serdecznie się roześmieli.

Od tego dnia pracowali razem. O'Meara, wykorzystując swój wyjątkowo głupi wygląd, służył jako przynęta. Natomiast później, podczas gry, Horacy, którego profesja była wypisana

na twarzy aż nazbyt wyraźnie, odciągał uwagę od Shamusa, ten zaś mógł bez przeszkód posługiwać się swoimi sztuczkami. Oszuści także mają poczucie honoru. Żywym tego przykładem był właśnie O'Meara, który przy podziale łupów ani razu Horacego nie ocygał. Takich rzeczy się nie zapomina, toteż radość tennesseńskiego gracza ze spotkania u zwłok Bushmana jeszcze bardziej wzrosła, kiedy uświadomił sobie, jak wydatnie O'Meara mógłby mu pomóc w zamierzonym skupie gruntów. Bez wahania zwierzył się więc byłemu wspólnikowi i omówił z nim plan, w którym dobroduszny wygląd Shamusa znowu odgrywał rolę niezawodnej pułapki. W ten sposób stało się, że pewnego wieczoru różowy O'Meara zjawił się w Cowntown, podczas gdy Horacy jechał do Albuquerque, gdzie miał czekać na wiadomość od partnera; przedtem jeszcze załatwił kilka niezbędnych drobnostek, gwarantujących gładki przebieg dalszych spraw, aby móc w końcu zwrócić kroki do żynego Kanaan, zwanego Cowntown, które nie miało być najmniejsze między miastami arizońskimi.

Pan Shamus O'Meara zamieszkał więc, jakeśmy nadmienili, w hotelu Gwiazda Zachodu. Przy prezentacji nadał sobie tytuł pułkownika i zaczął bredzić tak głupio, że nawet najgłupszy jego słuchacz nabył wysokiego mniemania o swej inteligencji. Jeszcze tego samego wieczoru ugościł nasz fałszywy pułkownik wszystkich obecnych obywateli i roztoczył przed nimi swoje wspaniałe plany, które tylko dowiodły beznadziejnego stanu tych miejsc jego głowy, gdzie u wszystkich ludzi znajduje się mózg.

A więc zamierza założyć na peryferiach miasta rozległe plantacje truskawek i w ten sposób przyczynić się do rozwoju całego kraju. W niezwykle żywych barwach odmalował przed tymi wszystkimi twarzami, fioletowymi z powstrzymywanego śmiechu, obraz Cowntown, otoczonego czerwonym pasem słodkich owoców, przy czym nad dachami wzbogaconego miasta wznoszą się kominy fabryk, przerabiających te smaczne plony na konserwy lub wyborny dżem. Tak, cowntowskie przetwory truskawkowe będą równie dobrze znane eskimoskiemu łowcy fok, jak indyjskiemu fakirowi, który nawet przedkłada je nad ulubioną potrawę z duszonych gwoździ czy szpilek, a książę Walii traci od razu apetyt, jeśli na tradycyjnym bankiecie nie widzi przed sobą mrożonych truskawek z Cowntown. O, cały świat zna imię tego miasta, gdzie najstynniejsi pomologowie pracują gorączkowo dniem i nocą, krzyżując najwyborniejsze gatunki owoców i uzyskując tą drogą fenomenalne truskawki wielkości cielecej głowy. Ale precz z utopią, Shamusa O'Mearę wszyscy znają jako człowieka czynu, po cóż więc to gadanie? Krótko mówiąc: chciałby odkupić całą leżącą odłogiem wokół Cowntown ziemię; płaci dwa dolary za akr, co, jak każdy przyzna, nie jest złą ceną. Każdy przyznał, że to rzeczywiście dobra cena, i nikomu nie przyszło na myśl powiedzieć Shamusowi to, co wszyscy myśleli: że prędzej na biegunie północnym wyrosnie gaj palm kokosowych niż w Cowntown jedna jedyna truskawka. A nawet spaliliby, zdeptali i zadusili każdego, kto zwróciłby uwagę pułkownika na ten nieistotny szczegół: wiedzieli bowiem, że już nigdy nie nastarczy im się

szczegól, wiedzieli bowiem, że już nigdy nie nasuńczy im się okazja tak łatwego zdobycia pieniędzy.

Dlatego też, gdy nazajutrz rano pan O'Meara otworzył w tylnym pokoiku baru prowizoryczne biuro i w asyście wąsatego, długowłosego i wielkonosego jegomościa (oczywista, że był to pan Dara Shikoh) zaczął przeprowadzać transakcje, zwała się taka lawina zainteresowanych, że magik mimo swych obowiązków sekretarza i niedawnego zranienia beztrudno buszował we wnętrznościach ubrań pragnących sprzedać ziemię mężczyźni. Co pewien czas włókł się do swego pokoju, uginając się pod ciężarem wypchanych kieszeni pełnych zegarków, łańcuszków, szpilek, sztucznych szczęk, cygar i portmonetek, aby co rychlej wrócić i kontynuować cudowny połów i zadania sekretarza.

Po kilku dniach wszystko było skończone. Pułkownik zlikwidował biuro. Kieszenie miał wprawdzie puste, lecz za to serce przepelnione satysfakcją. Na jego słoneczny nastrój padał jedyny cień. Rzuciła go sękata postać Liana O'Connora, wiecznie pijanego farmera, wegetującego w starej budzie rozgryzanej zębami żywiołów i czasu, a stojącej pośrodku jego poletek. Shamusowi bardzo zależało na tych parcelach, gdyż leżały akurat tam, gdzie miała przechodzić główna ulica nowego Cowntown. Odwiedził więc ziomka w jego ruderze, po której hulały wiatry, a że wiedział, czym jest irlandzki upór, nie był wcale zdziwiony, kiedy O'Connor z istic choleryczną owalnością oznajmił mu, że kicha na jego pieniądze. Shamus

gwałtownością szarpnął ją, że kochała jego pieniądze. Stał się z miną, jakby nie słyszał jego kategorycznej odmowy, rozdzwonił swój piękny bas muzyką czystej mowy celtyckiej (w nadziei, że nacjonalistycznym miechem rozdmucha płomień, który stopi nieustępliwość Irlandczyka) i nadal namawiał go do sprzedaży. W rezultacie niegościnną chałupę najpierw opuścił cylinder O'Meary, potem jego laska, a wreszcie on sam. Ślady, pozostawione w błocie przez dłonie i kolana Shamusa, były bardzo głębokie, co zresztą dostatecznie wyjaśniała jego waga. No, ale niepowodzenie z O'Connorem stanowiło tak nieznaczne manko w porównaniu z zyskami oszusta, że wcale się tym epizodem nie kłopotał. Podobne drobnostki nie mogły przecież zachmurzyć jego okrągłej jak melon twarzy.

Horacy – mieszkający w skromnym hotelu w Albuquerque – jeszcze tego samego wieczoru otrzymał depezę na nazwisko W.W. Winter. Szybko rozerwał kopertę i przebiegł papier niecierpliwym wzrokiem.

NATYCHMIAST PRZYWIEŹĆ NASIONA STOP  
O'MEARA

Lekki uśmiech uniósł lewy kącik jego pięknych ust. Potem przyklepał laseczką cylinder i udał się do baru Solidny Łyk. Tam zamienił kilka słów z człowiekiem o wąskiej twarzy, w którego towarzystwie wsiadł następnego dnia do dylizansu. Stróżę prawa w Albuquerque odetchnęli. Nie wiedzieli wprawdzie, kim jest czarno odziany nieznajomy, który tego ranka opuścił miasto, ale

znali dobrze jego wąskogłowego towarzysza, zabijakę Clema Wilczą Twarz, i niechętnie widzieli go w swym okręgu. Wyciągał pistolet nawet w takich razach, kiedy przyzwoity mężczyzna zadawała się znaczącym położeniem dłoni na kolbie.

Kiedy Horacy w kilka dni później spotkał się z O'Mearą w barze Gwiazdy Zachodu, każdy przysiągłby, iż ci dwaj panowie widzą się pierwszy raz w życiu. Już po trzech szklankach, które zwilżyły uprzejmą rozmowę o obecnej sytuacji meteorologicznej, zasiedli do karcianego stolika. Z początku stawki były niskie i pułkownik wygrywał, potem jednak oczy widzów powoli zaczęły wychodzić z orbit. W ciągu pięciu minut O'Meara przegrał całą zakupioną ziemię. Horacy robił minę, jakby go taka wygrana niezbyt cieszyła. Co z nią pocnie – on, wieczny tułacz, zasypiający co dzień w innym łóżku? Dla człowieka, który przywykł do urozmaiconego życia wielkich miast, to żadna przyjemność być przywiązanym pętami nieruchomości do tej rozpaczliwie nudnej dziury. Chętnie się ich pozbędzie, choćby nawet za bezcen, niech tylko trochę odetchnie po męczącej podróży. Obywatele Cowtown zacierali ręce, błogosławiąc w duchu głupotę i pecha O'Meary.

Być może, iż ta komedia, tak starannie odegrana przez obu spryciarzy, wyda się wam niepotrzebna. Ale przezorność mądrze im doradzała, aby do końca skrywali swe prawdziwe twarze.

Pewnego popołudnia, jeszcze przed przybyciem dylizansu z Fort

Mahon, przed domem burmistrza zatrzymała się lekka bryczka. Wyskoczył z niej mężczyzna o apoplektycznie czerwonej twarzy, z włosami przylepionymi do pokrytego warstwą kurzu czoła, na którym strużki potu żłobiły zygzakowate ścieżki. Przerzucił lejce przez balustradę werandy i głośno sapiąc, wpadł do środka. W kilka chwil później do baru Gwiazdy Zachodu wtargnął tłum obywateli Cowtown i w posepnym milczeniu zatrzymał się przed Horacym, stawiającym pasjansa. Gracz, nie wstając z krzesła, spytał uprzejmie, czy może im czymś służyć. Obecni wyrazili pogląd, że istotnie oddałby im wspaniałą przysługę, gdyby natychmiast sprzedał wygrane parcele. Gracz uśmiechnął się. Zdaje się, że panowie również się dowiedzieli o doprowadzeniu do miasta linii kolejowej! Opierając pięty o poprzeczki stołu, kołysał się z krzesłem i spoglądał wesoło na poczerwieniałe oblicza. Jeden z mężczyzn, najbardziej szkarłatny na twarzy, podszedł groźnie i Horacy poczuł, że do piersi przylgnęła mu zimna lufa. Ale z tyłu zagrzmiął strzał i natrętny pistolet spadł Greenwoodowi na kolana, jego właściciel zaś z groteskowo skrzywioną twarzą, dziwnie śrubowatym ruchem osunął się na podłogę.

Obok Horacego stanął człowiek o wąskiej twarzy, patrząc chłodnym wzrokiem na mieszkańców Cowtown, którzy zbledli jak płótno.

Horacy wyciągnął z safianowego futerału długie cygaro i zapalił je powoli. Potem wstał wreszcie i wydmuchnąwszy dym prosto

w wytrzeszczone oczy burmistrza, rzekł z ironią:

– Bardzo mi przykro, mój panie, ale nie mam nic na sprzedaż.

A zwracając się do swego ponurego towarzysza:

– Co byś powiedział, Clem, na kolację? Mam dzisiaj świetny apetyt!

## SZATAN ROBI ŚWIETNY INTERES

Nowe Cowntown wybuchło jak wulkan.

Horacy dobrze znał Zachód – nie był przecież żółtodziobem. Widział powstanie i śmierć wielu „bydłęcych” miast, których barbarzyńska sława i niesławny upadek zawsze go trochę wzruszały. Często przedzierał się przez zatłoczoną ulicę, by widzieć ją za niecały rok zarośniętą trawą, z barów zaś, huczących przedtem głośnym śmiechem, dobiegało teraz zawodzenie ropuch. Musiał jednak przyznać, że to, co się teraz rozgrywało przed jego oczyma, przeszło wszelkie oczekiwania.

Nie upłynął nawet tydzień od chwili, gdy tubylcy tak niegrzecznie przerwali mu pasjansa, a główna ulica stała niemal w całości. Jakby duchy z Baśni tysiąca i jednej nocy stawiały te ohydne, pokryte sztyldami budy. Podczas codziennego rannego obchodu Horacy widział coraz to nowe drewniane szkielety domów, a wieczorem mieszkali już w nich ludzie. Piły pracowały dzień i noc, a budy stawały dżunglą z oknami ściana niemal kilkana-



I noc, a ludzie stawiali domy z całych ścian, niemal kulkami ruchami. Pewien człowiek, który zaraz w pierwszych dniach otworzył warsztat lakierniczy, zarabiał ogromne pieniądze. Aż do późnego wieczora pokrywał ze swym garbatym pomocnikiem setki szyldów niemożliwie powykręcanymi loczkami i warkoczykami ozdobnych liter, które w tych latach na Zachodzie uważano za niezwykle eleganckie. Pod tymi szyldami, reklamującymi najdziwaczniejsze nazwiska i jeszcze dziwaczniejsze przedsiębiorstwa, niemal niknęły straszliwe rudery z fałszywymi fasadami, wywierające tym okropniejsze wrażenie, im lepiej usiłowały wyglądać. Stale wyrastały nowe domy, nowe ulice. Od rana do wieczora Cowtown huczało stukiem młotów, uderzeniami kafarów, zgrzytem pił, podczas gdy płynące tłumy wznosiły potworne tumany kurzu, który melancholijnie wisiał nad huczącym miastem.

Wieść o cowtownskim runie rozbiegła się w zdumiewającym tempie. Karawany najprzedziwniejszych środków lokomocji chlustały co dzień na ulice, i tak już przepelnione, falami nowych przybyszów. Słynne pionierskie wozy o wydętych bokach, pokryte płachtami na okrągłych obręczach, turkotały obok farmerskich kolas i meksykańskich dwukółek, zatrzymując się od czasu do czasu przy akompaniamencie wymyślań woźniców, gdyż zamęt dochodził do takich rozmiarów, że leniwy nurt wozów, ludzi i zwierząt zatrzymywał się co chwila i tworzył bezkształtny kłęb. Miasto niczym potężny wir wciągało osadników, Meksykanów, szulerów, kupców, prostytutki,

kaznodziejów, rzemieślników, bankierów, rewolwerowców, bankrutów i pełnych entuzjazmu żółtodziobów.

Na jego chodnikach i w jego barach ożyły Dodge z siedemdziesiątego drugiego i Abilene z sześćdziesiątego siódmego roku.

Każdy chciał tu być jak najszybciej, jeszcze przed doprowadzeniem kolei, aby urwać jak największy kęs. Dlatego też Cowntown wzrosło o wiele wcześniej, niż tory kolejowe dosięgły jego skrajów. Wreszcie pewnego dnia wtargnęła do miasta grupa Irlandczyków, z rykiem towarzysząca długiej karawanie wozów. Przednia straż Południowo-Zachodniej Kolei Żelaznej weszła do miasta. Tak, stalowy pas był coraz bliżej. Najdziwsze legendy krążyły wokół jego krwi i potem zwilżonej budowy. Nad Rzeczką Kojotów wyleciał w powietrze cały transport nitrogliceryny. Podobno w promieniu wielu kilometrów można było znaleźć rozrzucone ludzkie członki. Joe Hunt, wędrowny drukarz, twierdził, że na Żółtej Skałce potknął się o głowę młodego Irlandczyka, ściskającą fajkę w zaciśniętych zębach. A fajka jeszcze nie zgasła! W odległości niecałej mili od Trzech Źródeł kilku zamaskowanych mężczyzn napadło na wóz pocztowy z tygodniową wypłatą. Napad został odparty, przy czym zastrzelono jednego z bandytów. Kiedy pozostali zobaczyli, że nie zdołają trupa unieść ze sobą, posypali mu podobno twarz prochem strzelniczym i zapalili, żeby nikt go nie mógł rozpoznać. Stare Cowntown słuchałoby pewnie tego rodzaju historii z najwyższym przekonaniem, ale nowe Cowntown

rodzaju historii z najwyższym przerażeniem, ale nowe Cowtown nie miało ze starym nic wspólnego.

Handlarze bydła – otyli mężczyźni o fioletowych obliczach, ze złotymi łańcuchami na kopulastych brzuchach – zamieszkali po hotelach, oczekując pierwszych stad, które zresztą nie dały na siebie długo czekać. Teksaszczyki zaleli bary jak powódź. Stada długorogiego bydła, sprowadzonego przed kilkuset laty z Hiszpanii, tłoczyły się przed Cowtown, wypasając niską preriową trawę. Zostały sprzedane natychmiast, a kieszenie kowbojów wypełniły się złotem. W mieście rozszalał się cyklon strzelaniny i wrzasków. Powtórzyła się stara historia kansaskich ośrodków handlu bydłem, gdzie konfederaci Teksaszczyki bezustannie szukali awantur z unionistami łowcami bizonów. Nie spotkali ich tu wprawdzie wielu – ich zawód upadał coraz bardziej, w miarę jak coraz szybciej wymierały resztki bizonów – ale Teksaszczyków zadowalał jakikolwiek Jankes. Na koniec z północo-wschodu przybyło wielu rewolwerowców, którzy zapewnili równowagę sił obu stronom. Noce huczały strzelaniną. Ludzie pośpiesznie chowali się pod stołami, przylegali do ścian, z nowych barów, pachnących świeżą farbą, codziennie wynoszono nieruchome ciała. Lekarz, a jeszcze częściej koroner, mieli pełne ręce roboty. Na wschodnim krańcu miasta, w ponurej kotlinie, wzdymało ziemię coraz więcej złowieszczych pagórków. Tutaj grzebano zabitych mężczyzn, w butach, bez trumien; był to słynny cmentarz obutych.

Ale nieokrzesała wesołość wybuchająca grubiańskimi żartami

nie nieokreślona wesołość, wybuchająca gwałtownymi zatańcami, odganiała myśli o śmierci. Ludzie pękali ze śmiechu, słysząc historyjkę o bracie Johnsonie i Tajemniczym Davie Mathersie... Grzmiące kazania szerzyły sławę kaznodziei Johnsona po miastach Zachodu. Płomiennymi słowami wypędzał diabła z dusz najbardziej zatwardziałyłch grzeszników, aby na jego miejscu niezwłocznie usadowić anioła zbawienia, który już sam troszczył się o dalsze sprawy. Gdy tylko przybył do Cowntown, zorganizował w największej sali tańca – kościół był zbyt mały – cykl cieszących się powodzeniem mityngów, odwiedził także bar, gdzie zbierali się najbardziej murowani kandydaci na wieczne zatracenie. Wyglądając z zimną krwią zza turniury jakiejś uszmińkowanej blondynki, która tak jak i on padła przy pierwszych strzałach na podłogę, ujrzał Tajemniczego Dave'a Mathersa, jak żywo wymachuje dwiema buchającymi ogniem czterdziestkami czwórkami z wyraźną szkodą dla swych przeciwników, wygłaszając przy tym nader frywolne uwagi; utwierdziły one brata Johnsona w przekonaniu, że chodzi o typowego grzesznika najgorszego gatunku. I wtedy nawiedziła go odważna idea: sprowadzi ten zagrożony wiecznym potępieniem egzemplarz na drogę cnoty, dodając przy tej okazji jeszcze jeden liść do swych kaznodziejskich laurów. Zaprosił więc Dave'a na niedzielne kazanie, a Dave, ku ogólnemu zdumieniu, przyszedł. Usiadł i uważnie jął się przysłuchiwać słowom Johnsona. Kaznodzieja zaczął cicho, słodko, ale stopniowo wzmacniał siłę głosu i słów, wreszcie zagrzmiął furioso, aż rozdzwięczały się szklanki na półkach bufetu.

Wydawało się, że Tajemniczy Dave Mathers jest głęboko przejęty. Ukrył głowę w dłoniach i siedział bez ruchu, wstrząsany niekiedy febrycznym drżeniem. Kaznodzieja bezlitośnie smagał krwawe psy jego grzechów pejczem trafnie dobranych słów. W końcu, rozpalony własną elokwencją, uwieńczył swoją tyradę następującym oświadczeniem: – On, kaznodzieja Johnson, jest skłonny – choćby natychmiast – ofiarować życie, aby zbawić zabijakę i potępieńca Dave’a Mathersa. Wzruszenie ogarnęło także owieczki, siedzące po obu stronach proroka. Wierni zrywali się jeden przez drugiego, przewracając krzesła, i przejęci zapalem również proponowali swoje życie za cenę zbawienia tej zbląkanej duszy. Wówczas Dave podniósł głowę, wstał i wetknąwszy palce za pas, rzekł: – Jest głęboko wzruszony tą propozycją i przyjmuje ją z entuzjazmem, szczerze bowiem zapragnął zbawienia. Da im więc okazję do zamiany słów w czyny i oddania życia za jego zbawienie. Tak, wszyscy oni wejdą do raju. Najpierw wielce czcigodny kaznodzieja Johnson, potem trochę mniej, ale również czcigodne owieczki. On, Tajemniczy Dave Mathers, przybędzie tam nieco później... Po czym wyciągnął sześciostrzałowiec i zaczął palić Johnsonowi i owieczkom pod nogi. Czcigodny kaznodzieja widocznie się rozmyślił i odstąpił od zamiaru poświęcenia życia, bo wyskoczył przez najbliższe okno, nie dbając o to, że nie jest otwarte. Zręczność, z jaką to uczynił, tak kontrastowała z poprzednimi dostojnymi ruchami, że wywarła tym mocniejsze wrażenie. Owieczki też śpiesznie opuszczały salę, używając w tym celu pozostałych okien... Ba! To były wesołe czasy!

Kobiet widziało się tu niewiele, ale za to równoważyły małą liczbę jaskrawością szminek i toalet. Wprawdzie przyjeżdżały tu także skłopotane i sterane pracą osadniczki, ale niknęły one zupełnie przy wyperfumowanych, olśniewających dziewczętach, które przed południem promenowały po głównej alei w otwartych powozach, ocienionych lekkim, falbankami i frędzlami przybranym daszkiem. Za owymi córami Koryntu pełzła smuga woni, wprawiając w drżenie nozdrza mężczyzn, których powonienie stępił kurz, smród bydła i potu. Kobiety te chępiły się nie tylko modnymi kreacjami, dość wątpliwej elegancji, lecz i z francuska brzmiącymi nazwiskami, które miały być świadectwem ich pochodzenia od pierwszych osadników, z Południa lub z Kanady. Córki irlandzkich tragarzy portowych i polskich pomywaczek przedstawiały się kansaskim hodowcom bydła jako panna Louise Lafleur, Viola Montessor, Désiré Beaugard, w nadziei, że w ten sposób wzbudzą większe uznanie swych klientów, bo nawet najbrudniejszy skąpiec nie odważy się zapłacić według tej samej taryfy zwykłej ładacznicy i upadłej córce czcigodnej rodziny. Niestety, kłamstwo to było tak oklepane, że nie dawało szczególnych rezultatów. Większość dziewcząt należała do inwentarza lepszych czy gorszych tancbud, a ich wygląd zewnętrzny odpowiadał przepychowi lub tandecie tych lokali. Bez wątplenia największymi względami cieszyły się członkinie zespołu teatralnego, który dla cowntowskich miłośników sztuki dramatycznej wystawiał nie tylko wruszające melodramaty z podłymi intrygantami i zagrożonymi przez nich

córkami pastorów oraz pieprzne farsy – dalekie echo komedii dell'arte – ale i Szekspira. Rzęsisty pot zrosiłby łysinę łabędzia znad Avonu, gdyby zobaczył, jak nieoczekiwaną postać przybrały w tym środowisku jego sztuki. Teatr codziennie był przepelniony, chociaż tancbudy i tingel-tangle roztaczały przed spragnionymi zabawy tłumami wachlarz najrozmaitszych widowisk, run przywabił bowiem tłumy artystów, tancerek i komików, którzy natychmiast znaleźli tu pracę. Huczek wywołało ogłoszenie Elizjum, w bombastycznych słowach zawiadamiające o występie niezrównanego, niezwyciężonego Eddiego Foya.

Henry Tremblay, nazywany Markizem, był jednym z pierwszych, którzy rozbili namioty na gruncie nowego Cowntown. O namiocie mówimy bez przenośni, bo Markiz Tremblay już od budowy linii kolejowej U. P z wielkim powodzeniem woził swój szulerski namiot po najbardziej ożywionych miastach Zachodu. Miał dobry węch: gdziekolwiek się usadowił, tam wkrótce zaczynało być gorąco. Toteż jego przybycie mieszkańcy Cowntown uważali za dobry znak, a najbliższe dni pokazały, że całkiem słusznie. Hazard szybko zdobył tu sobie zwolenników, tak jak we wszystkich kipiących życiem miastach Zachodu. Coraz częściej spotykało się tu czarno odzianych mężczyzn, a przeważającą liczbę morderstw popełniano przy karcianych stolikach. Właściciele szulerni skarżyli się na wielkie wydatki na nowe talie, gracze bowiem nie chcieli używać kart zbrzoanvch krwia. uważaiac. że sa znaczone – i nawet nie

można było temu zaprzeczyć. Grało się we wszystko, co tylko mogło wypróżnić kieszeń do dna. Oczywiście prym wiodły poker (ciągniony był wykluczony!) oraz faraon, ale seven-up, keno i chuck-a-luck też znalazły zwolenników, choć Meksykanie woleli monte; ruleta również mogła się pochwalić szeroką klientelą. Karty plaskały o stół, kolorowe słupki żetonów – symbol zmiennej Fortuny – wyrastały i znikwały to przed tym, to przed innym graczem. Twarze czerwieniały i bladły, a na podwyższeniach siedzieli najęci strzelcy, pilnując porządku w sali.

Ale najwyżej siedział Szatan i z zadowoleniem zacierał ręce. Robił tu naprawdę świetne interesy...

## TRZEBA KUĆ ŻELAZO, PÓKI GORAĆE

Może wydaje wam się to dziwne, że wśród tego zamieszania i ruchu, jakimi kipiało nowe Cowntown, nie posłyszeliście ani razu nazwiska Horacego Greenwooda i Shamusa O'Meary. Czyżby run zmiotł ich z drogi?

O nie, uspokójcie się. Jeśli O'Meara co schwycił, to nigdy już nie puścił. Mieszkańcy Cowntown obserwowali ze zdumieniem, jak z kokonu głupekowatego fantasty wyklął się bezwzględny, kuty na cztery nogi wyzyskiwacz, żelazną ręką trzymający cugle swych przedsięwzięć. Teraz przejrzeni kłamliwą grę, jaką z nimi przeprowadził, ale przejrzeni zbyt późno, a z nowych przybyszów



nikt nie miał czasu zasięgać ich opinii. Parcel przy głównej ulicy O'Meara nie sprzedawał, lecz puszczał w dzierżawę. Wielu kręciło nad takim interesem głowami, ponieważ jednak też chcieli wykorzystać cowntowską prosperity, nie pozostawało im nic innego, jak się zgodzić. Natomiast na sprzedaży bardziej oddalonych parcel O'Meara zrobił ogromne pieniądze, które znowu lokował w hipotekach. Ale wkrótce zrozumiał, w jak niebezpiecznym bagnie grzęźnie. Wiedział doskonale, że w dziedzinie sztuczek pieniężnych jest zupełnym dyletantem; pierwszego lepszego dnia mogło się na niego zwalić brzemie pożyczek, umów i czeków i złamać mu kark. Wtedy przypomniał sobie pewnego człowieka z Nowego Orleanu, który w tych sprawach byłby mu ogromnie przydatny. Zadepeszował doń bezzwłocznie. W kilka dni potem z dylizansu wysiadł chuderlawy mężczyzna o mumiowanej twarzy, której barwa wyraźnie świadczyła o świetnie się rozwijającej chorobie wątroby. Miał melonik i śnieżnobiałą kamizelkę, a Shamusa poznał od razu, choć go już dawno nie widział. O'Meara ulokował swoją kancelarię w nowym domu, przybudowanym do dotychczasowego jego siedliska. Wielkie okna przecinały fasadę, na której wisiał ogromny szyld:

GREENWOOD — O'MEARA&SYRINGO  
COWTOWNBANK HIPOTEKI

Przy wejściu była umieszczona mniejsza tabliczka:  
O'MEARA&SYRINGO. HANDEL

REALNOSCIAMI. Wynika z tego, że Horacy przestał się interesować transakcjami ziemią i przesiadł się na innego konika.

Tak jak Greenwood ufał O'Mearze, tak O'Meara wierzył bankierowi Godfreyowi Syringo. Ma to pikantny smaczek, ale tę dobraną trójkę łączyła serdeczna przyjaźń i zaufanie.

Syringo pod koniec lat sześćdziesiątych pracował na Wall Street, a O'Meara należał do sztabu jego pokątnych agentów. Ale w roku sześćdziesiątym dziewiątym Godfrey dał się nabrać na fantastyczny trik pana Goulda i sparzył się tak boleśnie, że musiał co szybciej opuścić Nowy Jork. Wegetował w Nowym Orleanie jako podrzędny bankier, dopóki nie dostał depeszy od swego byłego pracownika. Mrugające oczka zaświeciły mu za złotym cwikiem. Zrozumiał, że owa pomocna ręka może go znowu wyciągnąć w górę. Dlatego też natychmiast – acz ze stratą – zlikwidował nowoorleańskie interesy i skierował kroki na Zachód. Nie strząsnął nawet z melonika pyłu traktów prerii, a od razu kazał się wprowadzić na najskrytsze ścieżki cowntownskiej dżungli. Podstępny, zimny umysł starego bankierskiego tygrysa przebił się przez nią bez trudu, a O'Meara pojął, że nie musi żałować wydanych na depeszę pieniędzy.

Musimy teraz poświęcić ciche wspomnienie właściwemu sprawcy sukcesu Horacego, finansście Bennettowi. Kiedy zrozumiał, że śmietankę wylizał mu ktoś jeszcze bardziej szczerany od niego, nainierw szalał z wściekłości, a potem –

szczytny od niego, najprawdazaj z wdziaczoscia, a potem skapitulowal. Wiedzial, ze nie moze ujawnic tej historii: chcial oszukać, a sam zostal oszukany. Nie poskarzyl sie nikomu. Wiedzial, ze spotkalyby go tylko kpiny. Nie bedziemy sie wiec zajmowali jego dalszymi aferami.

Przed chwila mowilismy o pewnym zakladzie rozrywkowym, noszacym nazwe Elizjum; potem znów autor wspominal o siedzibie Shamusa. Otóz mozemy te dwie rzeczy utozsamic, Greenwood i O'Meara bowiem usadowili sie w najwiekszym i najokazalszym budynku, jakiego Cowntown dotychczas nie widzialo, który sami wystawili i ochrzcili nazwa antycznego rajy. Urzadzili lokal z wielka starannością i nakladem kosztów, lecz i jedno, i drugie oplacilo sie, bo slawa Elizjum wkrótce zaczela dzialac jak magnes, który przyciagal nie tylko zelazo, spoczywajace na biodrach kowbojów, ale i zloto w ich kieszeniach. Elizjum – ogromny drewniany budynek – sterczalo na rogu glownej i poprzecznej ulicy i dzielilo sie na dwa skrzydla. W jednym byl salon gry, w drugim bar i sala taneczna. Wahadlowe drzwi wejsciuowe do obu sal umieszczone byly w narozniku, tuż obok siebie. Skrzydla ich poruszaly sie bezustannie, bo co chwila ktos przechodzil z jednej sali do drugiej. Jesli szczescie wam dopisalo i napełniliscie sobie kieszenie przy grze, starczylo zrobic kilka kroków, a znalezliście sie w sali tańca, gdzie je wam znowu wypróżniono. Wokół fasady budynku biegł drewniany chodnik, ocieniony nad obydwojma wejsciami zwyklym okapem, wspartym na trzech rzezbionych słupach, co tworzylo cos w rodzaju trójskrzydlowej

rzeźbionych słupach, co tworzyło coś w rodzaju urojszyciowej bramy. Budowniczemu nie można odmówić oryginalności – zasugerowany klasyczną nazwą lokalu, wznosił trzy wymienione łuki w czysto gotyckim stylu. Nie wątpimy, że gdyby Horacy nazwał swe przedsiębiorstwo dajmy na to Jaskinią Ali Baby, pomysłowy architekt ozdobiłby je portalem mauretańskim, dekorowanym prorocत्वami z Koranu. Sala tańca zdradzała, że urządzano ją ze szczególną troskliwością. Bar był tuż u wejścia, ustawiony tak, aby stojący przy nim mogli obserwować, kto wchodzi; Horacy nie lubił skrytobójczych morderstw. W pierwszym tygodniu piło się jeszcze przy prostej, zbitej z desek ladzie, ale wkrótce ciężarowa platforma przywoziła ogromnego czerwonego potwora, wspaniały bufet z fałszywego mahoni, zamówiony aż w Saint Louis, bogato rzeźbiony, z krętymi kolumnkami, przegródkami, szufladkami, z papierowymi palmami po bokach, z emaliowanym zegarem i ogromnym lustrem pośrodku; zegar, wiszący na ruchomych sznurach, mógł być natychmiast, w razie strzelaniny, spuszczone do bezpiecznej strefy pod ladą. Wzdłuż całej ściany ciągnęły się łóżka; zasłony z drewnianych koralików oddziaływały te prymitywne séparées od pozostałych pomieszczeń. W drugim końcu sali, naprzeciw baru, wznosiło się niskie podium, zasłonięte kurtyną, zamalowaną niezwykle jaskrawymi farbami w postaci o bujnych kształtach, co w sumie przedstawiało sąd Parysa. Godne uwagi były modne fryzury pulchnych bogiń oraz dandysowski wąsik Parysa; szczegóły te świadczyły o usilnych staraniach artysty, aby przybliżyć współczesnym antyczną

mitologię. Przed podium, gdzie codziennie występowali śpiewacy i komicy, grzmiała wieczorami wrzaskliwa orkiestra, przygrywająca spoconemu kłębowi stłoczonych par, które miotaly się tu i trzęsły w tanecznym rytmie, oblane czerwonym światłem pięciu naftowych żyrandoli, przybranych obrzydliwymi girlandami z kolorowego szkła. Ludzie Równiny jednak uważali je za przedmioty niezwykle gustowne i luksusowe, chociaż ich zdaniem nie mogły się równać z dwoma ogromnymi obrazami w szerokich złożonych ramach, które O'Meara powiesił na honorowym miejscu na frontowej ścianie po obu stronach podium. Te wybitne dzieła sztuki, malowane olejnymi farbami, przedstawiały dwie zdrowe damy, nieuznające niczego, co by zakrywało ich bujne wdzięki. Prawdopodobnie z tego właśnie względu z niechęcią spoglądały na przejrzyste szmatki, tylko częściowo zasłaniające im różowe łona. Wokół panienek leżały stosy najróżniejszych owoców, przeważnie południowych, które im się najwyraźniej przejadły – nie zwracały na nie bowiem uwagi, leniwie wyciągając pulchną dłoń po równie pulchne winogrona. Czerwone draperie i imitacja pluszu dopełniały przepychu wnętrza.

Sala gry natomiast urządzona była bardzo skromnie, dramat karciany bowiem obejdzie się bez wystawnych kulis. Prócz tego, choć pan O'Meara nie wyczerpał, projektując wystrój tancbudy, swych pomysłów, wyczerpał jednak zasoby swej sakiewki. Stąd salon gry Elizjum nie mógł się pochlubić niczym, co by nie figurowało w inwentarzu innych przedsięwzięciach tego

rodzaju. Jedyne stół w samym końcu sali kojarzył się z wyobrażeniem bogactwa. Tutaj rozgrywano najwyższe partie, tutaj grywali najzamożniejsi goście; kto siadał przy tym stole, musiał mieć wysokie mniemanie o swych możliwościach finansowych. Za stołem, pod samą ścianą, na wysokim stopniu stało krzesło, na którym od rana do wieczora siadywał milczący blondyn o rybich oczach, wpatrzonych w przestrzeń. W rzeczywistości jednak nie uszedł jego uwagi ani jeden ruch w sali, a jeśli czyjeś postępowanie czy słowa nie odpowiadały jego poglądom na przyzwoite zachowanie się przy karcianym stole, ni z tego, ni z owego zaczynał się bawić wielkim pistoletem, który potrafił celnie i szybko strzelać, co też czynił, jeśli chwila tego wymagała. Rewolwerowiec ten nazywał się Heck Rękanakolbie – O'Meara wybrał go, ponieważ wiedział, jakim szacunkiem cieszy się u Tekszańców. Gdy szeryfem w Austin był Ben Thompson, Hecka uważano za jedyne godnego kontrkandydata na to stanowisko, a to, biorąc pod uwagę sławę Thompsona, już coś znaczyło. Heck miał pod ręką jeszcze kilku pomocników, którzy wprawdzie nie wyglądali tak nieprzyjemnie jak on, ale już dawno zdobyli sobie opinię profesjonalnych zabijaków. Jediną ozdobą ścian były wykaligrafowane napisy w ozdobnych ramkach, apelujące do gości o uczciwą grę i spokojne zachowanie. Jednakże praktyczna wartość tych dobrych rad była wątpliwa. Za to jedno spojrzenie na strzelca Rękanakolbie starczyło za tysiąc przestroż.

Aby jednak mieć pełny obraz Elizjum wewnątrz i na zewnątrz, nie możemy pominąć jego sąsiedztwa. Z jednej więc strony stanął wkrótce budynek banku Greenwood, O'Meara&Syringo, natomiast z drugiej – o, kiedy Shamus spojrział w tamtą stronę, czarno mu się robiło przed oczami. Jak bezwstydna, pijana starucha rozwałała się tam rudera O'Connora. Propozycje, pogroźki – nic nie złamało uporczywości Irlandczyka. Z początku Shamus kilka razy dostał napadu wściekłości, na czym szczególnie ucierpiała całość dwóch szklanek i gipsowego biustu poety Longfellowa; później jakby ostygł. Kto go jednak znał lepiej, wiedział, że ma gotowy plan i tylko czeka odpowiedniej okazji.

Z pewnością zauważyliście, że w ostatnich rozdziałach imię Horacego zeszło na plan dalszy, ustępując O'Mearze. Nie jest to przypadek. Od chwili kiedy cowntowska spekulacja przestała być niebezpieczną awanturą i skurczyła się do rozmiarów nudnych spraw handlowych, zainteresowanie Horacego osłabło. Nie zapominajmy, że człowiek ten nie miał nic wspólnego z jankeskimi groszorobami. Trucizna w jego krwi zwała się Awanturnictwo. Zmieszana z pewnymi lekkomyślnymi stronami niezbyt silnego charakteru płodziła często zbrodnię. Tak, Horacy niejednokrotnie splamił nią swoją duszę, nigdy jednak nie był chciwy bogactwa. Kiedy więc z cowntowskiego przedsięwzięcia opadły ostatnie łuski emocji, gracz z lekkim sercem oddał sprawy finansowe O'Mearze. Wystarczyło mu, jeśli miał tyle pieniędzy, by móc się elegancko ubierać, palić najdroższe cygara

i sprowadzać ze Wschodu stare roczniki porto. I tak wszyscy traktowali go z należytych respektem, znali bowiem zarówno pozycję Horacego w nowym Cowntown, jak i jego towarzysza o wąskiej twarzy. Doprawdy, owa tak się różniąca para nie usposabiała do żartów: jeden w świetnie uszytym tuxedo, z brylantem wpiętym w taftowy plastron i jedwabnym cylindrze na starannie ułożonych włosach, drugi ubrany niedbale, w zakurzonych butach, pogniecionym stetsonie, z nieodstępnym sześciostrzałowcem, który groźnie sterczał u meksykańskiego pasa. Wędrując wieczorami po salonach gry i barach ze swym wielkogłowym cieniem, Horacy uprzejmie odpowiadał na pełne szacunku ukłony i podchwytywał spojrzenia, z których wiele usprawiedliwiała obecność jego eskorty. Tak, był szanowany i nienawidzony. Wymalowane kobiety bardzo wymownie okazywały mu swoje zainteresowanie, lecz on nimi gardził. I tu jesteśmy u sedna. Mogę wam teraz powiedzieć, czemu Horacy przestał się interesować Cowntown, a mimo to w Cowntown siedział.

Z pewnością pamiętacie silne wrażenie, jakie od pierwszej chwili wywarła na nim panna Winnifreda Breakenridge. Od tej chwili wciąż na nowo uświadamiał sobie ze zdumieniem, że przeżywa coś naprawdę szczególnego. Dotychczas bowiem, choć był już dojrzałym mężczyzną, nie poznał miłości, wyjąwszy owo romantyczne uniesienie lat młodzieńczych, które jednak starta dłoń czasu. Potem życie mijало mu w gorączce przygód, która wysuszyła jego serce. Nie poznał miłości, poznał tylko siłę



pożądania. Teraz ten zimny zmysłowiec czuł coś zupełnie nowego, uświadamiając sobie jednocześnie z przerażeniem, że nieznany dotąd płomień topi pancerz niewzruszonej obojętności, która dotychczas była tarczą przeciw wszelkim wzruszeniom. Najbardziej jednak rozplómił go chłód panny Winnifredy. Kilkakrotnie tańczył z nią na dobroczynnych bazarach, ale ona odrzucała jego rycerskie służby, myśląc bezustannie o Joem, a ponadto pod wpływem ojca, który wobec uzurpatorskiego duumwiratu Greenwood-O'Meara zachował stanowisko pełne rezerwy. Z mniejszą znacznie rezerwą wyrażał się o nich w artykułach wstępnych „Trąby Cowtown”, ale o tym potem. Horacego ogarniała rozpacz. Początkowo chciał zapomnieć o swym nieszczęściu, nie znalazł jednak nic, czym mógłby taką akcją wesprzeć. Jak już powiedzieliśmy, cowtownskie parcele przestały go interesować; pstre tłumy, karty, strzelaniny – wszystko, dzięki czemu tak kochał Zachód, straciło dlań powab. Kiedyś dowiedział się, że Francuska Lola została zaangażowana do Tombstone. Wtedy uświadomił sobie, że swoje obecne bogactwo zawdzięcza właściwie temu dobrodusznemu dziewczęciu. Napisał więc bardzo serdeczny list, w którym zapraszał ją na występy w Elizjum, obiecując bajeczne honorarium. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy zaświtała mu nadzieja, że jego pragnienia się spełnią. Panna Breakenridge hodowała króliki i Horacy o tym wiedział. Pewnego pięknego ranka podjechał z turkotem elegancką dwukółką do furki ogródka Winnifredy, gdzie ukochane dziewczę krzotała się wśród orzdek podlewając

urocznik dziewczę kładło się wsiadł gładki, podiewając kwiaty. Horacy wetknął bat w mosiężny pierścień i, zęcnie zeskoczywszy na ziemię, podszedł do furki. Na głowie miał piękny kapelusz panama, w ramionach zaś trzymał wielki gar melasy dla przemitych długouchych stworzonek (jak się wyraził). Czy może wejść? Panna Winnifreda była tym osobliwym podarunkiem istic oczarowana, gorąco bowiem kochała swoje długouche pieszczochy. Dlatego więc przemogła niechęć, pozwoliła graczowi wejść i z rozkosznym rumieńcem tudzież roziskrzonym spojrzeniem wzięła melasę z jego rąk. Nieszczęsny Horacy nie domyślał się, że oczy Winnifredy zablęły na widok pojemnego garnka, i natychmiast, z naiwnością beznadziejnie zakochanego, przypisał to sobie. Gadał o tym i owym, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Winnifredy. Żar jego namiętności z sekundy na sekundę wzrastał. Aby ukryć podniecenie, spytał dziewczynę, czy może zapalić. Otrzymał pozwolenie i zapalił ulubione cygaro Yucan-Corona. Ale aromatyczny dym nie odegnał diabła Pokusy. Nagle Horacy wyprostował się i energicznie odrzucił cygaro. Dość wahań! Trzeba kuć żelazo, póki gorące! Dziewczyna szła teraz przed nim, nie przeczuwając, co się dzieje za jej plecami. Szuler szybko ściągnął olśniewająco białe rękawiczki z antylopy, aby lepiej czuć dotyk ubóstwianego ciała (lubieżnik!), i gwałtownie objąwszy dziewczynę za ramiona, przycisnął gorące wargi tam, gdzie między koronką kołnierzyka a pachnącymi lokami bielala szyja...

Autor odkłada pióro... Fatamorgana, tak szczegółowo opisana w poprzednim rozdziale, opowiedziała już czytelnikowi zakończenie tego rozdziału, natomiast w następnym opiszemy, jak... Ale o tym potem. Poczekaj, czytelniku, cierpliwie.

## WYKŁAD O GRZECHOTNIKACH UWAGA NA GRZECHOTNIKI!

W jakieś czternaście dni po przybyciu Lemoniadowego Joego do Cowntown w kancelarii banku Greenwood, O'Meara&Syringo zgromadziło się kilku panów, których nazwiska w komplecie widniały na szyldzie wymienionego wyżej przedsiębiorstwa. Wszyscy milczeli... Horacy Greenwood spacerował niespokojnie po pokoju, obracając nerwowo w palcach szklankę sherry. O'Meara, zagłębiając się w fotelu, z rękami w kieszeniach, wyciągnął przed siebie potężne nogi i ponuro wpatrywał się w kufel piwa – samotny kufel, którego mokre dno odciskało krążki na papierach, w straszliwym nieporządku zalegających cały stół. Również przed panem Syringo stała szklanka, chociaż napełniona tylko wodą mineralną. Wpadnięte oczka bankiera mrugały rozpaczliwie za grubymi owalnymi szklami staromodnych okularów. Wlepiał wzruszająco bezradny wzrok w obu współników.

Doprawdy, w tym wypadku nie mogła pomóc nawet najgenialniejsza machinacja finansowa. Pomiędzy oknami wisiał wielki oleodruk, przedstawiający jedną z głównych scen wojny wzwolenieczy. Pan O'Meara sadył bowiem że taka ozdoba

podkreśli patriotyczny charakter jego interesów. Generał Lafayette na obrazie przewracał wesoło oczyma, natomiast Jerzy Waszyngton łypał wrogo na niegodnego dziedzica swej spuścizny. Nieprzyjazne to spojrzenie odnosiło się przede wszystkim do czwartego uczestnika zebrania, profesora Dary Shikoha, który dla naszego triumwiratu był teraz bezcennym faktotum. Zdaje się jednak, że czarodziej wcale się nie przejmował niepochlebną opinią Waszyngtona o swojej osobie. Skrzyżował posępnie ręce na piersiach i palił nędzne cygaro, napawając się osłupieniem, w jakie wprawiała obecnych przyniesiona przezeń wieść.

Pierwszy przerwał milczenie O'Meara. Oderwał wzrok od kufła i zwrócił się do Dary Shikoha.

– No, dobrze. To, co nam pan powiedział, jest zdaniem Horacego diablo silną pigułką. Ale przecież nie powiedział pan nic określonego. Musi nam pan zrelacjonować szczegółowo, gdzie i kiedy pan go widział.

Magik, świadom swej ważności, wypuścił duży kłęb dymu i zaczął panom opisywać dokładnie okoliczności swego sensacyjnego odkrycia. Mniej więcej przed tygodniem posłyszał w szynku Hoskina słowa: „lemoniada Kolakoka”. Oczywiście natychmiast się odwrócił i ujrzał pannę Breakenridge, wkładającą do koszyka dwie butelki tego napoju. Powtarzało się to przez kilka wieczorów.

– W końcu zbadałem kierunek jej kroków i spojrzawszy w kryształowy pryzmat, zobaczyłem...

– Chce pan powiedzieć, że śledził pan pannę Breakenridge, a potem zajął przez okno... – wtrącił O'Meara, przekładając okultystyczną terminologię magika na mowę potoczną.

A więc pan Dara Shikoh istotnie zajął przez okno i zobaczył w fotelu pobladłego Joego, który czytał Ostatnie dni Pompei. Winnifreda pocałowała rekonwalescenta w czoło i z uśmiechem, jaki może wykwitnąć tylko na wargach zakochanej dziewczyny, podała mu szklankę lemoniady Kolakoka, po której wypiciu twarz rewolwerowca nabrała zdrowszej barwy. Te drugorzędne szczegóły (fotel, bladeść, Ostatnie dni Pompei, itd.) nie zmieniały jednak faktu, że Joe mściciel jest w Cowntown. Wstrząsnęło to przede wszystkim Horacym, który miał najistotniejsze powody, aby się Lemoniadowego obawiać. Przecież tak dobrze wszystko obmyślił! To on wówczas w nocy wysłuchał jego spowiedzi. To on napisał list do Hollidaya. Joe, rzecz jasna, nie znał jego treści, nie wiedział więc, że te pośpiesznie skreślone wiersze zawierają wyrok śmierci na niego. Powołując się na cenną przysługę, jaką przed laty Docowi oddał, Horacy prosił zabijakę, aby jak najszybciej i jak najpewniej zlikwidował doręczyciela listu.

Nie przeczuwał naturalnie, że zasadzka Kudłatego Billa nada całej sprawie nowy, całkiem nieoczekiwany bieg. Nie przeczuwał, że Joe uratuje Hollidaya i że Holliday

przeczuwał, że Joe uratuje Hombrayowi życie i że Hombray, przeniknięty uczuciem wdzięczności, otoczy naszego bohatera niemal macierzyńską opieką. Nie, niczego takiego nie przeczuł i przeczuć nie mógł.

O'Meara i Syringo z początku nie przejęli się odkryciem Dary Shikoha. Ale gracz zaraz im wytłumaczył, że przybycie Joego oznacza koniec ich szwindli. Wtedy spowaźniali i przybrali owe opisane wyżej tragiczne pozy. Po raporcie magika znowu wybuchła cisza, sabotowana tylko skrzypieniem trzewików Horacego. Greenwood krążył bez ustanku po pokoju, machinalnie obracając w rękę szklanę; w końcu postawił ją na rogu stołu i odwrócił się do współników. Wargi wykrzywił mu zimny uśmiech.

– Tak, panowie, musicie się z tym liczyć. Jeżeli nie usuniecie tego typa jak najprędzej z drogi, Grzechotniki wygrają!...

Już nas nawet nie interesuje, jakie miny zrobili na to dictum obaj kompani.

Padło tu nowe słowo: Grzechotniki. Jeśli słowo to jest pisane przez małe „g”, wiemy, że chodzi o jadowitego węża. Ale tutaj piszemy duże „G”, co nadaje temu wyrazowi zupełnie nowy sens, który trzeba dokładnie wytłumaczyć. A więc zrobmy to.

MOWA, MIEDZY INNYMI, TAKŻE  
O GRZECHOTNIKACH

Przede wszystkim znowu musimy wrócić do pana Breakenridge'a...

Jużeście może myśleli, że ten stary poczciwiec nie odegra szczególnie ważnej roli. I tak by rzeczywiście było, gdyby do Cowntown nie została doprowadzona kolej i nie przybyli nasi przyjaciele, Greenwood&O'Meara.

Biedny Zachariasz! Jakże go rozczarowało Cowntown! Nie, ta prażąca się w słońcu dziura, drzemiąca wśród bezkresnej, nudnej równiny, nie miała nic wspólnego z „idyllicznym miasteczkiem, wtulonym w wonny, ukwiecony kobierzec prerii, gdzie w miękkiej trawie baraszkują gazy, a w księżycową noc łąka pieśń miłosna kojota” – jak opisywał Cowntown w swych listach pan Brigham Young Pickaxe, dotychczasowy redaktor naczelny „Trąby Cowntown”. Mimo to Zachariasz Breakenridge nie rozpaczał i żeby zapomnieć o smutnym otoczeniu, gorliwie zaczął reformować „Trąbę”, której dźwięk zdał mu się straszliwie ochrypli. Takim pierwszym rewolucyjnym czynem było wprowadzenie rubryki towarzyskiej według wypróbowanych wzorów gazet wschodnich. Dopóki „Trąbę” wydawał pan Pickaxe, na jej łamach mogliście przeczytać takie mniej więcej wiadomości: „W ubiegłą sobotę jałówka Margie, należąca do pana Toma Cudihee (Gossip Street 21), dostała wzdęcia. Wszystko się jednak szczęśliwie skończyło dzięki udanej operacji, przeprowadzonej przez pana Ezrę Clicka, który swymi zbawicznymi zabiegami uratował naszą gospodarkę

swym zowacimym zaiegani uradowa naszymi gospodarzami już niejedno bydłatko...”. Nie było mowy, by wzmianki tego rodzaju znaleźć się mogły w rubryce towarzyskiej pana Breakenridge’a.

Mogliście się z niej dowiedzieć na przykład, że „w tych dniach u pana Donalda Cobba (Merill Avenue 15) bawi pani Rachel Redborn, małżonka sędziego pokoju z Eureka Springs. Pani Redborn, która jest przyrodnią siostrą pana Cobba, wzbogaciła kuchnię swej bratowej, pani Margaret Cobb, przepisem na sałatkę ze ślazu. Przepis został natychmiast wypróbowany z okazji sobotniego zebrania Kobiecego Kółka Wzajemnego Kształcenia. Obecne damy jednomyślnie uchwaliły, że przepis pani Redborn jest cennym uzupełnieniem ksiązek kucharskich naszych gospodyń”.

Różnica między tymi dwiema wiadomościami jest zbyt bijąca w oczy, byśmy jeszcze analizowali jej odcienie. Wystarczy skonstatować, że dzięki sztuce stylistycznej ojca Winnifredy mieszkańcy Cowntown nabyli bardzo wysokiego mniemania o poziomie swego życia towarzyskiego. Całkiem zrozumiałe, że najbardziej nawet sensacyjne artykuły o cierpiących na wzdęcia jałówkach pana Cudihee nie mogły tego dokonać. Nic więc dziwnego, że pan Breakenridge stał się wkrótce poważaną i lubianą osobistością, tak samo jak Winnifreda, którą cowntowskie panie zasypywały zaproszeniami na wszelkie możliwe wieczorynki i zebrania kółek oraz prześcigały się w okazywaniu jej sympatii, mając nadzieję wpłynąć na pomysłny



w okazałym, jej synpach, mając nadzieję wpływać na pomyślny rozwój owej rubryki. Wszystko rozwijało się tak przyjemnie, gdy nagle wybuchnął run...

To prawda, że pana Zachariasza Breakenridge'a, mimo wieloletniej praktyki dziennikarskiej, w pierwszej chwili opanowała bezradność i dezorientacja. Z czymś takim nigdy się nie zetknął.

Ulice starego Cowtown stały wprawdzie na swych miejscach, w ich domach nadal mieszkali ci sami ludzie, ale w rzeczywistości straszliwy wicher runu cisnął to wszystko w grób przeszłości, bezpowrotnej przeszłości. Ale już po kilku dniach Breakenridge zrozumiał, że jeśli chce dotrzymać kroku nowym stosunkom, musi „Trąbę” przebudować od podstaw, choćby nawet miał stracić starych czytelników, o których już zresztą nie dbał. Nowe doświadczenia z pewnością zdobywałby pracownicy i długo; zanim by je potem zdołał praktycznie zastosować, najprawdopodobniej zostałby wyprzedzony przez konkurencję, z której powstaniem musiał się bezwzględnie liczyć. W tych trudnych dniach zesłał mu Bóg dobrego anioła, którego wygląd różnił się wprawdzie nieco od anielskiej postaci, jaką zwykliśmy sobie wyobrażać. Już nazwisko tego cherubina brzmiało bardzo ziemsko: Fuzzy Tree. Również i cała postać tkwiła głęboko w najbardziej materialnej doczesności. Ale to zupełnie nie przeszkadza, duchy niebieskie bowiem często przybierają najdziwaczniejszy wygląd. Anioł Fuzzy, który z miernym skutkiem próbował wszystkich możliwych zawodów.

liźnął też trochę zecerki. Przewędrował wzdłuż i wszerz cały Zachód i wiedział, jak należy robić gazetę pośród huku wystrzałów i buczenia nieprzejrzanych stad bydła. Jego ostatnim portem był znakomicie redagowany tombstoński „Nugget”. Fuzzy posiadał wiele przedziwnych właściwości, z których wymienimy tylko jedną: potwornie zezował. Jedynie bardzo zahartowany mężczyzna zdołał patrzeć mu w oczy i nie dostać przy tym zawrotu głowy albo po kilku minutach nie zacząć zezować.

Z pomocą Fuzzy’ego pan Breakenridge szybko wciągnął się w nowe stosunki. Obecnie łamy „Trąby Cowntown” wypełniały melodramatyczne opisy strzelanin. Pan Breakenridge rejestrował dokładnie liczbę zabitych i zranionych. Dowcipnie komentował przybycie do miasta bardziej znanych zabijaków, a ich zwłoki odprowadzał na cmentarz obutych drastycznymi nekrologami. Z łatwością przyswoił sobie typowy dla dziennikarzy Pogranicza styl – dosadny niczym cep i ostry jak wódka. Ze stron jego pisma mogliście teraz wyźymać kwarty krwi, ale także czerpać pełne dzbany humoru. Biedna Winnifreda! Ciesząc się z sukcesów taty, jednocześnie z tajonym westchnieniem wspominała te piękne czasy, kiedy „Trąba” na całe Cowntown głosiła sławę sałatek ze ślazu i kobiecych kółek kształceniowych...

Sztuka stylistyczna Breakenridge’a najwspanialszymi barwami zajaśniała w opisie potyczki przed kancelarią Wells Fargo, która

przyniosła kres życiu i sławie Clema Wilczej Twarzy. Brak miejsca nie pozwala nam, niestety, przytoczyć owego artykułu, musimy jednak chociaż w skrócie podać przyczyny i przebieg walki, gdyż wraz z nią na scenie zjawia się ważna postać. A więc było to tak: jednym z najbliższych przyjaciół Clema był niejaki Steve Duesha, stryjeczny brat tego samego Charleya Dueshy, który później tak smutnie się wslawił w tonto-basińskiej wojnie hodowców bydła. Któregoś popołudnia Steve trzymał w namiocie Tremblaya bardzo wysoki bank. W pewnej chwili wszedł jakiś nieznamy o niezmiernie gęstym, jasnym zarostcie, spoza którego niemal nie było widać twarzy. Zaczął grać, a ponieważ tego dnia szczęście leżało mu u nogi jak wierny pies, Duesha po chwili zgrany był do nitki. Biedny Steve nie znalazł nikogo, kto by mu pożyczył pieniędzy, opuścił więc zakład Tremblaya z wściekłością w duszy. Mniej więcej w godzinę później spotkali się obaj, szczęśliwy wybraniec Fortuny i nieszczęsny bankier, przed kancelarią Wells Fargo. Duesha, który był w towarzystwie Clema Wilczej Twarzy, obrzucił obcego obelgami, oskarżając go o nieuczciwą grę. Przemowa Steve'a nastęrczała brodaczkowi z tuzin powodów do wyciągnięcia kolta. On jednak okazał się człowiekiem łagodnego usposobienia, gdyż zadowolił się celnym ciosem, który rzucił Dueshą jak baseballową piłką o ścianę kancelarii. Wykazał jednak także przy tym niezwykłą przytomność umysłu, gdyż śledząc jednym okiem odlatującego oszczercę, drugim zerkał już na prawicę Clema, która z błyskawiczną szybkością zieżdżała do pasa, chwytając kolba sześciostrefowego Dłob

zjeżdżania do pasa, chwytając kule szesnastoznaczowe. Dłoń obcego zrobiła ten sam ruch z tą różnicą, że nie tracił czasu na wyciąganie rewolweru, lecz wypalił wprost z kabury, która była specjalnie przystosowana do takich sztuczek. Wystrzelił jeszcze dwa razy, ale jak się później okazało, już pierwsza kula pozbawiła Clema życia. Wszystko stało się tak szybko, iż – cytujemy pana Breakenridge’a – „pan Dick Eagle nie zdążył nawet schować się za koryto z wodą i wbrew swemu zwyczajowi został na placu boju”. Wzmianka ta nie była pozbawiona złośliwości, pan Dick Eagle bowiem pełnił funkcję szeryfa, nie robiło więc dobrego wrażenia, jeśli pakował głowę za koryto w chwilach, kiedy powinien bohatercko rzucić się w deszcz kul i przerwać walkę. Kiedy Greenwood&O’Meara dowiedzieli się o śmierci swego anioła stróża oraz o nadzwyczajnej zręczności brodatego strzelca, odwiedzili go natychmiast i po krótkiej rozmowie przybysz zgodził się za należytą pensję zająć osierocone miejsce Clema. Horacy nie mógł się pozbyć wrażenia, że gdzieś już brodacza widział; nie tyle postać, ile oczy i głos wydały mu się znajome. Nie udało mu się jednak zmusić odpornej pamięci do posłuszeństwa. Od nieznanego niczego się nie dowiedział. Miał on widocznie powody, by nie mówić o swej przeszłości. Powiedział tylko, że nazywa się Ted Grimpers, ale z pewnością było to nazwisko zmyślone. Wszyscy jednak przyjęli je bez zastrzeżeń i zaraz utworzyli z tego przezwisko Grimpo. Tak też go nazywali.

Ale wciąż jeszcze nie doszliśmy do Grzechotników. Chwila

Pan Breakenridge był wzorem niezłomnego charakteru. Zresztą nikt z was chyba o tym nie wątpi. Zawsze przecież postępował z kryształową uczciwością. Dlatego też, kiedy przejrzał oszukańczą aferę Greenwooda i O'Meary z parcelami, uświadomił sobie, że jego obowiązkiem – czyli obowiązkiem nieprzekupnego dziennikarza – jest bezlitosne napiętnowanie tego łajdactwa. Powiedział sobie jednak mądrze: ostrożność nigdy nie zawadzi, toteż w jednym ze swych artykułów wstępnych tylko troszeczkę wysunął różki, mówiąc między wierszami, że tak jak i wszyscy uczciwi obywatele Cowtown wie, jak należy nazwać transakcje O'Meary i co myśleć o nim samym. Widzicie więc, że Horacy, właściwy inspirator całej tej afery, zniknął w cieniu. Shamus O'Meara w pełni ocenił zręcznie zawołaną formę ataku i swoją pogroźkę wyraził równie subtelnie. Pewnej nocy przed redakcją „Trąby” wybuchła niezwykle żywa rewolwerowa dyskusja. Strzelanina była o wiele gwałtowniejsza, niż to bywa w zwyczajnym przy podobnej okazji, a jednak, kiedy ucichła, okazało się, że mimo wściekłego ognia nie została przelana ani kropla krwi, natomiast fasada, a częściowo także i urządzenie cytadeli Breakenridge'a zostały poważnie uszkodzone. Nazajutrz rano O'Meara, niby przypadkiem, odwiedził roztrzęsionego Zachariasza. Rozspiewawszy swój wspaniały bas, w gorących słowach wyraził dziennikarzowi współczucie i patrząc mu znacząco w oczy nadmienił, że taka nieprzyjemność nie powinna się

powtórzyć. Pan Breakenridge rozumiał. Rozumiał także, iż na razie nie ma najmniejszych szans wobec tak potężnego przeciwnika. Dlatego czekał, cierpliwie czekał na dzień, kiedy wspierany przez silnych sprzymierzeńców, których nazwisk jeszcze nie znał, zagra na „Trąbie” sygnał zwiastujący koniec hegemonii O’Meary.

Bardzo długo trwało, nim bystry nurt runu zaczął kruszyć pozornie niewzruszone fundamenty triumwiratu Greenwood, O’Meara&Syringo. Do Cowtown bowiem napływały wciąż nowe tłumy, a O’Meara nie mógł już puszczać w dzierżawę parcel, ponieważ już ich więcej nie miał. Nie przewidział tylu nabywców. Wielu z nowych przybyszów kupowało więc ziemię od tych obywateli starego Cowtown, którzy swego czasu nie interesowali się ani nęcącymi propozycjami „pułkownika” O’Meary, ani jego truskawkowymi plantacjami. W ten sposób znalazły się grupy osadników, którzy w najmniejszym stopniu nie byli uzależnieni od obu uzurpatorów. Wielu z nich należało do tego rodzaju ludzi, jakich pan Breakenridge potrzebował do urzeczywistnienia swych szlachetnych planów. Do Cowtown bowiem nie przybywali jedynie desperados, szulerzy i vaqueros, którym najlepiej się pływa w mętnej wodzie miast, gdzie prawo nie działa. Osiedli tu także uczciwi ludzie, spokojni drobni przedsiębiorcy, rzemieślnicy, rozważni kupcy. Oni właśnie byli pionierami cywilizacji, chociaż nie zawsze to sobie uświadamiali, wszyscy bowiem bez wyjątku tęsknili za spokojem i porządkiem, bez którego ich przedsiębiorstwa nie mogły się

rozwijają. Nie mogło im przecież sprawiać radości, że kule pijanych kowbojów co drugi dzień roztrzaskiwały im szyby wystawowe i okna. Bardzo szybko doszli do przeświadczenia, że to właśnie niekoronowani władcy Cowntown, O'Meara i Greenwood, chytrze aranżują tę maskaradę gwałtów i przestępstw, bo tylko przy takich stosunkach zarabiali najwięcej, tylko w takim chaosie mogli utrzymać swoją suwerenną pozycję. Przekupili szeryfa, przekupili jego zastępców, sędziego, wszystkich. W Dodge silna ręka prawa zmusiła nawet największych awanturników, że wchodząc do miasta, zostawiali broń w sklepie Wrighta. Dopięli tego ludzie typu Mastersona czy Danielsa. W Cowntown było inaczej. Tutaj Teksaszczyki mogliby wymordować całą publiczność w sali tańca (o ile by oczywiście nie należała do Greenwooda i s-ki), a nikt nie pociągnąłby ich do odpowiedzialności. Ale niekaralność mogła stać się obosieczną bronią, zagrażającą także tym, którzy ją wykuli. Dlatego też Greenwood & O'Meara trzymali całą kohortę zabijaków, którzy czuwali nad bezpieczeństwem swych pracodawców. Grimpó i Heck Rękanakolbie stali na ich czele. Jak już kilkakrotnie wspomnieliśmy, Horacy nie brał udziału w pogoni za pieniędzmi i władzą, która tak wyczerpywała panów O'Mearę i Syringo. Nieszczęsna namiętność do Winnifredy pozbawiała go zainteresowania dla tych brudnych spraw, a poza tym odpowiadał mu przyjemny, próżniaczy tryb życia w środowisku, z którym się nierozzerwalnie zrosł. Jego arystokratyczna postać i rycerskość, którą zjednywał sobie niemal wszystkich,

imponowały również kobietom bojącym się panicznie graczy, barów i rozpusty. Ich mężowie, solidni kupcy o uczciwych twarzach, nienawidzili tego wytwornego łotra, a jednak tylko niewielu zdobywało się na odmowę, gdy Horacy z czarującym gestem częstował drogim cygarem. – To przecież dżentelmen – mówiły damy, i w końcu dopięły tego, że był zapraszany na wszystkie wieczorki, dobroczynne bazyry i zabawy taneczne. Okazał się nieocenionym uczestnikiem wszelkich zebrań towarzyskich; bawił gości zabawnym programem iluzjonistycznym. Wśród huraganu śmiechu wyciągnął panu B.R. Watkinsowi (hurtowy skład mebli) z kieszeni na piersiach aksamitną damską podwiązkę, a pantofelek panny Winnifredy Breakenridge przemienił w śnieżnobiałą gołębicę.

Tymczasem Zachariasz Breakenridge milczał. Na łamach swej gazety, oczywiście. Dyskretnie obserwował wciąż wzrastający zastęp ludzi pragnących, aby Cowntown było cywilizowanym miastem o unormowanych stosunkach. Rozmawiał ze wszystkimi nowymi osiedleńcami, wiedział więc, kogo może brać pod uwagę w swojej sprawie. Czekał, aż ich liczba i siła tak wzrosną, że będzie mógł zatrąbić sygnał do świętego boju. Jedno go tylko martwiło. Wśród tych, na których miał nadzieję się oprzeć, nie znalazł nikogo nadającego się na wodza. Wszystkim tym dobrym obywatelom nie dostawało odwagi i zimnej krwi. On sam nie czuł się na siłach, aby wziąć to zadanie na swoje barki, a poza tym pragnął być jedynie chorążym, trębaczem owej krucjaty. Nagle zjawił się Joe. Od razu wszystko stało się jasne,



wątpliwości i niepewność znikły, wódz bowiem został znaleziony. W tydzień po jego przybyciu ukazał się w „Trąbie” artykuł wstępny, który historycy Cowntown uważają za początek nowej ery.

Jego tytuł brzmiał: Jeśli trzeba, bądźcie grzechotnikami!. Tym razem pan Breakenridge położył szczególny nacisk na dosadność i prostotę stylu. Całość przypominała kazanie lub przemówienie wyborcze Teodora Roosevelta, czy też coś pośredniego między jednym a drugim. Treść w przybliżeniu była następująca: grzechotnik to wstrętny gad, znieawidzony przez wszystkie stworzenia. Ludzie z Pogranicza nadają tę nazwę podłym rewolwerowcom. A jednak, jeżeli zło jest tak potężne, że można je pokonać tylko jadem grzechotnika, nie bójmy się być grzechotnikami. W Cowntown usłały sobie legowiska straszliwe bestie: Gwałt, Zbrodnia, Rozpusta – bestie, które zwycięży tylko straszliwy jad grzechotnika. A więc każdy, komu zależy na ich zagładzie, tak, każdy niech się przedzierzgnie w grzechotnika i zabija szybko, bezlitośnie...

O'Meara, choć jego nazwisko nie zostało wymienione, natychmiast pojął, o kogo chodzi. Rumiana, dobroduszną twarz nagle stwardniała, a czoło przecięła zmarszczka troski, Shamus O'Meara bowiem, karciarz i awanturnik, nie lekcewał Grzechotników. Dlatego jeszcze tego samego popołudnia zaprosił do swej kancelarii Greenwooda i pana Syringe, aby szczegółowo przedyskutować z nimi sposoby jak

najłatwiejszego, a zarazem najmniej rzucającego się w oczy rozbicia budzącego się ruchu. Jedno wiedział na pewno: ten bunt dobra przeciw złu trzeba zdusić w samym zarodku. A poza tym wścibski dziennikarz musi zostać ukarany za swą perfidię, i to przykładnie. Nikomu nie może już przyjść do głowy zaprowadzać w Cowntown porządek innego rodzaju niż ten, jaki odpowiada panom Greenwoodowi, O'Mearze&Syrindze. W tym momencie Horacego ogarnęło nieprzyjemne zakłopotanie. Nie miał wprawdzie nic przeciw użyciu przemocy celem rozwiązania tej sprawy. Ale ofiarą projektowanej zbrodni miał być ojciec panny, którą kochał tym beznadziejniej, z im większą bezwzględnością był odtrącany. Jednakże nowina Dary Shikoha o przybyciu Joego wybawiła go z kłopotu, gdyż Zachariasz Breakenridge natychmiast ustąpił na plan dalszy. Teraz więc siedzieli wszyscy w kancelarii O'Meary jak posągi bóleści, niezdolni logicznie myśleć. W ciszy melancholijnie bżykała mucha, polatująca w snopie słonecznego światła, które padało przez zakurzone okno na podłogę. Wreszcie O'Meara wstał i chwiejnym krokiem podszedł do kasy pancernej. Otworzywszy skomplikowany zamek, zanurzył aż po łokieć rękę w jednej ze skrytek i wyciągnął stamtąd butelkę francuskiego koniaku. Napelił kieliszek i upił trochę. Potem umoczył czubek zapalonego cygara w szlachetnym alkoholu, poczekał, aż tytoń przesiąknie aromatem i zaciągnął się ze smakiem. To mu trochę rozjaśniło myśli. Usiadł w fotelu w swej zwykłej pozie i położywszy nogi na rewersach hipotecznych, powiedział:

– Masz rację, Horacy. Lemoniadowego musimy usunąć, i to natychmiast! Ten abstynent jest zbyt wysoką kartą w tej grze, a my, niestety, nie mamy w ręku figury, która by mogła przebić takiego asa!

– Ja go przebiję!

Wszyscy się odwrócili. Syringo nawet tak szybko, tak nerwowo, że przewrócił szklankę z wodą mineralną. Drzwi były otwarte na oścież. W ich czarnym prostokącie stała ciemnowłosa dziewczyna o krągłych kształtach i tragicznym spojrzeniu.

Do Cowtown przybyła panna Tornado Lou.

W OKIENECZKO PUK, PUK, PUK

Starannie wyszorowana podłoga aż błyszcziała. Dziwne więc, że promień słoneczny z taką niechęcią pełzał po czyściuteńkich deskach. Zdaje się, że większą przyjemność sprawiała mu wędrówka po wytapetowanych ścianach, które przebiegł stosunkowo szybko, aż wreszcie z upodobaniem zatrzymał się na barwnej reprodukcji, przedstawiającej śmiertelnie ranionego Indianina. Czerwonoskóry, przyłożywszy dłoń do ust, wydawał ostatni okrzyk wojenny, a traper zwycięzca, stojąc w strzemionach, z napięciem obserwował ostatnie chwile nieprzejeđanego wroga.

Joe. już od wielu dni snedzaiacv okres rekonwalescencji

w objęciach wygodnego fotela, definitywnie pogrzebał Pompeję Bulwera pod lawą Wezuwiusza. Zamknął książkę, przeciągnął się lekko i spojrzawszy na promień, wywnioskował z jego położenia, że jest mniej więcej piąta. Potem zapatrzył się w przestrzeń z niewiarygodnie tępym wyrazem twarzy, dowodzącym, że duchem jest daleko stąd. Tak też było istotnie, gdyż duch Joego wyszedł na daleki spacer, do panny Breakenridge. Dzisiejszego ranka Winnifreda pożegnała Joego tkliwym i niewymownie czystym pocałunkiem, opuszczając kochanka, ale tylko na czterdzieści osiem godzin, i to niecałych. Przyjęła zaproszenie zapalonego sprzymierzeńca ojca, pana Pete'a Schnitzelbauma, dobrodusznego niemieckiego farmera, i pojechała z nim do jego ranczo, leżącego w odległości zaledwie paru mil od miasta; miała nadzieję, że wróci następnego dnia, zaopatrzona w plody ziemi, którymi natura obficie obdarzyła pola Schnitzelbauma. Nie wątpiła bowiem, że farmer będzie miał gest.

„Teraz może spaceruje wśród łagodnych krówek, głaszcząc je pieśczośliwie po szerokich czołach, zaglądając uważnie w ich mądre oczy i ze zrozumieniem przysłuchując się poetycznemu myczeniu!” – pomyślał Joe, lekko wzruszony.

Puk, puk!

Silne pukanie w okno wyrwało go z tych tkliwych rozważań.

Podniósł wzrok i zobaczył wstrętną oliwkową twarz z rozplaszczonym na szybie szerokim nosem.

– Señor Joe! Señor Joe! – dobiegł z dworu przerażony głos.

Trochę jeszcze niepewnym krokiem podszedł Joe do okna i otworzył je. Przed nim, w podartym i wypłowiałym poncho, stał meksykański mieszaniec, okryty grubą warstwą kurzu. Najwidoczniej pędził co koń wyskoczy. Po brudnym czole ściekały mu strużki potu.

– Señor Joe! – przemówił świszczącym głosem. – Z senioritą Winnifreda jest źle! Napadli na nią, porwali! Widziałem to na własne oczy!

Jednym skokiem znalazł się Lemoniadowy Joe przy drzwiach i wciągnął mieszańca do środka.

Po chwili dowiedział się wszystkiego.

## WSTRZĄSAJĄCE ZAKOŃCZENIE

(drastyczne szczegóły!)

## KNUCIE W CHACIE

Jeszcze kilka chwil wieczorna zorza roztopiała się w ciemności. Potem dzień skończył i pogrzebała go noc. Na wpół stopiona świeca, wetknięta w butelkę, ponuro oświetlała wnętrze lepianki z czerwonej gliny. Jedyne dźwiękiem, jaki ożywił ciszę tego

pomieszczenia, było plaskanie kart, bo czwórka graczy, siedzących wokół grubo zbitego stołu, nie przemówiła dotychczas ani słowem. Od czasu do czasu powstawał lekki przeciąg. Wówczas smętny płomyk łożówki falował, a na ścianach, niby w ataku febry, drżały cienie spiczastych sombrer. Po chwili znowu wszystko nieruchomiało, a obłok dymu z papierosów, wiszący nad stołem, gęstniał i przybierał kształt jakiegoś tajemniczego baldachimu. Nagle za progiem z chrzęstem zabębniły widmowe palce nocnego wiatru. Dziobaty Meksykanin gwałtownie podniósł głowę i wpatrywał się w ciemność. Strach wysadził mu z orbit migdałowe oczy. Grimpo spojrzał nań z niechęcią i prasnął kartami o stół.

– Do diaska, alem sobie wybrał odważnych chłopów! – powiedział zrzędliwie, z pogardliwym wyrazem twarzy, o ile oczywiście pod jego małym zarostem można było dostrzec jakikolwiek wyraz. Lecz dziobaty spojrzał nań z troską.

– Señor Joe może tu być lada chwila, capitano, a my gramy sobie w monte, jakby już leżał dwadzieścia stóp pod ziemią. Valgame Dios, przecie to prawdziwy diabeł. Wcale bym się nie dziwił, gdyby nagle wyskoczył z tej karty!

Trzeci gracz oderwał wzrok od swoich kart i nieufnie popatrzył na kartę ospowatego. Wyszywane złotem i ozdobione frędzlami sombrero na jego głowie z pewnością wyszło z pracowni znakomitego meksykańskiego rzemieślnika. Jego rysy jednak zdradzały iankeskie pochodzenie. Człowiek ten nazywał się Dick

zaczęły jawnie pokazywać. Człowiek ten nazywał się Dick Hammond alias Elegant i miał sławną przeszłość. Przed laty pracował jako „agent szosowy” ze słynnym Henrym Plumerem i w Alder Goulchi ledwo uniknął stryczka. Teraz, gdy doszedł wreszcie do wniosku, że jest wykluczone, aby Lemoniadowy Joe wyskoczył z karty, napadł wściekle na Meksykanina:

– Czego ciągle skamlesz, Manuelu? Gdyby Grimpó posłał po Joego ciebie, na pewno byśmy tu nie siedzieli tak spokojnie. Ale Jesus jest chytrzejszy od Apacza. Żaden z nas nie załatwiłby tego lepiej!

Telesfor Gabillondo, ostatni z dobranej czwórki, ze swą pociągłą szczurzą twarzą, wąskimi źrenicami i bezczelnym wąsikiem wyglądał jak urodzony morderca. Jego poglądy zadziwiająco odpowiadały aparycji.

– I po co te ceregiele, amigos? Czy musimy go dostać żywego? Czy Jesus nie mógłby mu po prostu przyszpilić koszuli do łopatek nożem? Przecież umie się z nim obchodzić! W Nogales przebił dwóch celników tak szybko, że głodny mnich nie zdążyłby się przeżegnać.

– To prawda – rzeki Grimpó – ale ja chcę go dostać żywego. Mam swoje powody. I nie tylko ja. Zresztą zapewniam cię, Telesforze, że te proszki uśpiłyby nawet ogiera w zalotach. A gdyby i one zawiodły – co jest zupełnie niemożliwe – to na dworze leży jeszcze Jeff, a on dałby nam na pewno znak,

że lemoniadziarz nadchodzi!

– Quién sabe, compadre, quién sabe! To nie znaczy, że się boję, ale nie będę spokojny, dopóki...

Mrożące krew w żyłach wycie szakala przeszło ciemność. Manuelo poszarzał, a i na twarzy Grimpa odbiło się napięcie. Patrzyli na siebie, niemal nie oddychając. Szakal zawył znowu, a mięśnie twarzy Grimpa rozluźniły się.

– Wszystko w porządku, to przyjaciele! – powiedział Dick Hammond i wypuścił nozdrzami dwie cienkie smugi dymu. Wszyscy patrzyli teraz na drzwi – do chaty zbliżały się lekkie kroki. Wreszcie stuknęła klamka i weszła postać, od stóp do głów otulona w ciemnopurpurowe indiańskie okrycie. Gdy spadło na ziemię, przed zdumionymi zabijakami stanęła Tornado Lou z ładnym koszyczkiem w ręku. Jej mleczna skóra ciepło jaśniała w wycięciu czarnej sukni, na w pół obnażone boskie piersi podnosiły się i opadały w przyspieszonym oddechu. Patrzyli na nią całkiem ogłupiali. Grimp, chociaż wiedział, że to w jej głowie zrodził się plan tej haniebnej pułapki, zdumiony był jednak odwagą dziewczęcia. Wypuścić się w nocy w tak niebezpieczne okolice, gdzie w każdej chwili mogła wypaść banda okrutnych Apaczów, to bardzo ryzykowne ze strony bezbronnej dziewczyny, choćby nie wiem jak zadufanej w sobie. Lou, widząc zmieszanie i zdumienie kompanów, zaśmiała się swym podniecającym altem i podeszła do stołu krokiem, na którego widok mężczyźni zrozumieli, że wyszli z tego...



na ktorego widok mężczyzna zapomina o wszelkim stracnu.

– Dobry wieczór, chłopcy! Czy jestem ośmionogie źrebie, że się na mnie gagicie z taką zgrozą? Mam przecież prawo tu być, może nie? Przecież cały ten pomysł wylął się w mojej głowie!

Ponieważ wszyscy jej to prawo przyznawali, milczeli. Grimpo patrzył na nią z pełnym zakłopotania podziwem, drapiąc się po zarośniętej brodzie, podczas gdy Telesfor Gabillondo rozbierał ją spojrzeniem do naga, nie dbając, że w chacie jest dość chłodno, co dowodziło jego zupełnej bezwzględności.

Dick Hammond i Manuel Luna także przypominali łakome kocury. Lou postawiła koszyk na stole i wyjęła z niego wielką butlę... lemoniady Kolakoka. Potem spojrzała szelmowsko na desperados, którzy na widok tego napoju nie zrobili inteligentnych min.

– Przysyła wam to Horacy – powiedziała. – Po jednym łyku tej lemoniady pukawki same wam wskoczą do rąk!

– Co to za głupie żarty? – burknął Grimpo, nie dotykając nawet butelki.

Za to Telesfor Gabillondo złapał ją, odbił bez wahania korek i powąchał. Podniósł wysoko smoliste brwi i skwapliwie przytknął butelkę do ust. Poruszająca się grdyka zdradziła, że pociągnął solidny łyk.

– Santiago di Compostella! – wykrzyknął rozentuzjasmowany, ocierając grzbietem ręki wargi. – Tak wyśmienitej brandy jeszcze nie piłem. Na pewno pochodzi z prywatnej piwnicy señora Greenwooda!

– Eh, ja tam tego nie tknę! – mruknął Grimpo, nadal spoglądając na butlę z nieufnością. – Znam żarty Greenwooda. Głowę bym dał, że to środek przeczyszczający!

Zabijaka miał uzasadnione powody do podejrzeń. Nie mógł Horacemu zapomnieć, że go ośmieszył przed dziewczętami z Elizjum, wyciągając mu z kabury pieluszkę. Zwrócił wzrok na dziewczynę.

– Chce pani tu zostać aż do końca, panno Lou? Przecież to, co się tu za kilka godzin rozegra, nie nadaje się dla dziewczęcych oczu!

Twarz Loli nagle dziwnie stwardniała. Kości policzkowe uwydatniły się, w oczach rozgorzał ponury płomień.

– Pan tego nie rozumie, Grimpo! – wyszeptała. – Pan nie wie, do czego jest zdolne wzgardzone serce kobiety!

Gdy tak tutaj stała, posepna i złowieszcza, wyglądała doprawdy wspaniale. Bogini zemsty lub coś w tym rodzaju. Obecni Latynowie potrafili ocenić to okrutne piękno.

– Per Dios, to dopiero muchacha! – wycedził señor Gabillondo przez zęby, chyba po raz piąty już zaczynając ją w wyobraźni rozbierać, tym razem jednak z pewną dozą nabożnego szacunku.

Nagle wszyscy zdrętwieli. A przecież nikt nie mógł dokładniej opisać słyszanego przed chwilą dźwięku, a właściwie, lepiej mówiąc, dźwięku, który wydawało im się, że słyszeli.

Był to wiatr, żywe stworzenie czy duch? We wszystkich dłoniach jednocześnie znalazły się rewolwery. W końcu Grimpó, kopnąwszy drzwi, że o mało nie wypadły z zawiasów, odważnie stanął na progu, trzymając palce na cynglach odbezpieczonych koltów.

– Quien es? Kto tam? – zawołał chrapliwie.

Nic... Tylko nocny wiatr przebiegł złodziejskimi krokami po liściach mesquite.

Potem znowu zapanowała cisza.

Kiedy Grimpó wrócił do izby, Manuel Luna wciąż jeszcze bełkotał modlitwy. Tornado Lou ogarnęła pogardliwym wzrokiem pobladłe twarze.

– Doprawdy, chłopcy – zaśmiała się uszczypliwie – jeszcze nigdy nie widziałam tak wspaniałej kolekcji galarety i zajętych serc!

Grimpo nadal stał z wytrzeszczonymi oczyma, ściskając sześćostrzałowce. W końcu z brawurą wsunął je do kabur.

– Lou ma rację! – burknął. – Myślę, że to wiatr szumiał w kolcach kaktusów... – Widać jednak było, że z trudem się zdobywa na spokojny ton.

Tajemniczy jęk już się więcej nie powtórzył, mimo to wszyscy czuli, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta, dławi za gardło i paraliżuje ducha, zahartowanego przecież w śmiertelnych niebezpieczeństwach. Podstępna noc z każdą chwilą oplatała ich coraz gęstsza pajęczyna strachu. Coś przerażającego unosiło się w powietrzu, pod niską powalą, w czerwonym świetle ponurej świecy.

– Myślę, że powinni go przynieść lada chwila – szepnął Dick Hammond, nie odważając się mówić głośno. A przecież jego szept został usłyszany.

Drzwi rozwarły się z potwornym hałasem i do izby wpadł, stuknąwszy głucho o podłogę, podłużny tobolek. Był to postawiony na straży Jeff, z rękami związanymi i zakneblowanymi ustami, nieszczęsny, bezwładny przedmiot niewiele mający wspólnego z Jeffem Hollisterem, bandytą kolejowym i zabijaką. A nad nim stał Lemoniadowy Joe... Szeroko rozkraczony, z groźnie wycelowanymi

siłniewessonami w rękach, na te nocnych ciemności wyglądał jak piękny posąg. Grimpowi już w tym momencie wpadł w oczy olbrzymi okaz broni krótkiej, tkwiący za pasem Joego. Przypominał trochę stary model marynarskiego rewolweru, ale podobieństwo to ograniczało się do kilku zaledwie zewnętrznych szczegółów.

– Dobry wieczór! – rzekł Joe uprzejmie, ale nie opuścił groźnych luf nigdy niechybiających rewolwerów. – Cóż to, sami podnosicie ręce? No dobrze, nie mogę wam tego zabronić. Bardzo mi przykro, o pani i panowie, że składam wam wizytę nieproszony. O przepraszam, zapomniałem, przecież pani mnie zaprosiła, panno Lou, chociaż dowiedziałem się o tym dopiero w połowie drogi. Doprawdy, wstyd mi, gdy pomyślę, że wasz wysłannik przypłacił to przemile odkrycie wielkim guzem. Ale mogę was zapewnić, że señorowi Jesusowi Chavez jest z nim bardzo do twarzy. Jakżeż pięknymi barwami się mieni! No cóż, dobry Jesus miał pecha, a wy razem z nim. Starczyło, że przelknąłem jeden jedyny łyk orzeźwiającego napoju, który mi ofiarował, a od razu się zorientowałem, co w trawie piszczy. Wypiłem przedtem szklankę lemoniady Kolakoka, a ona, jak wiecie, diabelnie zaostrza apetyt, a i wszystkie zmysły. Gdyby wasz przyjaciel Jeff to wiedział, nie leżałby teraz tu na ziemi, podobny raczej do kokonu jedwabnika niż do porządnego rewolwerowca. Ale dość żartów! Niech pani weźmie pukawki od panów i połóż je przede mną. Szybko!

Lemoniadowy strzelec trząsknął fajerwerkami ironii. Wszyscy

lemoniadowy szercu uzyskał najcięższym iloniu. Wszyscy wpatrywali się weń oczarowani, a we wzroku Tornado Lou było jeszcze coś więcej. Nieudana zemsta powinna ją przecież napęlić nienawiścią i wściekłością. Wiedziała o tym, a jednak czuła szczególne zadowolenie z tak nieoczekiwanego obrotu sprawy. „Co to ma znaczyć?” – pytała serca, a serce odparło: „Niech się zmienię w kawał ementalckiego sera, jeśli nie kocham nadal do szaleństwa tego wspaniałego chłopaka!”.

Podczas gdy Lou posłusznie wyciągała sześciostrzałowce z kabur mężczyzn, rzucających wściekle spojrzenia, Joe, uśmiechając się zwycięsko, rozglądał się po chacie. W końcu wzrok jego spoczął na butelce lemoniady Kolakoka. Odkrycie to sprowadziło na tę szlachetną twarz wyraz błęgiego zachwyty.

– Widzę, panowie, że istotnie byliście przygotowani na moją wizytę!

Z tymi słowy, wypowiedzianymi z gryzącą ironią, podniósł butelkę, by wygłosić kpiący toast.

– Znacie moją dewizę! Przynajmniej jedna dziennie! A więc – wasze zdrowie!

Lou chciała krzyknąć, lecz było już za późno. Wargi strzelca nawet jeszcze nie dotknęły brandy Horacego, a jego ciało zwałiło się na podłogę, pokonane zapachem alkoholu.

Podłoga poddała się ciężkiemu ciału i odwróciła się na boki.

radzi, aż zadudniła ziemia, a zbroja zadrzewiała na nim.

O nie, ten wiersz z Iliady, użyty przy okazji upadku takiego bohatera, wcale nie jest przesadą, chociaż ziemia nie zadudniła, a funkcję dźwięczącej zbroi spełniła butelka, która roztrzaskała się na podłodze z udeptanej gliny z równie przejmującym dźwiękiem.

W ciągu kilku sekund był Joe rozbrojony i związany. Płomień świecy jeszcze migotał niespokojnie, rozchybotany nagłą kotłowaniną, gdy Grimpo zapytał Manuela Luny:

– Nie zapomniałeś o brzytwie i mydle do golenia?

– No, señor!

Grymas szatańskiej radości wykrzywił twarz zabijaki. Widać to było nawet pod zarostem..

## TYGRYSIE PIJAWKI WYCHODZĄ NA SWOJE

Rozłożyste, suche drzewo tkwiło na samym skraju skalnego cypla. Jego bezlistne gałęzie odbijały się nieruchomo w ciemnych wodach Czarnej Toni. Niekiedy tajemnicze drzenie marszczyło gładką tafłę, a wówczas wszyscy, którzy jej się akurat przypatrywali, robili znak krzyża, wiedzieli bowiem, co znaczy ten niepokój: to któraś z osławionych tygrysih pijawek zmaciła wodę, szukając ofiary. Miriady – to może przesada, ale dziesiątki tysięcy tych straszliwych gadzin należą do rodzaju

cziesiątki tysięcy tych suaszliwych gązów, należących do rodzaju pierścienic, zamieszkiwały Czarną Toń. Biada stworzeniu, które weszło w styczność z ich zimnymi pyszczkami: w ciągu kilku sekund było wyssane jak cytryna.

Ale powróćmy do drzewa na skalnym cyplu. Podobne do szkieletu smoka, żałośnie rozpina martwe, gruzłowate ramiona gałęzi, z których dawno opadł ostatni liść. I właśnie do tego ohydneho kościotrupa przywiązano Lemoniadowego Joego tak mocno, że nie jest w stanie nawet drgnąć. Zabijacy o tym wiedzą i dlatego dla kpin wsadzili mu do kabur jego smith&wessony, a za pas wetknęli ów dziwny rewolwer, w którym bardziej domyślni czytelnicy pewnie już poznali majstersztyk łysego stryja.

Naturalnie nasz bohater nawet okiem nie mrugnie, chociaż wie, że oprawcy gotują mu straszne rzeczy. Na razie łotry palą papierosy i ostrzą sobie dowcip na bezbronnym jeńcu.

Łatwo wam żartować, panowie! Nie widzimy tu jednak ani Grimpa, ani Tornado Lou. Ale ponieważ zabijacy ich nie szukają, znaczy, że wszystko w porządku.

– A to właściwie po co, compadre? – pyta Gabillondo Dicka Hammonda, wskazując wznoszącą się opodal wielką kupę suchej trawy.

A zapytany odpowiada:



– Jak tylko Lemoniadowy Joe zostanie wyekspediowany do niebieskich saloonów, Grimpo zapali ten stóg. To znak dla pana O’Meary, który już będzie wiedział, co robić dalej.

– A ja bym chciał wiedzieć, amigos – mówi dziobaty Manuel Luna – dlaczego musiałem rano naostrzyć brzytwę señorowi Grimpo i zagrzać mu wodę do golenia? Zarostu przecież nawet nie tknie, więc co będzie golić?

Pytanie zostaje bez odpowiedzi.

Nagle skrzypnęły drzwi chaty i na progu pojawił się jakiś mężczyzna. Powiedzielibyśmy: Grimpo – ale ten człowiek wypożyczył od zabijaki tylko figurę i ubranie. Główna rzecz, twarz, nie należała do Grimpa. Było to gładko wygolone, zimne oblicze z okrutnymi ustami i brutalną dolną szczęką. Nieznajomy podszedł bliżej, a Joe zmarszczył nagle brwi, i to zmarszczył głęboko.

– Billy Brooks! – zaszepnął zdumiony.

– Tak, rewolwerowcze, Billy Brooks! Przysięgłem, że brzytwa nie tknie mej brody, dopóki nie przyjdzie chwila zemsty! – zarechotał wygolony mężczyzna, w którym i my już poznajemy pozbawionego przez Joego spodni zabijakę z Powderville.

Podchodzi coraz bliżej, w ustach trzyma słomkę, palce wetknął

za pas, aż wreszcie staje twarzą w twarz z Lemoniadowym. Wśród zabijaków szept, zdumienie i tak dalej. Grimpo-Brooks, nie przestając żuć słomki, wpatruje się badawczo w oblicze strzelca, jest jednak trochę skwaszony, bo nie znalazł, czego się spodziewał – bladego strachu. Spogląda więc nad jego ramieniem na tafłę wody i widzi, że aż się roi od wstrętnych cieni. Ohydny uśmieszek wykrzywia mu usta; zwraca się do swych kompanów, którzy tymczasem ustalili już jego tożsamość.

– Do diaska! Nie zazdroszczę dzisiaj zbytnio śniadania naszym pijawkom. Przypuszczam, że przesycona lemoniadą krew tego żółtodzioba nie będzie przysmakim dla tych przemitych stworzonek. Che, che, che!

Zarechotał, jakby rzekł wspaniały dowcip. Jeff Hollister, Dick Hammond, Telesfor Gabillondo i Manuel Luna też zaśmieli się do rozpuku.

Brooks, ponownie wpijając płonący nienawiścią wzrok w twarz jeńca, nadal pluł tanią ironią:

– Naturalnie dołożę wszelkich starań, żeby nie tylko pijawki coś z tego miały, ale ja również! Wiesz co, Joe, najpierw ci pokażę, że ja też jako tako umiem się obchodzić z rewolwerem. Wtedy w Powderville pozbawiłeś mnie pasa i spodni. Myślę, że mi wybaczysz, jeśli ja, że tak powiem, zajmę się raczej ciałem. Najpierw odstrzelę ci uszy, potem nos i tak dalej, aż cię pięknie zaokrąglę. Ale i wtedy będziesz na tyle przytomny, aby zdawać

sobie sprawę ze wszystkich przyjemności swej sytuacji. No, a potem ochłodzimy ci trochę ciało w Czarnej Toni, a gębusie tych rozkosznych zwierzątek przywitają cię tak namiętnymi pocałunkami, że będzie ci się zdawało, że jesteś w siódmym niebie. A nie wątp, że będziesz tam za chwilę rzeczywiście!

Po tych słowach Grimpo ścisnął palcami nos Lemoniadowego i gwałtownie nim pokręcił. Było to w najwyższym stopniu znieważające. Sytuacja zresztą pod innym względem była też dla Joego diablo niemila, bo Grimpo, groźnie przysuwając się do jego twarzy, straszliwie parsknął. W końcu odstąpił o kilka kroków.

– Uwaga! – zakwilił słodko. – Zaczniemy od lewego uszka!

Powoli, okropnie powoli wyciągnął Grimpo kolta. Potem, sprawdzwszy troskliwie mechanizm – zamierzał bowiem jak najdłużej przeciągać męczarnie jeńca – jął celować z rozwagą, jak na zawodach, kiedy jest dość czasu. Nikt nawet nie pisnął. Muszka kolta przykryła lewe ucho ofiary. Lada sekunda mógł zahuczeć wystrzał. Straszliwe chwile... Z pewnością jedynie czytelnik niezłomie wierzący w happy end zachowuje spokój.

Nagle Grimpo opuścił broń. Obserwując Joego ze złośliwym uśmieszkiem, zakręcił koltem młynka i wsunął go do kabury. Potem, ze wzrokiem wbitym w pas Lemoniadowego, podszedł do niego powoli.

– Hm, przyszedłeś na spotkanie z nami uzbrojony po zęby, rewolwerowcze – mruknął, oglądając kolekcję Lemoniadowego. – Aż trzy pukawki! Wtedy strzelałeś do mnie ze swojej broni. A ja będę tak wielkoduszny, że zrezygnuję z własnych koltów, z których potrafię strzelać po ciemku, i użyję którejs z twoich armat. O, tej!

Z tymi słowy wyszarpnął mu zza pasa rewolwer Buda i potrząsając ze zdumieniem głową, oglądał niezwykle szczegóły mechanizmu. Po chwili zajął znów poprzednią pozycję i znowu wziął na cel lewe ucho jeńca. Wtem zauważył, że Joe spokojnie sobie pogwizduje, jakby właśnie zawarł z losem obustronną umowę na kilka dalszych tuzinów lat spokojnego życia. To oczywiście Grimpa zniechęciło; opuścił broń i nieufnie rozejrzał się wokół, chcąc zobaczyć, co napełniło Joego taką beztroską (my naturalnie doskonale znamy przyczynę). Ale nie spostrzegł nic. Jął więc znowu celować, gdy nagle usłyszał skrzypnięcie drzwi chaty i kobiece łkanie. Chociaż wiedział, kto to szłocha, znowu odwrócił głowę i zmęł w zębach ordynarne przekleństwo.

Z oczyma zaczerwienionymi od płaczu, powoli, ale zdecydowanym krokiem, zbliżała się panna Tornado Lou. Zgryzota uwzniośliła ją niemal do wyżyn antycznej postaci.

Przemianę, jaka zaszła dzisiejszej nocy w jej sercu, zrozumie każdy, kogo chociaż raz zraniła strzała Amora. Już w momencie,

kiedy zobaczyła Joego stojącego nad skrępowanym Jeffem, uświadomiła sobie, że to właśnie miłość, wzgardzona miłość zmusiła ją do tak potwornego czynu. Tak, tylko obrażone serce zwabiło Lemoniadowego Joego w tę zgubną pułapkę. Resztę nocy, ku wielkiemu niezadowoleniu Grimpa, przeszłochała w kącie chałupy. Rewolwerowiec szanował w niej wprawdzie damę, ale najchętniej posłałby Lolę do wszystkich diabłów, bo to chlipanie działało mu na nerwy. Odetchnął więc, gdy Lola rano zapadła w apatyczne odrętwienie, a potem usnęła. Podczas gdy spała, bandyci wskrzesili Joego, wylawszy nań dzban zimnej wody, po czym, lekko go poturbowawszy, szybko przywiązali do drzewa; mieli nadzieję, że wykończą naszego bohatera, nim się dziewczyna obudzi. Potraficie więc sobie wyobrazić wściekłość Grimpa na widok osoby, której obecność nie mogła się przyczynić do gładkiego przebiegu egzekucji. Najbliższe minuty pokazały, że słusznie przewidywał. Jak już wspomnieliśmy, dziewczyna wlokła się noga za nogą. Nagle krzyknęła, pędem przebyła odległość dzielącą ją od Joego i rzuciła mu się do stóp.

– Kochany, czy może mi pan przebaczyć? – łkała, obejmując jego zakurzone buty.

Niemal nieziemski uśmiech rozjaśnił twarz rewolwerowca, gdy powiedział:

– Biedne dziecko, przebaczam pani!

Tak wielka dawka wielkoduszności wstrząsnęła pozostałymi, jeszcze niewstrząśniętymi składnikami duszy dziewczęcia.

– To szlachetne serce mi przebacza! – wyszeptała, a dwie gorące łzy spłynęły po jej strapionym licu.

– To już nie do wytrzymania! – zamruczał rozgoryczony Grimpó, nie mogąc się doczekać chwili, gdy zacznie pozbawiać głowę Joego uszu, począwszy od lewego. Nagle jednak Lou zwróciła się szaleńczo ku jego kompanom. Wyraz jej pokraśnionej twarzy zdradzał, że desperacja dziewczyny sięgnęła kresu.

– Rewolwerowcy! – zawołała głosem dźwięcznym jak trąbka, a stanowczym niby Napoleon. – Ofiarowuję każdemu z was darmo noc pełną rozkoszy, jeśli dacie odejść temu człowiekowi!

Najprawdopodobniej Lou dopięłaby swego, gdyby choć chwilę jeszcze grała na strunie lubieżności, znajdującej rezonans w tych nikczemnych duszach. Lecz w tym momencie opuściły ją resztki sił i – ku szatańskiej radości Grimpó – zemdlą.

– Tym lepiej dla nas! – wykrzyknął zabijaka, nader brutalnym gestem nakazując swym kompanom, aby odnieśli to piękne, choć pozbawione teraz ducha ciało. Dick i Manuel odciągnęli więc Lou, Grimpó-Brooks zaś jął znowu celować, przekonany, że teraz nic już nie stanie na drodze jego kul. Desperados, stojący z obu stron swego przywódcy nieruchomo jak posągi,

nie spuszczały wzroku z twarzy Lemoniadowego, pragnąc napaść oczy jego śmiertelną męką. Ale zawiedli się, bo Joe spoglądał na nich tak uprzejmie i spokojnie, jakby przyszli z bukietem kwiatów i tortem ze świeczkami złożyć mu życzenia urodzinowe.

A Grimpo wciąż celował. Pomału, bardzo pomału nacisnął spust dziwnej broni...

Trach!

Dick Hammond, stojący tylko kilka kroków od kolta Brooksa, padł, nie wydawszy głosu, z przestrzelonym czołem. Cudowny rewolwer Buda, strzelający w bok, rozpoczął swe żniwo. Manuel Luna, popielaty ze zgrozy, patrzył na martwego Dicka wytrzeszczonymi oczyma.

Trach!

Druga kula stryjowego rewolweru przebiła mu skroń. Grimpo, całkowicie pochłonięty lewym uchem naszego bohatera, które mimo dokładnego mierzenia wciąż tkwiło na swym miejscu, nie spostrzegł masakry obok siebie. Wycelował więc jeszcze staranniej, oparłszy prawą dłoń na lewej, i wypalił raz za razem. Jeff Hollister, z przestrzeloną aortą, zatoczył się i padł na Telesfora Gabillonda, któremu czwarty pocisk utkwiał w sercu. Meksykanin z przeraźliwym jękiem osunął się na stóg trawy, której płomień miał zawiadomić o śmierci Joego. Panieros wysunął mu się z ust i unadł na suche źdźbła.

Dopiero jęk Gabillonda spowodował, że Grimpo się obejrzał. Przerazająca hekatomba przejęła lodowatym dreszczem jego duszę i ciało. Chwilę gapił się na trupy towarzyszy, po czym znowu wpił przesłonięty krwią wzrok w złośliwie się uśmiechającego Joego. Straszliwa irytacja, która go teraz ogarnęła, na wpół sparaliżowała mu język, więc zaczął się jąkać, jak kiedyś w powdervilskim barze, gdzie na zawsze umieścił pana Bushmana w pozycji horyzontalnej.

– T-t-ty d-ddiabile, m-mnie nie oszukasz s-s-swoimi czarami! M-mmoje pu-pu-kawki n-n-nie będą słuchać twoich cza-cza-czarów!

Z tymi słowy cisnął w głębinę rewolwer Buda i wyciągnął z kabur kołty. Ale nagle za jego plecami zahuczał wystrzał i Brooks upuścił broń, wpijając palce w przestrzeloną pierś. Tornado Lou, kurczowo ściskając obiema rękami rewolwer, którego lufa jeszcze pluła duszącym dymem, patrzyła nań przerażona. Kilka sekund temu ocknęła się z omdlenia. Krytyczne położenie Joego natchnęło ją zdumiewającą energią, wyciągnęła najbliżej leżącemu trupowi rewolwer z za pasa i, kładąc kres groźbom Grimpa, bez namysłu wypaliła.

Łotr miał śmierć straszną – taką, na jaką sobie swym nędznym życiem zasłużył. Wyjąc i jęcząc, dowlóknął się do jeńca i byłby go może udusił, gdyby nie stracił resztki sił. Zatoczywszy się



dziwacznie, z potwornym rykiem przeleciał przez występ skalistego cypla i spadł w Czarną Toń. Jeszcze nie przebrzmiał plusk wody, a już jej gładka tafla wzburzyła się gwałtownie. Tysiące czarnych, węzowatych cieni zjawiało się ze wszystkich stron i w ciągu sekundy wciągnęły umierającego pod wodę. Ohydne ssanie i mlaskanie wydały straszne świadectwo, że krwiożerczy Grimpó przestał istnieć. Tymczasem Tornado Lou już przecinała nożem Telesfora ostatni postronek krepujący rewolwerowca. Joe padł jej w ramiona – nie z przyczyn erotycznych jednak, lecz zupełnie innych, mówiąc dokładniej – technicznych. Spowite więzami członki tak mu zdrętwiały, że nie czuł po prostu nóg. Minęła długa chwila, nim był w stanie uczynić jakiś ruch. Tymczasem tygrysie pijawki, dokonawszy swego dzieła, opadły na dno toni, aby w miękkim bagnie użyć swym przesyconym ciałom dobrze zasłużonego odpoczynku po potwornym obiedzie. Tak więc, gdy Joe rzucił okiem na wodę, ujrzał pływającą tam bezkrwistą łupinę, podobną do pęcherza, z którego wypuszczono powietrze, groteskowo przewalającą się w ubraniu tego, kogo nazywano Brooksem vel Grimpem. „Doprawdy – pomyślał, opierając się osłabłym ciałem o ramię Loli – to widok tylko dla ludzi o silnych nerwach! Dobrze, że je mam!”. Po czym, chyląc czoło przed dostojnym majestatem śmierci, zdjął stetson i patrząc na zwłoki zabijaki, rzucane jak piłka przez figlarne fale, wymamrotał przejęty:

– Już go wyssały!

Wreszcie odwrócił wzrok od tego smutnego widowiska. Nagle uświadomił sobie w pełni obecność i funkcję Loli.

– Uratowała mi pani życie! – rzekł serdecznie do dziewczyny, która spuściła oczy i zatrzepotała szczoteczką długich i gęstych rzęs, artystycznie pokrytych grubą warstwą znakomitego kosmetyku Rzęsol (Cohen&Cie, San Francisco, Norton Street 312).

– Niech mnie pan nie zawstydz, wielki, szlachetny człowieku! – powiedziała cicho. Potem podniosła nań czyste, gorące spojrzenie. – Niech pan zapomni o dawnej Tornado Lou! – ciągnęła. – Umarła dzisiejszego ranka razem z tymi złoczyńcami, a urodziła się inna, lepsza!

Pełen wdzięczności uścisk dłoni, w którym Joe zwarł rękę dziewczyny, najlepiej ją przekonał, że rewolwerowiec jej przebaczył.

Dopiero teraz dosłyszeli oboje lekkie trzaski, na które dotychczas nie zwrócili uwagi. Obejrzawszy się, ujrzeli płonący stóg trawy, który się zajął od papierosa Gabillonda. Jasny płomień lizał czerwonozłotymi jęzorami bezwietrzne powietrze, wysoko nad skały śląc słup śnieżnobiałego dymu.

WSZYSTKO ZMIERZA W DOBRĄ STRONĘ

Jasny płomień lizał więc czerwonozłotymi jęzorami bezwietrzne

powietrze, śląc wysoko nad skały słup śnieżnobiałego dymu.

O milę stąd, w bazaltowej rozpadlinie, przycupnął mężczyzna aż po brodę otulony we frędzlaste poncho. Ujrawszy dym, odrzucił papierosa, zsunął się po usianym drobnymi kamieniami zboczu i wskoczył na grzbiet parsającego srokacza. Spiał go ostrogami tak energicznie, że nieszczęsne zwierzę popędziło, jakby słysząc wzmiankę o rakarzu.

Nie upłynęło wiele czasu, a jeździec stał przed O'Mearą, zdając sprawozdanie z rezultatów swej obserwacji. Stary oszust cieszył się jak dziecko. Co za frajda! Również Syringo, mrugając z zadowoleniem zza okularów, gładził ukontentowany długą, lichwiarską brodę. Najbardziej uradował się jednak Horacy, chociaż uciechę swą przejawiał nader dyskretnie. Poza wszystkim, szczęśliwy był także i z tego powodu, że cała ta brzydka sprawa przeprowadzona została tak, iż córce dziennikarza oszczędzono wszelkich nieprzyjemności. Albowiem uprowadzenie dziewczyny miało miejsce tylko w opowiadaniu mieszańca Jesusa, w rzeczywistości panna Winnifreda dotarła na farmę Schnitzelbauma bez żadnych przygód. I także z niej powróciła. Naturalnie Horacy nie zdawał sobie sprawy z głębi jej cierpienia, kiedy po powrocie nie znalazła ukochanego, chociaż przetrząsnęła dom od szafy na ubranie aż po kosz do śmieci. Czyżby wzburzony smutnym losem Pompei poszedł się uspokoić odświeżającą idyllą ulicznej strzelaniny, by pocieszyć się zwodniczą myślą, że lord Bulwer wszystko to

zmyslił? Dajmy jednak pokój bezpłodnym przypuszczeniom!

Kiedy więc nasza udana trójca całą kolekcją najróżniejszych dźwięków i gestów wyraziła radość ze śmierci Joego, O'Meara wstał i rzekł:

– A więc teraz na łów! Na Grzechotniki! – Skinął Darze Shikohowi, który, jako wzór sekretarza, przebywał jedynie w cieniu swych panów, o ile oczywiście nie biegał za najświeższymi nowinkami. – A pan, profesorze, natychmiast wezwie do mnie Hecka Rękenakolbie, Alfa Schneidera i Charliego Zurte!

– Dobrze – zapiszczał Syringo, wycierając okulary wielką chustką do nosa – a ja znowu zajmę się w spokoju papierami hipotecznymi Stromsena, które wzbogacą nas o farmę tego głupiego Szweda!

– Dobrze, że to mówisz! – zawołał O'Meara. – To mi przypomina, że już najwyższy czas skończyć z tym upartym O'Connorem. Jego rudera przynosi przecież wstyd naszej ulicy!

– Świetnie! – zakonkludował Horacy, zapalając O'Mearze cygaro, którym go przed chwilą poczęstował. – A ja, skoro kłopoty mam już za sobą, mogę spokojnie wybrać się na piknik, na który zaprosiły mnie panie z teatru Haggarda!

I wyszedł przebrać się w swój iluzjonistyczny surdut,

zaopatrzone w mnóstwo ukrytych kieszeni, wypełnionych rekwizytami. Gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał jeszcze wybuch cygara, którym poczęstował O'Mearę.

Ponieważ skończył toaletę bardzo szybko, zbywający czas postanowił spędzić w salonie gry Elizjum. O tej wczesnej godzinie sala była niemal pusta. Błady krupier, wycierający ceratę rulety, przywitał go z szacunkiem. Pochodził z Charlestonu, a ponieważ chętnie wspominał stare Południe, Horacy często z nim gawędził. Oprócz tego znakomicie przyrządzał mint-julep. Horacy i teraz poprosił go o szklankę tego niezrównanego napoju i już po chwili sączył mrożony lodem alkohol, przyprawiony latoroślą mięty. Potem zaczął kłaść pasjansa. Wkrótce jakaś trudniejsza kombinacja tak go zajęła, że przestał zwracać uwagę, co się wokół niego dzieje. Kiedy w pewnej chwili, chcąc się napić, podniósł głowę, spoza szklanki ujrzał siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Człowiek ten wpatrywał się w niego uporczywie. Był to Lemoniadowy Joe.

Ręka Horacego tak zadrżała, że lód w szklance aż zachrząścił. Ale w momencie, kiedy stawiał szklankę na stole, uczył pod rękawem na nadgarstku metaliczny chłód derringera. To go trochę uspokoiło.

– Pasjans to dość nudna gra, panie Greenwood. Może byśmy tak ucięli sobie partyjkę pokera?

Z temi słowy Lemoniadowy położył na stole swój olbrzymi

sześciostrzałowiec. Horacy pobrał lekko. Czuł, że po raz pierwszy w życiu traci panowanie nad nerwami.

– W tych okolicznościach nie mogę odmówić pańskiej prośbie, rewolwerowcze! – powiedział z lekkim uśmiechem. Potem skierował wzrok na złowieszczego smith&wessona. – Nie wiem jednak, czy tak gra dżentelmen!

– Chce pan zapewne powiedzieć, że tak nie gra dżentelmen z dżentelmenem, prawda? – spytał Joe poważnie. – Jestem tego samego zdania; ale jeśli dżentelmen gra z łotrem, to tego rodzaju zabezpieczenie jest konieczne!

Horacy zagryzł wargi. Słyszał, że za jego plecami z wolna wyrasta tłum gapiów. Za plecami Joego nie mógł jednak wyrosnąć żaden tłum, bo przezorny rewolwerowiec usiadł tak, że przed sobą miał całą salę, a za sobą ścianę. Tasował teraz karty, spoglądając nieruchomym wzrokiem na Greenwooda.

– Grimpo nie żyje – oznajmił półgłosem. – I wszyscy pozostali też!

Lekki skurcz przebiegł przez twarz szulera. Mimo to udawał, że nie słyszał ostatnich słów.

– Jaka jest wasza stawka, rewolwerowcze? – spytał chrapliwie.

– Ja nie stawiam na kartę nic, ale pan da do puli swoje życie!

To zdanie zerwało maskę spokoju z twarzy Horacego. Zerwał się, śmiertelnie blady, przeprowadzony błyskawicznie wycelowaną gardzielią smith&wessona.

– Nie może mnie pan zabić! – zakrzyknął z rozpaczą.

– Jest pan banitą w pięciu stanach!

– Ale tu jesteśmy w szóstym!

– Tere-fere! Jeżeli pan przegra, bez wątpienia odtransportuję pana do jednego z nich! Teraz jednak proszę usiąść! Oto pańskie pięć kart. À propos, gramy bez blefowania. Wyższa karta wygrywa!

Horacy ciężko opadł na krzesło. Zebrał karty i rozłożył je zawodowym gestem; w tym momencie uświadomił sobie, że opuściło go wszystko: szczęście, spokój i humor. Wściekłość go ogarnęła na widok idiotycznej mieszanki niskich blotek i niewiążących się figur, z których najgłupszy wyraz twarzy miała dama trefl. Dokupił jeszcze trzy karty, ale to mu nic nie dało. Twarz miał wprawdzie nieruchomą, ale za to w głowie myśli brzęczały jak rój rozpierzchłych szerszeni.

„Nie ma rady – rozważał – muszę oszukiwać za wszelką cenę. Żeby mi tylko palce tak nie drżały. To naprawdę przekłętą sprawą, że w decydującej chwili nerwy odmawiają mi

posłuszeństwa! No więc, zdaje się, że w lewej kieszeni mam potrzebną kartę!”.

Udając, że szuka chusteczki do nosa, zręcznie zaczął myszkować w owej części garderoby. Ale jego system nerwowy przypominał w tej chwili pajęczynę potarganą przez wicher, zupełnie więc zapomniał o rekwizytach iluzjonistycznych w kieszeniach. Rezultaty były zadziwiające. Przekonany, że wyczarowuje z poły surduta asa kier, wyciągnął za uszy bielutkiego królika; wycieczka do prawej poły skończyła się jeszcze gorzej: wyleciała stamtąd śnieżnobiała synogarlica, a w rękę Horacego zakwitł olbrzymi papierowy bukiet. Po chwili Greenwooda otaczał tłum węszących i gruchających stworzeń, papierowe rupiecie, kule i inne nieodzowne rekwizyty Małego Bosko. Nagle, jak zbawcze światło, zaświtał mu prosty, ale może właśnie dlatego tak dobry pomysł. Przypomniał sobie, że kłapa jego surduta skrywa w celuloidowym kwiatku, zatkniętym w dziurkę od guzika, miniaturowy rozpylacz z perfumami. Starczy go tylko dotknąć, a wytryśnie silny strumień. Już się nie wahał. Jego palec powoli zbliżał się do zbawczego miejsca. Uczuł, że myśli, trzepoczące się dotychczas jak spłoszone ptaki, siadają na gałęzi rozwagi. Palec nacisnął lekko rozetkę. Teraz trochę mocniej. Teraz...

Gwałtowny strumień lepkiej cieczy oślepił zaskoczonego Joego, a w tej samej chwili derringer, śpiesznie opuściwszy rękaw szulera, zestrzelił ze stołu smith&wesson. Celem następnego



strzału było szlachetne czoło rewolwerowca. Ale jednocześnie z wystrzałem derringera od najbliższego okna zagrział inny, którego Joe by się nie powstydział. Kula zderzyła się z kulą Greenwooda, która miała utkwic w mózgu Lemoniadowego, odrzuciła ją z drogi przeznaczenia i unieszkodliwiła. Drugi pocisk, wystrzelony przez nieznanego, ze złośliwym gwizdem przebił głowę szulera. Jego ciało ciężko opadło na stół.

A więc Horacy Jouett Greenwood z Tennessee nie żyje... Niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą, która ostatecznie nie była tak czarna, jak się wam to może niekiedy zdawało. I wyście z pewnością znali nieporównanie większych łajdaków, tyle tylko, że nie czarowali tak elegancją i wytwornym sposobem bycia, jak ten dystyngowany drab. Zresztą musiał on być taki zły, bo mu autor kazał.

Pomyślcie, jak by się mogły wyróżnić cnoty Lemoniadowego Joego, gdyby nie odbijały od atramentowoczarnych czynów Horacego? Ale dość już nekrologowych rozważań. Wracajmy do czerwonego przedziwa nadziei!

Kałuża krwi rozszerzała się pomału, a Joe, spoglądając na nieruchome ciało, szeptał ze wzruszeniem: „Bill, jesteś pomszczony!”. Nagle uświadomił sobie, że to przecież nie on pomścił śmierć przyjaciela. Spojrzał w stronę okna.

Dym wystrzałów rozpraszal się z wolna. Za jego rzednącą  
zesłona nasz rewolwerowiec uirzał olbrzymiego starannie

zasłonią nasz rewolwerowiec ujrzał obdzyrnego, starannie ubranego mężczyznę, który potrząsając grzywą kasztanowatych, spadających na ramiona włosów, wydmuchiwał z bębienka gryzący dym. W tej chwili człowiek ów podniósł na niego jasne oczy i Joe przypomniał sobie nagle słowa, wypowiedziane kiedyś przez Dzikiego Billa Hickoka:

„Kiedy panu będzie najgorzej, w chwili, kiedy będzie się pan tego najmniej spodziewał, zjawi się James Hickok i spłaci swój dług tą samą monetą”.

Nie spuszczać wzroku z Dzikiego Billa, Joe wstał i podszedł do okna. Na czubku nosa lśniła mu kropla perfum Horacego. Spadła w chwili, gdy Joe niezmiernie uroczyście potrząsnął prawicą swego wybawcy.

– Dziękuję, pułkowniku! – powiedział głosem zdradzającym głębokie wzruszenie. Nikt mu się zresztą nie dziwił. Była to doprawdy wzruszająca scena, istny żywy obraz, a zdradliwa wilgoć perlila się w oku najbardziej nawet nieczułych zabijaków, nie mówiąc już o czulszych.

Niestety, wszystko zepsuł zecer Fuzzy Tree. Leciał ulicą i ryczał, jakby go obdzierano ze skóry:

– Ludzie, ludzie, na pomoc! Heck Rękanakolbie robi nam z drukarni skład opałowego drewna! – Zezował przy tym tak straszliwie, że wszyscy odwracali twarze, jakby im pokazywał

głowę Meduzy. Joe jednak nie zwrócił uwagi na jego wadę wzroku. Pięknym stylem sforsował okno i ścisnąwszy ramię Hickoka, krzyknął:

– Jeśli chce pan jeszcze dziś oczyścić to miasto z kilku arcyłotrów, proszę ze mną!

Dziki Bill żywo skinął głową...

## HAPPY END ZDOBYTY SZTURMEM

Ponieważ wydarzenia potoczyły się teraz jak lawina, odrzucimy wszelkie stylistyczne ozdóbki i zostawimy tylko zbielały szkielet faktów.

W chwili, kiedy Horacy, nie znając jeszcze ponurej najbliższej przyszłości, upijał pierwszy zimny łyk mint-julepu, O'Meara w towarzystwie Hecka Rękinakolbie i jego dwu kompanów wkroczył do rudery O'Connora. Dokładnie w dwie minuty później padły wewnątrz dwa strzały. Pan O'Meara wyjaśnił potem szeryfowi, „swojemu” szeryfowi, jak to było. Krótko mówiąc, przyszedł do O'Connora i zaproponował mu bajecznie wysoką cenę za jego budę. Uparty Irlandczyk wynagrodził go jednak za tę wielkoduszną propozycję w bardzo brzydki sposób. Wyjął obciętą śrutówkę i wycelował do O'Meary, planując naturalną dawkę żelaza, jaką zawierało jego ciało, wzbogacić o mniej naturalną dawkę ołowiu. Charlie Zurta nie pochwalał tego zamiaru i dlatego O'Connora uśmiercił. Tak

brzmiało zgodne oświadczenie O'Meary i jego strzelców, a szeryf im oczywiście uwierzył. Później naturalnie okazało się, że nieszczęsny starzec został cynicznie zamordowany.

Natychmiast po złożeniu zeznań O'Meara wrócił do biura, pouczeni przez niego rewolwerowcy zaś odwiedzili pana Zachariasza Breakenridge'a, który był akurat sam w drukarni, bo Fuzzy obierał w kuchni kartofle. Winnifreda udała się do panny Cashell przymierzyć nowy gorset. Heck zatem podszedł do dziennikarza i wprawił go w zdumienie pytaniem, czy uważa się za grzechotnika. Nie czekając na odpowiedź, zaproponował, że nauczy go tańca grzechotników. Znowu nie czekając, czy propozycja ta zostanie przyjęta, zaczął czcigodnemu dziennikarzowi palić pod nogi z rewolweru, co starego pana zmusiło do wykonywania śmiesznych podskoków, które nawet przypominały jakiś taniec dzikusów. Tymczasem Alf Schneider rąbał przyniesioną siekierą kaszty. Fuzzy tylko zajrzał do drukarni i natychmiast wziął nogi za pas. Niewątpliwie dobrze zrobił.

Gdy Dziki Bill i Lemoniadowy Joe przybyli na miejsce tych bestialskich wyczynów, Charlie Zurta zaczynał akurat rąbać prasę drukarską, a ojciec Winnifredy gonił już resztkami sił. Hickok, nie mówiąc słowa, celnymi strzałami zlikwidował trójkę zabijaków. Potem poprosił dziennikarza o trochę terpentyny, bo umazał jasne spodnie farbą drukarską. Tak dbał o swój wygląd, że nie wziął wieczorem udziału w interesującym

i wesołym obrzędzie, podczas którego niejednemu z uczestników zniszczono różne części garderoby. Mianowicie rozweseleni obywatele wytarzali pana Syringę i Darę Shikoha w smole, utyłali w pierzu, wsadzili na muły twarzą do ogona i tak znieważonych wygnali z miasta. O'Mearę zaś wpakowali do aresztu. Później skazano go na długoletnie więzienie.

Jak widzicie, zło spotkała zasłużona kara, co jest rzeczą słuszną. A dobro?

Tegoż wieczoru, kiedy został zabity Horacy Greenwood, O'Connor, Heck itd., Joe siedział na werandzie domku Breakenridge'ów, obejmując tklawie talię swej przyszłej, z którą zaręczył się przed półgodziną, w czasie kolacji w ścisłym kółku. W uroczystości tej uczestniczyli tylko ojciec dziewczęcia, pułkownik Hickok i zecer Fuzzy, którego zez, szczerze mówiąc, psuł Dzikemu Billowi smak wyśmienitych potraw i przyjemność, jaką sprawiało mu tak miłe towarzystwo. W końcu jednak rewolwerowiec tak do niego przywykł, że sam zaczął zezować. Po kolacji narzeczeni wyszli napawać się ciepłą nocą, a Hickok rozśmieszył dziennikarza i zecera opowiadaniem o swych zabawnych niepowodzeniach na scenie objazdowego teatru Buntline'a.

Jeśli idzie o tych dwoje na dworze: ciemno było choć oko wykol, oni zaś, jak się domyślicie, nie odmawiali litanii. Spragnione wargi już-już miały się złączyć w pocałunku, kiedy

nagle Joe podniósł głowę; jego ręka błędziła chwilę w mroku, jakby czegoś szukała. I znalazła! Winnifreda niemal natychmiast rozpoznała przedmiot, który Joe trzymał we wzniesionej dłoni. Była to pękata, tak dobrze jej znana butelka.

– Przynajmniej jedna dziennie! – zabrzmiał w ciemności ukochany, dzielny głos...

Po czym rozległo się miarowe, łapczywe gulgotanie...

## POSŁOWIE

Na tym książka się kończy, jeśli bowiem spojrzymy na dalsze losy naszego bohatera pod kątem widzenia miłośników awanturniczych przygód, to zobaczymy, że śmierć Greenwooda była punktem kulminacyjnym w jego życiu. Żył potem jeszcze długie lata w Cowtown u boku umiłowanej małżonki, piastując, rzecz jasna z mnóstwem sukcesów, funkcję szeryfa i unieszkodliwiając całe tuziny nikczemników. Kiedy obchodził pięćdziesiąte urodziny, przytrafiło mu się małe nieszczęście.

Firma Allison Kolakoka&Cie, produkcja bezalkoholowych napojów owocowych, postanowiła uczcić pięćdziesięciolecie swego wyjątkowo bezinteresownego propagatora i zaprosiła go jako honorowego gościa, aby obejrzał sobie urządzenia fabryki i zaznajomił się z produkcją ulubionego przysmaku. I właśnie w czasie tej wycieczki Joe zniknął. Energiczne śledztwo skończyło się fiaskiem. Dopiero później, kiedy przy napełnianiu

butelek lemoniadą przez wąską szyjkę nie chciały przejść jakiś zegarek, obrączka i sprzączki od szelek i przedmioty te oddano we właściwe miejsce, odpowiednie czynniki poznały w nich własność Joego. Ponieważ naszego bohatera po raz ostatni widziano przy wielkiej kadzi z wrzącą lemoniadą, należy przypuszczać, że Joe wpadł do niej i rozgotował się. Jakaż słodka śmierć! Nie mamy tu na myśli procentu (skądinąd dość znikomego) gronowego cukru, bądź procentu (dość skądinąd znacznego) sacharyny w wyrobie sławnej firmy, lecz wyłącznie duchową błogość. Bohater nasz dosłownie stopił się w jedno z tym, co tak mu było drogie. Doprawdy, niczego lepszego nie mógł sobie wymarzyć. Trzeba jeszcze dodać na chwałę firmy Allison Kolakoka&Cie, że z niecodzienną hojnością przesłała (bezpłatnie!) pogrążonym w żałobie krewnym pojemny gąsior napełniony lemoniadą z podejrzanej kadzi, który z pietyzmem pochowany został na cowntońskim cmentarzyku. Tam spoczywa, lekko bulgocząc, nasz drogi Joe do dziś dnia. Pokój jego cieczy!

## UWAGA AUTORA

Artykuły panów A.W. Bolesławskiego i PPG. Fostera, opublikowane w „Powdervilskiej Gwieździe” z 27 października 1912 roku i w „Silverstońskim Porannym Pośle” z 3 maja 1922 roku, bezwstydnie wyrażają niesłychane podejrzenie, iż Joe był płatnym agentem firmy Kolakoka&Cie. Te perfidne fabrykaty rewolwerowego dziennikarstwa należy potępić jako

bezwartościowe, oszczercze pamflety, choćby nawet były poparte dość poważnymi argumentami, co autor obiektywnie przyznaje.